

Andre Norton

Prekursorka

Tłumaczyła: Maja Kmiecik

Tytuł oryginału: Forerunner

SCAN-dal

Rozdział pierwszy

Kuxortal istniało od zawsze. Każdy handlarz mógł to potwierdzić słowami przysięgi własnej Gildii. Aby się o tym przekonać, nie trzeba było przekopywać murszejących rejestrów pór suchych i deszczowych (których całe sterty już dawno obróciły się w proch). Rozległe miasto „stało na własnej przeszłości”, obecnie znacznie powyżej morskiego nabrzeża z dużym portem oraz rzecznych przystani, wzniesione na górze, z której wzięło początek. Ludzie, dzięki którym powstało, oszczędzając sobie pracy, wybudowali bowiem nowe domy na ruinach magazynów i siedzib poprzednich mieszkańców, zwiększając tym samym wysokość owej góry, gdzie przeszłość unicestwiła dorobek życia ich przodków.

Miasto było już niezmiernie stare, gdy na rozciągającej się za nim równinie wylądowały pierwsze, przypominające kształtem igły, statki kosmicznych handlarzy — kupców z gwiazd, którzy nicią swych handlowych transakcji zszywali ze sobą kolejne światy.

Kuxortal było stare, ale nie umierało. Jego mieszkańcy stali się niewiarygodną mieszaniną ras, gatunków lub mutacji z początkami nowych form życia. Kuxortal przed wiekami zyskało szczególne przywileje, ponieważ narodziło się u zbiegu rzeki Kux (stanowiącej szlak handlowy dla całego kontynentu, przenoszącej na swych falach łodzi i tratwy do zachodniego morza) z tym właśnie morzem. Port należał do bezpiecznych nawet podczas najgorszych nawałnic w porze deszczowej.

Dzięki pomysłowości wielu pokoleń ludzi obeznanych z wszelkimi zagrożeniami ze strony morza, wiatru, nawałnicy i ataku najeźdźców ulepszono zabezpieczenia stworzone przez samą naturę.

Po raz kolejny zyskało przywileje, gdy zawitali do niego ludzie z gwiazd, poszukujący nie tylko możliwości handlowania, ale także otwartego portu, gdzie handlujący towarami, których nie odważyliby się ujawnić przed surową inspekcją prawną, tutaj mogli kupować i sprzedawać bez żadnych ograniczeń, oczywiście po uiszczeniu odpowiedniej opłaty Gildiom miasta. Od czasu, kiedy ogień z rakiety po raz pierwszy wypalił równinę za miastem minęły już dziesiątki pór suchych i deszczowych. Nikogo nie zdumiewał widok obcego na krętych ulicach, układających się niekiedy w śmiertelny labirynt dla nieostrożnych.

Zwykle tam, gdzie są kupcy i ich bogactwa, są także rabusie. Ci ostatni

również posiadali własną Gildię oraz stałą pozycję w hierarchii Kuxortal. Bazowała ona na starym stwierdzeniu, iż jeśli człowiek nie strzeże swojego dobytku, to w pełni zasługuje na jego utratę. Dlatego sprytne złodziejaszki i prywatni strażnicy staczali potajemne potyczki, natomiast porządkowi z Gildii poprzez rygor i doraźnie wymierzane krwawe kary, pilnowali bezpieczeństwa na ulicach. Działo się tak jednak tylko w otoczonych podwórzami domach i w tych magazynach, które płaciły podatek od spokoju.

Tak, jak istnieli złodzieje żerujący na bogaczach z Kuxortal, tak istnieli również drobni handlarze, żyjący jak szczury w elewatorze, w którym nie ma skrzydlatego i szponiastego zorsala o przeszywającym ciemność wzroku, polującego w mroku na szkodniki. Mieszkali oni w podziemnych norach wykopanych w najniższej położonej dzielnicy miasta, nazwanych szumnie Ziemiankami, a ponieważ zdobywali towar wygrzebując go z ziemi, zyskali miano Grzebaczy. To właśnie oni kupowali lub sprzedawali, a niektórym z nich marzyła się wielka transakcja, wielkie odkrycie w zalewie dziwnych towarów, które dałoby im szansę na osiągnięcie większych zysków.

Simsa była na tyle mądrą Grzebaczką, aby nie mieć wielkich marzeń — przynajmniej nie tak wielkich, by przesłoniły jej terażniejszość. Rozumiała swoją bardzo niską pozycję w ogólnej hierarchii życia, gdzie była prawie tak mała jak gamlin. Z całą pewnością była równie zwinna jak te futrzaste zwierzaki, używane podczas najazdów przez Miłośników Ciemności. Nie miała żadnych krewnych. Ze swojej wiedzy o świecie wyniesionej z dzieciństwa wnioskowała, iż jest przedstawicielką rodu o dziwacznej mieszaninie krwi, która w dużym stopniu stanowiła o ogólnej odmienności Kuxortal. Wiedząc, że jej inność narażają na szczególne niebezpieczeństwo, maskowała ją najlepiej, jak potrafiła.

Była dziewczyną do wszystkiego, posługaczką i gońcem Ferwar — Staruchy, której opary z nadrzecznych nor wżarły się tak głęboko w schorowane kości, że w końcu wyzionęła ducha. To właśnie Simsa wciągnęła jej lekkie, poskręcane ciało w dół do podziemnej dziury i przysypała kamieniami. Ferwar nie miała rodziny. Stronili od niej nawet mieszkańcy Ziemianek, gdyż była „uczona” i znała tajemnicze metody, z których jedne mogły przynosić korzyści, podczas gdy inne kojarzyły się z niebezpieczeństwem.

Ferwar zaprzeczała, jakoby Simsa była jej krewną. Prawda jednak była taka, iż nigdy nie uderzyła dziecka swoją laską, choć nieraz smagała ją zgryźliwym, ciętym językiem; zostawiła też Simsie w spadku tyle, że zdumiałoby to nawet Lorda Gildii,

gdyby wiedział, kto zamieszkuje nory poniżej jego opływającego w dostatki pałacu.

Grzebacze zajmowali chyba najniższą pozycję wśród mieszkańców Kuxortal. Wygrzebywali sobie mieszkania w rumowisku pozostałym po dawnych budynkach i byli bardzo szczęśliwi, gdy udało im się przebić do jakiejś piwnicy lub podziemnego przejścia. Prawdopodobnie niegdyś takie przejście było długą, zapomnianą ulicą, zadaszoną budynkami zburzonymi w trakcie jakiejś zbrodniczej napaści przed zmierzchem dziejów. W Ziemiakach znajdowano różne rzeczy nadające się do sprzedania, szczególnie Ludziom z Gwiazd, którzy wykazywali niezdrowe zainteresowanie połamanymi skorupami, bez żadnej wartości dla obywatela Kuxortal. Tak więc znaleziska tego typu utrzymywano w ścisłej tajemnicy i nawet wśród Grzebaczy istniały pilnie strzeżone skarbcze.

Simsa była dziewczyną na swój sposób utalentowaną. Jej zręczność przysłużyła jej się wielokrotnie. Bezustannie ćwiczyła gibkie ciało wykonując skręty, zwroty oraz pewne chwytty, jakie cierpliwie pokazywały jej powykręcane bolesnym paraliżem ręce Ferwar. Była mała jak na Grzebaczkę, choć dwa sezony po śmierci Ferwar wystrzeliła w górę, niczym dobrze podlewana, frędzlowata winorośl. Było to w tym samym sezonie, w którym zmieniła swój nijaki, flejtuchowaty styl ubierania, a który zdaniem Ferwar był jednym ze sposobów zabezpieczenia się przed zagrożeniami. Nie rozstała się z luźną bluzą wypuszczoną na bryczesy, gdyż taki strój umożliwiał jej swobodne poruszanie się podczas wymykania z opresji. Od talii w górę zwykła owijać się ciasno pasem mocnego płótna, ściskając piersi, by zachować wrażenie dziecięcej płaskości. Ten środek zabezpieczenia musiała stosować tylko wobec obcych, natomiast wśród tych, którzy ją znali, jej własna, naturalna i wrodzona broń czyniła ją nietykalną.

Skóra Simsy była głęboko czarna, chwilami aż granatowoczarna. W ciemnościach nocy każdą słabiej oświetloną ulicą mogła przemykać niewidzialna jak duch. Z drugiej jednak strony włosy, które obecnie chowała, obwiązując je pasem materiału jak turbanem, świeciły czystym, jasnym srebrem, podobnie jak brwi i rzęsy. Dlatego nim odważyła się wyjść, pocierała je palcami ubrudzonymi sadzą startą z dna stojących na ogniu garnków. Takie kamuflowanie się sprawiało jej dużą frajdę.

Posiadała własne źródło stałych dochodów, od czasu, gdy znalazła zorsala ze złamanym skrzydłem, trzepoczącego się w walce o życie na przybrzeżnym śmietnisku. Podobne usypiska już wcześniej dostarczały Ferwar nieoczekiwanych znalezisk. Zorsal próbował gryźć — uzbrojone ostrymi zębami szczęki były

wystarczająco silne, aby odgryźć palec dorosłemu mężczyźnie. Początkowo Simsa nie wyciągała ręki, przycupnęła jedynie przy rannym stworzeniu i zaczęła zawodzić cichym, ochryplym głosem. Był to dźwięk, jakiego nigdy przedtem nie wydawała. Wówczas zorsal zwyczajnie podszedł do niej, jakby to było zupełnie naturalne i właściwe.

Kiedy pierwsze syki i kłapania zębami ucichły, a zorsal usadowił się przed nią patrząc wielkimi, okrągłymi, widzącymi w nocy oczyma, dziewczyna spostrzegła, iż jest to samica, a jej pokryte futrem ciało lada dzień wyda na świat potomstwo. Simsa przypuszczała, iż zwierzę prawdopodobnie uciekło z klatki w jakimś magazynie, by na wolności założyć gniazdo i urodzić młode.

W swoim dotychczas krótkim życiu Simsa nie miała okazji, by zaufać lub okazać sympatię innej żyjącej istocie (może dlatego, że jej więź z Ferwar głównie opierała się na respekcie, strachu i sporej dozie zwykłej przezorności). Jednak teraz, poczuła jak coś w niej rwie się do tego drugiego, żywego stworzenia, być może równie osieroconego i zagubionego jak ona sama. Nie przerywając jękliwego zawodzenia wyciągnęła rękę i dotknęła czubkami palców miękkiego puchu pokrywającego grzbiet zorsala. Będąc w tym miejscu wyczuwała, jak szybko i mocno wali serce fruującego zwierzęcia. Po kilku długich chwilach udało się jej podnieść ranne stworzenie, które natychmiast przyłgnęło do niej, wywołując uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Gatunek zorsali był w cenie, gdyż jego przedstawiciele tępil większe szkodniki w budynkach mieszkalnych i magazynach. Simsa widywała, jak sprzedawano je za znaczne kwoty na rynkach, toteż przyszło jej do głowy, że mogłaby odszukać właściciela tego zabłąkanego zwierzaka i zażądać znaleźnego. Jednak zamiast to uczynić, zabrała go ze sobą do Ziemianek. Ferwar popatrzyła na niego i nie powiedziała ani słowa. Przygotowana na jej wymówki i nastawiona na obronę swoich poczynań, Simsa poczuła się wówczas dziwnie zagubiona i zdezorientowana.

Samica zorsala okociła się jeszcze tej samej nocy. Simsa opatrzyła skaleczone skrzydło najlepiej jak potrafiła, obawiała się jednak, że jej zabiegi były na tyle nieporadne, iż zwierzę może zostać kaleką. Ferwar, zwłókszy obolałe ciało z barłogu, obserwowała wysiłki dziewczyny. W końcu pochrząkując wygrzebała ze swych zazdrośnie strzeżonych zapasów jakiś balsam, który zapachniał dziwnie świeżo i czysto w zatęchłej, nigdy nie tkniętej dziennym światłem norze.

Oba młode, które przyszły na świat były samczykami. Simsa nie była pewna

zupełnego wyzdrowienia ich matki. Jednak jako dorosły zwierzak prezentowała zaskakującą inteligencję i zaraz po tym, jak młode zostały odstawione od piersi, stała się nieodłącznym towarzyszem Simsy w jej nocnych wyprawach po łup. Jej wzrok był o wiele ostrzejszy niż ludzki, nawet tak wyszkolony, jak wzrok Simsy. Ponadto stworzenie potrafiło komunikować się serią cichych cmoknięć oraz chrząkania, układających się we wzór, jaki gardło dziewczyny potrafiło odtworzyć. Tak więc Simsa opanowała ograniczony zasób „słownictwa” i nauczyła się rozpoznawać dźwięki oznaczające zagrożenie, głód lub obecność innych ludzi na trasie poszukiwań.

Zorsal tymczasem szkolił swoje młode. Po jakimś czasie Simsa wypożyczyła — nie sprzedała — dwoje malców Gatharowi — właścicielowi magazynu, który od czasu do czasu robił interesy z Grzebaczami. Był przez nich oceniany jako ktoś, kto nigdy nie bierze więcej niż połowę z jakiegokolwiek zysku. Odwiedzała regularnie swoich pupilków, nie tylko sprawdzając, czy mają dobrą opiekę i warunki, ale również oddziałując na nich własną, silną osobowością. Kiedy wyruszała na swoje nocne wyprawy, ich matka (którą nazwała Zass, od dźwięku, jaki wydawała pragnąc przyciągnąć jej uwagę), przeważnie siedziała na jej ramieniu. Simsa umieściła tam dla niej specjalną podkładkę, z obawy, by ostre szpony drapieżnika nie poraniły jej ciała.

Wynajęcie zorsali przyniosło jej podwójną korzyść. Po pierwsze Gathar płacił jej za używanie młodych, które były doskonale wyszkolone do swoich zadań. On sam przyznał to kiedyś w niezwykłym przyпыwie dobrego humoru, tuż po sfinalizowaniu niesłychanie korzystnej transakcji. Po drugie, regularne wycieczki do firmy Gathara pozwoliły jej zaznajomić się z dzielnicą Kuxortal, do której normalnie nie miałyby wstępu. Pełniący tam służbę strażnicy z czasem przyzwyczaili się do jej widoku i faktu, że przychodzi i wychodzi, tak więc po upływie jednego sezonu nikt już jej nie zaczepiał i o nic nie pytał.

Wśród Grzebaczy było kilku takich, którzy w śmierci Ferwar upatrywali szansę nie tylko na wprowadzenie się do skromnej, lecz przytulnej i dobrze usytuowanej kwatery, jak również na uczynienie z Simsy nałożnicy bądź...źródła zysków. Handlarze z góry rzeki, a nawet niektórzy członkowie Gildii Lordów, lubili od czasu do czasu zabawić się z nietypowymi kobietami, traktując je jako ciekawostkę i odmianę. Dostała kilka tego typu uwłaczających propozycji, które obcesowo pominęła milczeniem. Po pewnym czasie Baslter zwany Hakiem zdecydował położyć kres tym babskim fochom. Któregoś dnia przystąpił więc do

działania w wypróbowany wcześniej dwukrotnie sposób. Mały, żądny rozrywki tłumek zgromadził się, by obejrzeć widowisko. Stojąca tuż przed wejściem do swojej nory Simsa słyszała dobiegające zewsząd pokrzykiwania ludzi rzucających niskie stawki w zakładach o to, kto wygra.

Była w ich oczach tak małym i bezbronny dzieckiem, że przyjmujący zakłady znaleźli zaledwie kilku ryzykantów, którzy odważyli się na nią postawić. Baslter wyzłopał z lubością zawartość jednego z dzbanów dostarczonych mu przez jego zwolenników, otarł wierzchem owłosionego łapska grube wargi i ruszył naprzód niczym legendarny Wielkolud z położonych w głębi łądu gór.

Nim zdołał zbliżyć się na odległość umożliwiającą mu dosięgnięcie dziewczyny, ta przystąpiła do akcji. Rzuciła się na niego tak błyskawicznie i dynamicznie, iż odnosiło się wrażenie, że jej ciało unosi jakaś trąba powietrzna.

Jej stopy oderwały się od ziemi, a bose palce uderzyły z całą mocą w okazały brzuch mężczyzny, wbijając się weń głęboko, nawet przez skórę, z której uszyty był jego kaftan. Jednocześnie jej ciało wygięło się w łuk, tak, że ręce wsparły się o ziemię, a ona sama, nie przestając go dźgać uzbrojonymi w szpony palcami, wykonała salto. Szybkim susem potoczyła się po ziemi i ponownie lekko stanęła na nogi. Wyłączną oznaką zmęczenia był jeden głęboki oddech.

Baslter wrzasnął i przyłożył dłoń do poszarpanego kaftana. Kiedy ją oderwał, była mokra i czerwona. Rozwścieczony, zaczął wymachiwać na oślep hakiem, od którego zyskał swój przydomek. Po wyrazie jego twarzy widać było, iż gotów jest pograć metal w jej ciele. W końcu doskoczył do niej, zamierzając zacisnąć potężne łapsko na jej gardle i pozbawić ją życia.

Lecz jej już nie było. Podobnie jak zorsal szczuje rozjuszonego psa, tak ona okrążała teraz ciężko stąpającego mężczyznę. Nie tylko palce u nóg obnażyły groźne szpony, które wcześniej widziało zaledwie kilku z Grzebaczy, lecz również rozcapierzone palce dłoni zaopatrzone były w tę niebezpieczną, karcącą broń. Dopadła do niego, rozorała go pazurami i zrobiła unik, nim ryczący z wściekłości Baslter zdążył się choćby odwrócić i spojrzeć w kierunku, w którym odbiła się jednym zwinnym susem.

Wreszcie broczący krwią i pałający żądzą odwetu mężczyzna został powstrzymany przez kilku swych kompanów, którzy odciągnęli go na bok. Z pianą na ustach, wyglądał na kompletnie oszalałego z wściekłości. Simsa nawet nie obserwowała jego odwrotu, tylko weszła z powrotem do domu, który udało się jej

obronić. Usiadła nieco roztrzęsiona i wszelkimi siłami starała się odzyskać spokój. Przynajmniej usiłowała opanować wściekłość, a następnie głęboko zakorzenione uczucie strachu, stanowiące źródło tej wściekłości. Zass zatrzepotała zdrowym skrzydłem, a następnie wykonała parę nieporadnych ruchów tym okaleczonym, kiedy w końcu dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą. Chwilę później wzięła szmatkę, wytarła dokładnie szpony, po czym zmarszczywszy nos wrzuciła zakrwawiony gałgan do kosza, który miał być wyniesiony na śmietnik.

Zwycięstwo nad Baslerem nie dodało jej pewności siebie i nie wzbudziło uczucia triumfu. Przeciwnie — wiedziała doskonale, że istnieje mnóstwo sposobów, w jakie ten dość przebiegły mężczyzna może ją złapać w pułapkę. Nie mogła też lekceważyć w tym względzie swoich „życzliwych” sąsiadów. I właśnie od tamtej pory Simsa zaczęła prawdziwie doceniać walory Zass, a wręcz uświadomiła sobie jej rzeczywistą wartość. Starła się z nią nie rozstawać, zabierała ją na każdą nocną wyprawę oraz zainstalowała dla niej nad drzwiami do swej ziemianki żerdź w charakterze grzędy, gdzie zorsal trzymał straż, gdy Simsa była w środku.

O tym, że stworzenie jest wystarczająco sprytne i przezorne, by ustrzec się przed niebezpieczeństwem, dziewczyna przekonała się w dniu, gdy Zass przyszła do niej z kawałkiem mięsa. Czerwonym, surowym, wyglądającym niezwykle apetycznie. Simsa wzięła od niej ochłap, obejrzała go dokładnie i odkryła w środku niebieskawy punkcik, bez wątpienia oznaczający truciznę. To właśnie od tamtej pory zaczęła bardziej konstruktywnie myśleć o własnej przyszłości, o tym, co zrobić, by wydostać się z nor, gdzie musi ustawicznie mieć się na baczności, nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, lecz również ze względu na bezpieczeństwo stworzenia, które tak wysoko ceniła.

Hierarchię życia w Kuxortal wyznaczała nie tylko przynależność do określonej warstwy społecznej, lecz również to, w jakiej części miasta się mieszkało. Tak niepozorny handlarz jak Grzebacz mógł jedynie przycząć się ze swoją kolekcją ocalonych szpargałów gdzieś na obrzeżach jednego z rynków, lecz nie mógł nawet marzyć o najmniejszym i najbardziej prymitywnym straganie. Dlatego większość ich handlu musiała odbywać się poprzez rynki zbytu Złodziei, którzy zdzierali z nich skórę przy każdej transakcji. Mogli także sprzedać swoje towary właścicielom straganów.

Od czasu pojawienia się ludzi z nieba utworzył się drugi rynek, w dole, na obrzeżach wypalonego pola, w miejscu, gdzie lądowały ich statki. Miejsce to nie

nadawało się jednak na stały punkt handlowy, ponieważ statki przylatywały sporadycznie i nigdy nie było wiadomo, kiedy któryś z nich przybędzie. Ponadto, kiedy jakiś już się pojawił, panował taki tłok i rozgardiasz, że jedynie garstce szczęśliwców udawało się dotrzeć na tyle blisko któregokolwiek z członków załogi, by choć dostrzec jego twarz. Zresztą nadzieja na ucieczkę z nimi interesu była znikoma, ponieważ towary ze statków oraz prawo do handlowania z załogą były w większości zarezerwowane przez Gildie. Jednak członkowie załogi często dawali się skusić na zakup dziwacznych rupieci i drobiazgów, nie narażając się przy tym na większe ryzyko finansowe.

Simsa wyrobiła sobie nawyk wałęsania się w pobliżu i obserwowania takich transakcji. Wiedziała, że najbardziej pożądanym przez gwiazdnych ludzi towarem były dziwaczne rzeczy — stare znaleziska lub przedmioty szczególnie charakterystyczne dla tego świata. Musiały one być na tyle małe, aby łatwo mieściły się w ograniczonej i zatłoczonej przestrzeni na pokładzie statków. Te ostatnie nigdy nie były projektowane z myślą o wygodzie załogi, lecz dla przewożenia ładunku wystarczająco cennego, aby długie kosmiczne loty opłacały się i przynosiły zyski.

Przywożone przez nie towary były zróżnicowane. Niekiedy po prostu układano je w jakimś magazynie, skąd odbierał je kolejny statek kosmiczny; w gruncie rzeczy tak bywało najczęściej. Z podsłuchanych fragmentów rozmów Simsa wywnioskowała, że większość towarów stanowiły łupy pochodzące z grabieży dokonywanych przez Złodziei w innych światach. Przechowywano je w tutejszych magazynach, aby następnie sprzedać tam, gdzie nie były trefnym towarem.

W chwili gdy Zass przyniosła jej zatrute mięso, Simsa zrozumiała, że jeśli nie wymyśli czegoś, by przechytryć Basltera i jemu podobnych, to prawdopodobnie nie doczeka końca tych paru dni, jakie zostały do zakończenia sezonu. Wrogowie traktowali teraz jej obecność jak osobisty afront. Wtedy też postanowiła wyciągnąć ukryte skarby Ferwar i dokładnie je zbadać.

Starucha miała własne kryjówki, z których większość trzymała w tajemnicy, również przed Simsa. Jednak przez te miesiące, które minęły od jej śmierci, przy wsparciu przenikliwego wzroku zorsała, dziewczynie udało się odkryć wiele z nich. Ich ziemianka była jedną z tych, które wcześniej stanowiły część domu i od dawna spoczywała pogrzebana pod gruzami górnych kondygnacji. Simsa często wpatrywała się z zachwytem we fragmenty malowideł zachowanych na ścianach w jednym narożniku i zastanawiała się, jak wyglądało tutaj życie, kiedy Kuxortal nie było

jeszcze tak wysoko. Ten dom mógł nawet stanowić część pałacu jakiegoś Wysokiego Lorda. Sama tylko ściana zbudowana była z mocnych kamieni ułożonych w staranny wzór, jednak nie tak solidnych, na jakie wyglądały.

Stanęła teraz przed nią naciskając na rozmieszczone w różnych miejscach punkty. Powoli wyjmowała to, co z pozoru wyglądało na lite kamienie, w rzeczywistości zaś było jedynie wydrążonymi w środku skorupami maskującymi dziury. Wygarnęła z nich całą zawartość, rozłożyła wszystkie błyskotki na podłodze i przyjrzała się krytycznie, szacując ich cenę rynkową.

Wiedziała, a właściwie domyślała się, że niektóre z nich mogą przedstawiać wielką wartość, ale tylko dla szczególnych kupców. Dowiedziała się tego dzięki Ferwar, która zgromadziła stare zapiski, kawałki kamienia ze złobionymi napisami częściowo zatartymi przez czas, kilka zwojów zbutwiałej skóry. Wszystkiego tego strzegła jak źrenicy oka. Simsa umiała wymawiać niektóre z tych słów, gdyż Ferwar będąc w dobrym humorze robiła jej wykłady na ich temat. Jednak żadne z tych słów nie miało sensu. Zebrała teraz wszystko razem i zapakowała starannie do woreczka. Było jej żal rozstawać się z tak wartościowymi rzeczami, lecz chcąc odmienić swoje życie musiała je spieniężyć. Choć dla innych nie przedstawiały żadnej wartości, mogły zainteresować jakiegoś przybysza z gwiazd. Wiedziała jednak, że istnieje niska szansa na znalezienie takiego kupca. Nagle poczuła — dziś był jej dzień, aby spróbować szczęścia. Jeśli Gathar jest w dobrym nastroju, może kupi je od niej. Prawdopodobnie cena, którą zaproponuje sprawi, że w duchu będzie się wściekać, lecz i tak będzie to więcej, niż mogłaby uzyskać przy jakichkolwiek staraniach na własną rękę.

Odsunąwszy woreczek ostrożnie na bok, skoncentrowała się na reszcie odkrytego skarbu. W tym wypadku istniała większa szansa na samodzielne zrobienie dobrego interesu.

Były to najcenniejsze skarby Ferwar. Starucha nigdy nie zdradziła, gdzie je znalazła, lecz Simsa pamiętała, iż widywała je od najwcześniejszych dni, a więc musiały być w posiadaniu starej kobiety od bardzo dawna. Dziewczyna nieraz zastanawiała się, dlaczego Starucha nie zrobiła na nich jakiegoś korzystnego interesu, choćby bezpośrednio z Zackiem. Było o nim wiadomo, iż jest przemytnikiem pracującym dla Gildii Złodziei, a który był tak uczciwy, jak każdy z tych, którzy złożyli przysięgę krwi. Ferwar niejednokrotnie zabezpieczała się tak w przeszłości.

To były dwie sztuki biżuterii — zerwany łańcuch z grubych, srebrnych ogniów,

zakończony długim, wąskim wisiorem wysadzany bladymi kamieniami oraz bransoleta. Ten drugi egzemplarz, również ze srebra, został bez wątpienia wykuty z myślą o mężczyźnie. Przebiegało przez niego postrzępione pęknięcie, które zniszczyło skomplikowany wzór z łbów dziwacznych potworów, w większości z szeroko rozdziawionymi pyskami ukazującymi kły z krystalicznej, skrzęcej się substancji.

Obie sztuki, tego Simsa była pewna, pochodziły z odległej przeszłości. Gdyby sprzedała je w niewłaściwe ręce, zostałyby potraktowane jak zwykły metal i trafiłyby do tygla. W ten sposób zostałyby stracone na zawsze. Myśl o tym budziła w niej wewnętrzny sprzeciw. Rozłożyła naszyjnik na kolanie i obracając bransoletę w dłoniach zamyśliła się.

Miała jeszcze jedną rzecz, lecz to było jej osobiste znalezisko i nie chciała się go pozbywać. W pewnym sensie był to prezent od Ferwar, ale nie każdy byłby o tym przekonany. Otóż kiedy zbierała kamienie potrzebne do obłożenia wycięzonego, bezużytecznego już ciała Staruchy, zauważyła w ziemi coś błyszczącego. Przypominało kawałek metalu, więc wydułaba to i pospiesznie wepchnęła do torebki przy pasku, aby później dokładnie zbadać.

Teraz odłożyła bransoletę i wyjęła swoje znalezisko. Był to pierścionek, lecz nie szeroka, wysadzana kamieniami obrączka, jakie powszechnie noszono w górnym mieście. Na swój sposób był toporny, niewygodny do noszenia. Mimo to, gdy teraz wsuwała go na kciuk (a był to jedyny palec, na jaki pasował), spoglądała na niego ze słodkim poczuciem posiadania. Był wykonany ze srebrnego metalu, którego ewidentnie ani czas, ani działanie innych czynników nie zdołały przyciemnić czy skorodować. Na tle ciemnej skóry palca odstawała teraz wyraźnie forma pierścionka, wiernie przypominająca budowlę z wieżami. Wizerunek był tak szczegółowy, iż widać było nawet miniaturowy schodek prowadzący do drzwi jednej z dwóch wież. Mniejsza z wież została wykorzystana jako oprawa dla białoszarego, nieprzezroczystego kamienia stanowiącego jej dach. W stylu budowli było coś, co mgliście przypominało niektóre z bardziej imponujących budynków z górnego wzgórza. Mimo tego Simsa zdecydowała, iż pierścień jest o wiele starszy i może pochodzić z czasów, gdy istniało zagrożenie najazdami, a takie konstrukcje pełniły funkcję pozycji obronnych.

To była jej własność. Nie tak piękny, jak tamte dwie sztuki biżuterii, lecz ilekroć go wyjmowała, coś wewnątrz niej nie pozwalało jej oderwać od niego wzroku.

Niekiedy przez głowę przebiegała jej dziwna myśl, że gdyby zdołała unieść mleczny klejnot tworzący dach na drugiej wieży i zerknąć do środka, to zobaczyłaby... Co? Obcy jej styl życia ludzi zajętych własnymi sprawami? Nie, pierścień nie jest na sprzedaż, zdecydowała błyskawicznie i zwinawszy go, schowała na powrót do torebki.

W momencie, gdy z zamiarem udania się prosto do Gathara wyciągała rękę po woreczek ze skarbami Ferwar, rozległ się ryk. Ziemia pod nią zatrzęsa się lekko, a na głowę posypał się pył i drobne kawałki pokruszonych kamieni.

Wylądował gwiazdny statek.

Ferwar niekiedy mawiała o szczęściu, jakie los może podarować nawet tym tak nisko postawionym i bez posagu jak ludzie z Ziemiaków. Czyżby właśnie teraz przybywało jej szczęście? Dokładnie tego dnia, w chwili, gdy zdecydowała się rozstać z tym, co stanowiło jej najcenniejszy dobytek, wylądował statek. Czy po to, by zaoferować jej najlepszych klientów? Nie zanosila modłów z prośbami do żadnych bogów, jak czynili niektórzy wokół niej. Bywało tak, że Ferwar kucała nad paleniskiem i wrzucała do ognia garść jakiegoś suszonego zielska, po czym w oparach słodkawego dymu mamrotała śpiewnie jakieś zdania. Starucha nigdy nie wyjaśniła Simsie dlaczego to robi, ani do jakich starożytnych mocy się zwraca. Prawdopodobnie chciała je nakłonić, aby odpowiedziały na jej modły. Simsa nie uznawała żadnych bogów i nie ufała nikomu, tylko sobie i Zass, no i może jeszcze jej dwóm synom, którzy przynajmniej odpowiadali na jej wezwania. Ale przede wszystkim ufała sobie. Gdyby kiedykolwiek miała osiągnąć coś więcej i wyrwać się z tych nor, ze stanu ustawicznej czujności, to nie dzięki jakiemuś bogu, lecz tylko dzięki własnym, rozpaczliwym wysiłkom.

Przewiesiła torbę na sznurku przez jedno ramię i syknęła cicho na Zass. Ta niezdarnie sfrunęła z grzędy i usadowiła się na jej drugim ramieniu. Następnie stanęła w drzwiach ziemianki, rozejrzała się ukradkiem w obie strony i wyszła. Był jeszcze dzień, lecz zastosowała swe zwykłe środki bezpieczeństwa, zakrywając włosy i czerniąc srebrne brwi. Jej zniszczone ubranie miało jednolity, szarobrazowy kolor i nie odbijało się zbyt od ciemnej skóry. Zeszła zygzakowatą ścieżką w dół, do miejsca podmywanego przez wodę rzeki, starając się minąć je tak szybko i niepostrzeżenie, jak tylko było to możliwe w ciągu dnia. Nie mogła mieć pewności, że nikt nie będzie jej śledził, ale była przekonana, iż zorsal ostrzegłby ją natychmiast.

Do lądowiska gwiazdnych statków nie można było podejść zbyt blisko.

Pojawią się tam przecież wszyscy urzędnicy z Gildii miejskiej, którzy przybędą powitać przybyszów. Ponadto strażnicy szybko przegonią intruzów, pozwalając pozostać jedynie tym, którzy zapłacili podatek handlowy i na dowód tego nosili zawieszane na szyi odpowiednie odznaki. Tak więc na razie nie mogła tam pójść, ale mogła za to udać się do magazynu, który odwiedzała regularnie co pięć dni. Jeśli ktoś obserwował ją do tej pory, nigdy nie odgadłby, iż zamierza opuścić Ziemiarki na dobre.

W jej głowie kłębiły się już dziesiątki pomysłów na przyszłość, pod warunkiem, iż uda jej się rozstać z zawartością torby w sposób, w jaki by sobie tego życzyła. Sprzeda wszystko możliwie najdrożej, po czym uda się prosto na rynek Złodziei, by wytargować jakieś ubranie, które nie zdradzałoby jej pochodzenia. W torebce miała trzy kawałki połamanego srebra wygrzebane na stoku bocznego tunelu, gdzie ostatnio kopała. Bez wątpienia miały jakąś wartość. Nawet jeśli były jedynie bezkształtnymi kawałkami metalu, był to metal szlachetny.

Kiedy swoim zwyczajem, trzymając się roztropnie w cieniu, wślizgnęła się do głównego magazynu, Gathar kroczył właśnie szerokim przejściem pomiędzy stertami towarów. Nie musiała wołać zorsali. Poprzez półmrok panujący w ogromnym budynku, szybując w wirującym locie już opadały ku niej i swojej kalekiej matce, wydając przenikliwe okrzyki. Darły się tak przeraźliwie, że dziewczyna ledwie mogła rozróżnić ich głosy, choć od dawna wiedziała, iż jej słuch jest o wiele ostrzejszy niż u większości ludzi z Ziemiarek.

Ich matka uniosła zdrowe skrzydło i pomachała nim z cichym szelestem. Na jakiś jej sygnał, którego Simsa mimo całej swej bliskości z tymi stworzeniami nigdy nie zdołała wychwycić, młode umilkły. Dziewczyna nie odezwała się do nich, lecz ruszyła naprzód, stąpając bezszelestnie bosymi stopami dopóki nie obeszła góry skrzyń, by stanąć przed samym szefem magazynu.

Był w dobrym nastroju i szczyrzył zęby w grymasie, który bardziej sugerował chęć pożarcia żywcem, niż zadowolenie. Simsa dokładnie znała tę mimikę. Powitała go ledwie zauważalnym gestem ręki. Zmrużył oczy i natychmiast skierował wzrok na torbę przewieszoną przez jej ramię. Wskazał na rampę prowadzącą pod górę do pomieszczeń, skąd mógł obserwować wszystko, co dzieje się w dole. Simsa lekkim krokiem, szybko wysunęła się przed niego i śmignęła w tamtym kierunku. Zanim ruszył za nią, słyszała z tyłu jego głos wydający jeszcze jakieś polecenia. Zmarszczyła czoło zastanawiając się na ile i czy w ogóle podzielenie się z nim częścią prawdy

byłoby dla niej opłacalne. Układ pomiędzy nimi jak dotąd nie stwarzał żadnych problemów, ale zawsze to ona była tą, która miała do zaoferowania niezbędny towar. Prawda bardzo podrożała w Kuxortal, a jej cena niekiedy przekraczała możliwości tych, którzy chcieliby ją kupić.

Kładąc torbę na blat stołu zaśmieconego kartkami chropowatego, trzcinyowego papieru, zabazgranymi niechlujnym koślawym pismem, w głowie miała już gotową i całkowicie uporządkowaną historię.

— Z czym przychodzisz, Cieniu? — spytał Gathar. Zauważyła z satysfakcją, iż zamknął za sobą drzwi. A więc sądzi, że dziewczyna może mieć do zaoferowania coś godnego uwagi.

— Starucha umarła. Zostało po niej parę rzeczy, które mogą zainteresować tych mądrali mieszkających w wysokich wieżach. Słyszałam, że niektórzy z nich całymi godzinami ślęczą nad podobnymi rupieciami i są na ich punkcie tak samo zwariowani, jak świętej pamięci Ferwar. Popatrz! — Simsa otworzyła torbę i wyciągnęła kilka rzeźbionych kamiennych płytek.

— Nie handluję czymś takim. — Mimo tego podszedł bliżej i pochylił się, żeby zerknąć na znaczki wyryte na płytkach.

— Wiem, ale słyszałam, że można na tym nieźle zarobić.

Ponownie skrzywił się w tym swoim dziwnym uśmiechu.

— Idź do Lorda Arfellena. Przez ostanie dwa sezony gustował w czymś takim. Najmował nawet ludzi i kazał im grzebać w ziemi. To było po rozmowie z tym stukniętym kosmitą, który najpierw gadał z nim godzinami, a potem wyruszył na poszukiwanie skarbu i nigdy go nie znalazł. Przynajmniej tutaj z nim nie wrócił.

Simsa wzruszyła ramionami.

— Skarby nie leżą na ziemi, żeby można się było po prostu schylić i je podnieść. Nie mogę pójść do Wysokiego Miejsca, ponieważ wartownik przy bramie nawet nie spojrzy, ani nie wysłucha Grzebaczki. Za to ty mógłbyś dostać nieźłą działkę. — Z kolei ona skrzywiła się w uśmiechu, a zęby błysnęły taką bielą w czarnej twarzy, że ktoś, kto jej nie znał, mógłby się przestraszyć. Lecz Starucha nie żyje, a ja mam swoje plany. Oddam ci to za pięćdziesiąt srebrnych łamańców.

Wybuchnął oburzeniem, jak się zresztą spodziewała, ale wiedziała też, co to oznacza — Gathar dał się złapać. Możliwe, iż wykorzysta jej starocie, żeby osłodzić zły nastrój tego Lorda, o którym wspominał i zaskarbić sobie jego łaski. W taki właśnie sposób pracowali ludzie z Gildii. Zabierali się energicznie do robienia

poważnych interesów, a każdy z nich był godnym przeciwnikiem dla drugiego.

Rozdział drugi

Simsa przyglądała się sobie ze wszystkich stron, studiując swoje odbicie. Tafla popękanego lustra ustawionego na tyłach zalatującego stęchlizną, niechlujnego namiotu, ukazywała okropnie zniekształcony obraz, lecz ona zamaszycie kiwała głową ukontentowana widokiem własnego odbicia. Handlarka używaną odzieżą (niewątpliwie większość jej towaru pochodziła z kradzieży) stała z boku, mając jednocześnie oko na dziewczynę i na frontową część swojego namiotu znajdującą się za dzielącą pomieszczenie na pół, mocno połataną kotarą. Simsa zerknęła przez ramię na jej plecy.

Była absolutnie przekonana, iż dokonała właściwego wyboru. Sprzedała korzystnie swój towar za cenę, jakiej nie uzyskałaby od nikogo działającego w tej części rynku. Teraz schyliła się, żeby zgarnąć zrzuconą wcześniej ze wstrętem starą koszulę i bieliznę, zrolowała wszystko w mały tobołek i zawięła w brzydki, szary szal wyłudzony od handlarki w charakterze prezentu przy zakupie. Miał co prawda parę dziur, niemniej jednak nadawał się jeszcze do celów transportowych.

Tak czy inaczej, dziewczyna, która zdecydowanie odwróciła się od popękanego lustra, różniła się całkowicie od obszarpanej Grzebaczki, jaka parę minut wcześniej weszła do namiotu. Miała teraz na sobie parę zwięzających się ku jej smukłym kostkom skóropodobnych spodni, których mocna zewnętrzna warstwa podszyta była od środka bardziej miękką, jedwabną tkaniną. Były w praktycznym, ciemnoniebieskim kolorze, najprawdopodobniej skradzione z bagażu jakiegoś pechowego podróżnego. Na jej szczęście miały tak wąskie nogawki, iż niewielu potencjalnych klientów zdołałoby się w nie wcisnąć. Nie omieszkała podkreślić tego faktu, targując się ze sprzedawczynią o cenę.

Jej własna podkoszulka była najlepszą częścią posiadanej przez nią garderoby i nawet w Ziemiankach utrzymywała ją pieczołowicie w czystości. Simsa w ogóle nienawidziła brudu, toteż prała swoje rzeczy i myła się tak często, jak tylko mogła. Jej dbałość o czystość stanowiła źródło nieustającej i ogromnej uciechy oraz kpin dla większości jej sąsiadów Grzebaczy. Świadomie więc zatrzymała tę podkoszulkę, a pod nią opaskę ściskającą coraz większe piersi, w której ukryte były dwa klejnoty Ferwar oraz pierścień.

Na nową koszulę włożyła krótki kaftan, noszony przez wyższą rangą służbę

dworską. Przylegał ciasno do jej wąskiej talii, a wewnątrz ciężkich, długich rękawów zebranych w mankiety wokół nadgarstków, znajdowały się kieszenie do przechowywania różnych przedmiotów. Wybrała najciemniejszy z trzech proponowanych kolorów — kolor ciemnego, niemal czarnego wina. Na jednym ramieniu, w miejscu, gdzie musiała być kiedyś odpruta obecnie odznaka Domu, sterczały postrzępione resztki nici. Kaftan nie miał żadnych zdobień, z wyjątkiem srebrzystej lamówki wokół wysokiego kołnierza i mankietów. Materiał był w dobrym gatunku, nie było na nim łat ani przetartych miejsc, więc dziewczyna zdecydowała, iż to wystarczy, by wpuszczono ją do najniższej usytuowanej dzielnicy miasta na wzgórzu, a może nawet jeszcze wyżej. W każdym razie wyglądała dostatecznie przyzwoicie, by uzyskać zezwolenie wstępu na targowisko obok lądowiska, a o to głównie jej teraz chodziło.

Włosy miała nadal ciasno obwiązane, a zanim się tam uda, ponownie solidnie przyciemni rzęsy i brwi. Nie po raz pierwszy ubolewała nad tym, iż natura uczyniła z niej istotę tak bardzo rzucającą się w oczy. Być może, kiedy już jej się uda zacząć w górnym mieście, zdoła odkryć jakąś farbę, która na stałe zabarwi te nietypowe elementy jej urody i pozwoli jej pozostać, jak nazywał ją Gathar, cieniem.

— Nie jesteś jedyną klientką — warknęła kobieta stojąca przy brzegu zasłony. — Czy potrzebujesz całego dnia, żeby przejrzeć te rzeczy, które mi ukradłaś? Tak, tak, ukradłaś. Mam za dobre i zbyt chętne serce dla młodych, żeby rozdawać wtedy, kiedy powinnam brać!

Simsa roześmiała się, a zorsal zawtórował jej krakaniem.

— Handlarko, kiedy jesteś uprzejma przy robieniu interesów, zostanie ci w dwójnasób wynagrodzone. Powinnam się potargować jeszcze przez co najmniej jeden obrót klepsydry, ale jestem dziś w dobrym humorze, a ty na tym skorzystasz.

Kobieta ściągnęła usta, jakby zamierzała splunąć i wykonała obsceniczny gest. Simsa zaśmiała się ponownie. Nie miała już torby, którą zostawiła w magazynie, lecz równie wprawnie zarzuciła na ramię tobolek z szala, po czym zgarnęła Zass i usadowiła ją na drugim ramieniu. Prześlizgnęła się obok kobiety i w mgnieniu oka była na zewnątrz namiotu.

Ten sektor zaniedbanego targowiska znajdował się powyżej granicy terenu, gdzie normalnie widywano Grzebaczy. Z tego też powodu Simsa zerkała czujnym okiem na wszystko, co ją otaczało. Wrzawa pokrzykiwań sprzedawców wystarczała, by zagłuszyć nawet wejście armii.

Do tego czasu gwiazdny statek już z pewnością wylądował na dobre, a władze i oficerowie rozpoczęli ubijanie interesów dotyczących głównego ładunku. Handel z załogą rozkręci się prawdopodobnie dopiero jutro. Ta krótka zwłoka da jednak drobnym handlarzom, pomniejszych złodziejaszkom i Grzebaczom czas na zgromadzenie się i wyznaczenie granic własnych miejsc. Będą tam czekać, aż członkowie załogi otrzymają zezwolenie na opuszczenie statku i robienie prywatnych interesików, polegających głównie na handlu wymiennym. W ostatnich sezonach Simsa obserwowała wiele takich lądowań, dzięki czemu wiedziała, że większość załogi uda się do górnego miasta. Szukali lepszych miejsc, żeby się napić, a także móc rozejrzeć za sprzedajnymi kobietami oraz innymi atrakcjami, jakich brakowało im podczas długich podróży. Zawsze jednak znajdowało się kilku, którzy poszukiwali towarów — kradzionych drobiazgów, które sprzedane w innym świecie mogłyby im przynieść małą fortunę. Szurając po chodniku nieco za dużymi na jej wąskie stopy sandałami (ponieważ w obecnym stroju nie mogła pozwolić sobie na to, by pokazać się boso), Simsa wyobrażała sobie siebie spędzającą życie na podróżach ze świata do świata. Kusiło ją to, iż wszędzie napotykałaby coś nowego i obcego. Nigdy nie była poza Kuxortal i choć zbadała całe miasto, poza pałacami najwyższych dostojników na samym szczycie wzgórza, jej świat był w rzeczywistości niesłychanie mały.

Urodzeni w Kuxortal nie wędrowali. Wiedzieli, że gdzieś tam, za szerokim morzem jest rozległy ląd. Właśnie stamtąd przyływały zagraniczne statki, a rzeką nadciągały barki, małe żagłówki i łodzie napędzane siłami niewolników. Ląd ów leżał bezpośrednio za szerokimi łanami pól uprawnych, które dostarczały dwóch zbiorów rocznie i żywiły miasto. Niestety, był on pustynią, więc żaden człowiek nie podróżował nią, skoro istniała woda morza i rzeki, która mogła go ponieść. Krążyło mnóstwo starych i bardzo dziwnych opowieści o tym, co prawdopodobnie znajduje się za otaczającymi miasto polami. Były one tak straszne, iż nie było śmiałka, który odważyłby się sprawdzić, czy są prawdziwe.

Simsa znalazła stragan z dojrzałymi owocami, przypominającymi ciemny chleb ciastkami z mąki orzechowej i stertą stwardniałych strąków wydrążonych w środku i napełnionych słodzoną sokiem wodą. Zwężyła oczy i nie przebiegając w słowach zaczęła się targować o cenę, po czym zapakowała zakupione zapasy do obszernych kieszeni w rękawach.

Krążąc po rynku obserwowała stragany i rozłożone na ziemi blaty, szacując wartość tego, co na nich leżało. Większość stanowił zniszczony szmelc, lecz

niektórzy sprzedawcy pozdrawiali ją, gdy przystawała, rozpoznając w niej osobę handlującą pomniejszymi znaleźkami Grzebaczy. Wiedziała, że zauważyli jej nowy strój i zachodzą w głowę, skąd wzięła pieniądze, by za niego zapłacić. Na każdym rynku plotka rozchodzi się szybciej niż pierwsze powiewy wiatru pory deszczowej. Gdyby zechciała wrócić teraz do Ziemianek byłaby idiotką. Znajdą się przecież tacy, którzy się przyczają i będą cierpliwie dociekać, co znalazła — co za skarby Ferwar zgromadziła przez lata.

Starucha miała własne metody postępowania z wszelkimi parweniuszami, którzy próbowali kwestionować jej prawa. Niestety, przekleństwo samej Simsy, choćby wygłoszone w najbardziej dramatyczny sposób, nie znaczyło nic dla połączonych sił, jakie mogli zebrać przeciw niej Grzebacze w przypadku najmniejszego podejrzenia o kradzież.

Szła w dół długą rampą, która jako jedna z wielu wcinała się we wzgórze, prowadząc do równiny, gdzie lądowały gwiazdne statki. Dwukrotnie przywierała plecami do muru, by zrobić drogę przebiegającym kłusem ekipom robotników z różnych magazynów. Wszyscy nosili odznaki Gildii na sztywnych od brudu rękawach kaftanów. Każda brygada była poganiana przez dwóch szefów o tubalnych głosach, z których jeden biegł przodem, a drugi zamykał grupę. Ludzie ci służyli za swoisty środek transportu, uginając się pod ciężarem dźwiganych towarów.

Byli też inni, podobni do niej, przemieszczający się w celu znalezienia miejsca na wystawienie towarów na lądowisku. Wielu prowadziło podkute, kudłate i rogate rozłożone zwierzęta, których kłapiące zębiska ostrzegały, iż lepiej trzymać się od nich w bezpiecznej odległości. Z ich grzbietów zwisały pękate torby. Właściciele czworonogów stali wyżej w hierarchii wśród motłochu szukającego sposobności zrobienia interesu z załogą, dlatego większość z nich zgrywała ważniaków, oczekując od pozostałych, oczywiście z wyjątkiem ludzi z Gildii, że ustąpią im drogi.

Simsa wyraźnie widziała statek. Ukazał się przed nią wysoki, jak samo wzgórze Kuxortal. Stał wsparty na statecznikach, siwy od ciągle dymiącej, wypalanej przez lądujące silniki ziemi, niczym błyszcząca strzała, z nosem arogancko zadartym ku niebu. W ciągu ostatnich trzech sezonów handlowych widziała wiele podobnych. Przyglądała im się przyciągana ciekawością, której sama nie potrafiła zrozumieć. Nigdy dotąd nie miała jednak okazji zagadnąć żadnego z gwiazdnych ludzi, ani usiąść w błyskawicznie zapełniających się tłumem kręgach. Tłum ten oczekiwał na sposobność drobnego handelku, ale już teraz docierały odgłosy kłótni, wrzaski, a

nawet dochodziło do bójek. Chwilami odnosiła wrażenie, że ludzie ci przyszli tutaj obejrzeć jakąś pasjonującą walkę.

Po chwili nadszedł pośpiesznie strażnik lądowiska, smagając złośliwie kijem każdego, kto stał na głównej ścieżce. Handlarze rozpięzchli się natychmiast. Jako że w Kuxotral nie obowiązywało żadne powszechne prawo, toteż wszyscy wiedzieli, że strażnik może wychłostać bądź zatłuc kijem na śmierć każdego, kto jest nie dość ostrożny, a jego poczynania nigdy nie były i nie będą zakwestionowane.

Simsa stanęła z boku tłumu. Niektórzy przekupnie już porozstawiali wsparte na czterech słupkach markizy i umieścili pod nimi stoły. Wykładali na nie towary, sprawiając wrażenie ludzi przyzwyczajonych do tej gry. Simsa zauważyła, że ustawili się po obu stronach drogi stanowiącej przejście dla tragarzy. Prowadziła ona bezpośrednio w okolice statku, niedaleko miejsca, gdzie z otworu w boku statku właśnie wysuwano drabinę. Z wolna opuszczała się ona, aż dotknęła ziemi. Powyżej znajdował się luk towarowy, większy, również otwarty, lecz z tego, co widziała, nic się tam na razie nie działo. Tymczasem na ziemi, tuż przed opuszczaną drabiną, zgromadził się tłumek mężczyzn ubranych w mundury gwiazdnych kupców, konferujących z mistrzami Gildii, a może nawet z ich Pierwszymi Dostojnikami.

Stwierdziła, że w żaden sposób nie zdoła wcisnąć się w już uformowane szeregi prowizorycznych straganów otaczających murem przejście wiodące wprost do stóp rampy. Potencjalni kupcy stali tam w czterech, czy pięciu rzędach. Uniosła więc dłoń i przygryzła w zadumie czubek jednego palca, z którego wysunął się pazur. Gryząc go, intensywnie myślała. Zass przesunęła się na jej ramieniu, wydając niski, gardłowy dźwięk. Zorsale nie lubiły bezpośredniego światła słonecznego, ani zatłoczonych, hałaśliwych miejsc. Simsa podniosła rękę, żeby pogłaskać pokryty futerkiem łepkę towarzyski. Długie, zakończone piórkami czułki, służące zwierzęciu do słuchania i odbierania mniej zrozumiałych bodźców, były zwinięte ciasno przy czaszce. Dziewczyna nawet nie musiała patrzeć, by domyślić się, że jego ogromne oczy są na wpół przymknięte. Mimo to Zass pozostawała całkowicie czujna na wszystko, co działo się dookoła.

Simsa dotarła do końca rampy i dopchała się z powrotem do wzniesienia miejskiego wzgórza. Przywarła plecami do kamiennego obmurowania na jego frontowej ścianie i obserwowała uważnie, jak grupa ludzi u stóp drabiny rozchodzi się. Dwóch wróciło na statek, trzech innych, w asyście urzędników Gildii, ruszyło wzdłuż przejścia w jej kierunku. Żaden z oczekujących, drobnych handlarzy nawet się

nie odezwał, żeby zachwalić swój towar. Wiedzieli, że lepiej nie ściągać na siebie uwagi Gildii. Nielegalny, aczkolwiek tolerowany rynek musi unikać ekscesów.

Kiedy podeszli bliżej, Simsa przyjrzała się bacznie gwiezdny przybyszom. Dwóch z nich, jak już wcześniej zauważyła, miało na sobie mundury, a przystrojone skrzydłami hełmy migotały w słońcu, które odbijało się także w emblematkach na kołnierzach i kurtkach. Trzeci z tej grupki, choć ubrany w dopasowany, podobny krojem do ich mundurów, jednoczęściowy strój oraz buty gwiezdneho wędrowca, różnił się od swoich towarzyszy.

Jego uniform był srebrzystoszary, tak jak lamówki na nowym kaftanie Simsy. Oprócz tego nie posiadał żadnej innej szczególnej odznaki. Nie nosił też przybranego skrzydłami hełmu, lecz ciasno przylegającą czapkę. Jego skóra nie była ciemnobrązowa, jak u pozostałych, ale posiadała o wiele jaśniejszy odcień. Szedł kilka kroków za resztą grupy, w pełni ignorując niedoszłych handlarzy, obracając głowę na wszystkie strony, jakby bez reszty zafascynowany tym, co widzi. Kiedy doszedł do rampy, Simsa zlustrowała go nad wyraz dokładnie. Według niej było jasne jak słońce, że to jego pierwsza wizyta w Kuxortal i jako nowo przybyły mógł się stać doskonałym łupem dla handlarzy. Oczywiście trudno oceniać wiek, szczególnie w wypadku ludzi z innego świata, lecz jej zdaniem był młody. Jeśli rzeczywiście tak było, to musiał być także znaczącą osobistością, gdyż w przeciwnym razie nie włączono by go do towarzystwa Gildii i oficerów ze statku. Może wcale nie był członkiem załogi, tylko podróżnikiem przebywającym na pokładzie w charakterze pasażera. Dlaczego jednak jest tutaj, skoro nie jest kupcem? Na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Nie tylko jaśniejsza skóra odróżniała go od pozostałych. Było też coś dziwnego w sposobie osadzenia oczu, a ponadto był wyższy i szczuplejszy niż jego kompani.

Zauważyła też, że te oczy ani na moment nie spoczęły w jednym miejscu. Ciągłe rozbiegane, nagle spotkały jej wzrok i... zatrzymały się. Wydawało się jej, iż dostrzega w nich coś w rodzaju zaskoczenia, gdyż prawie przystanął, jakby odniósł wrażenie, że już gdzieś, kiedyś ją spotkał i teraz chciał się przywitać. Przesunęła językiem po wargach, niemal czując na nich smak słodkiego napoju, jakiego Starucha używała tylko przy szczególnych okazjach. Gdyby tak mogła do niego podejść! Ta iskierka zainteresowania wobec jej osoby stanowiła doskonały wstęp do zawarcia transakcji.

Musi być bogaty, bo inaczej nie byłby podróżnikiem. Poruszyła rękawem, w

którym znajdowały się klejnoty stanowiące cały jej dobytek i wściekała się na siebie za brak odwagi, by go zagadnąć.

A on, po tym jak długo i z takim zainteresowaniem jej się przyglądał, najzwyczajniej w świecie ruszył dalej, w górę rampy. Zass ponownie cichym głosem zaprotestowała przeciwko słonecznemu światłu, upałowi i hałasowi panującemu na rynku. Simsa patrzyła w ślad za przybyszem, dopóki nie znikł jej z oczu, w myślach kreśląc i odrzucając gorączkowo kolejne plany działania.

Po pewnym czasie doszła do wniosku, że najlepiej będzie zostawić sprawy losowi. Człowiek z gwiazd widział, gdzie stała. Jeśli wracając na statek nadal będzie myślał o jakimś indywidualnym handelku, to może przyjść i jej poszukać. Tymczasem na pokładzie byli jeszcze inni. Wcześniej czy później otrzymają pozwolenie zejścia na planetę. Z większego luku już wysunął się dźwig ładunkowy i pierwsza ze skrzyń huśtając się w powietrzu zjeżdżała do oczekujących robotników Gildii.

Simsa przucupnęła na swoim miejscu plecami do wzgórza, tak blisko rampy, że gdyby miała dwukrotnie dłuższe ramię, mogłaby jej dotknąć. Poluzowała trochę tobolek z szala z zamiarem przygotowania prowizorycznego gniazda dla Zass. Górne brzegi materiału udrapowała w taki sposób, by chroniły przed ostrymi promieniami słońca. Udręczone zwierzę z wdzięcznością wślizgnęło się do przygotowanego naprędce schronienia.

Dziewczyna znajdowała się z dala od głównej grupy handlarzy, więc nikt nie próbował wtargnąć na mały, zawłaszczony przez nią kawałek gruntu. Cierpliwości nauczyła się już dawno temu. Piasek w klepsydrze może przesypać się jeszcze wiele razy, nim tamci ze statku będą wolni. To dawało jej czas, by skupić się na opracowaniu planu, w jaki sposób zwrócić na siebie uwagę ewentualnych nabywców. Było gorąco, mimo to wielu handlarzy już rozłożyło się z towarami gotowymi do sprzedaży. Ci zamożniejsi, których stać na posiadanie markizy, kryli się teraz w jej cieniu. Ona sama, będąc Grzebaczką, już dawno nauczyła się znosić niewygodę.

Otworzyła paczkę z pożywieniem i zaczęła się posilać, podając małe kęsy Zass, zbyt sennej, by w pełni zaspokoić głód, pragnącej jedynie, żeby pozostawiono ją w spokoju. Popijając oszczędnie, drugą ręką szperała w zakamarkach kaftana, szukając paczuski z biżuterią, umieszczonej w najbezpieczniejszym znanym jej schowku. Roztropnie zachowała dwa najlepsze, pokryte rysunkami kawałki kamieni, należące kiedyś do Ferwar. Użyje ich jako przynęty. Potem, kiedy będzie już w stanie oszacować zainteresowanie potencjalnego kupca, może pokazać bransoletę, która

według jej oceny była najcenniejsza spośród wszystkich eksponatów.

Wyczyściła kawałki kamieni skrajem rękawa i położyła je obok kolana, tuż przy rampie. Jeden z nich przedstawiał wizerunek jakiegoś skrzydlatego stworzenia, ale był tak nadgryziony zębem czasu, iż widać było tylko ogólny zarys. Niegdyś musiał być ładny, jasnozielony z żółtymi żyłkami. Częściowo zachował swe kolory. Owe żyłki zostały sprytnie wykorzystane przez nieznanego artystę, utworzyły grzywę stwora i zarys skrzydeł. Simsa nigdy przedtem nie widziała w okolicy, a nawet w mieście, podobnego kamienia. Mógł on przecież odbyć trwającą wiele dni podróż z miejsca, gdzie ludzie wydobyli go z ziemi i przyozdobili według własnej fantazji i upodobania.

Leżący obok drugi kawałek stanowił jaskrawy kontrast, gdyż był aksamitno—czarny. Nie był rysunkiem wyrytym na płaskim tle, lecz rzeźbą w kształcie siedzącego zwierzęcia z uniesioną łapą i rozpostartymi pazurami, z których kilka było odłamanych. Zachowała się zaledwie połowa głowy zniszczonej przez czas, tak, iż można było dostrzec tylko gęstą grzywę, ucho i część twarzy. Tak, twarzy, ponieważ bez wątpienia była to twarz, a nie zwierzęcy pysk. Posiadała oko, nos i kawałek ust niewiele różniących się od jej własnych.

Sam kamień był przyjemny w dotyku. Simsa odkryła, że pocieranie go palcami dawało takie samo uczucie, jak pieszczenie delikatnej tkaniny. Doświadczyła kiedyś tego uczucia, gdy zdarzyło jej się dotykać kawałka materiału znalezionego między szmatami, jakimi handlowała Starucha. Zajmowała się tym dopóki mogła jeszcze kuśtykać i odwiedzać śmietniki oraz składowiska odpadów w górnym mieście.

Teraz Simsa siedziała, pocierała swój czarny kamień, rozmyślała i snuła plany. Jednakże myśli napływały w tej chwili wolniej; musiała walczyć z przemożną sennością. Z nastaniem późnego popołudnia, nawet jej długo pielęgnowana cierpliwość zaczynała się kurczyć. Statek został już rozładowany, a towar przetransportowano do miasta.

Przy drodze prowadzącej z rampy do statku kręcili się ludzie. Przesuwali i przestawiali swój majdan z nadzieją, iż takie czy inne poprawki w jego ekspozycji szybciej przyciągną oko klienta. Simsa wstała i wykonała parę ruchów, żeby rozprostować ścierpięte nogi. Spostrzegła, iż niebo przybiera pomarańczowo—czerwoną barwę i to ją zmartwiło. Jeżeli członkowie załogi wkrótce nie wyjdą, zapadnie zmrok, a ona nie ma żadnej lampki, żeby oświetlić swój towar. Był to wyścig pomiędzy zachodzącym słońcem a zwyczajami ludzi z gwiazd, wyścig,

którego wynik mógł w efekcie sprawić jej zawód.

Zass wytknęła głowę ze szmacianego gniazda. Wrażliwe czułki na futrzastym łebku były w połowie rozwinięte, co trochę zaskoczyło dziewczynę, ponieważ sądziła, iż przytłumiony gwar wyczekujących handlarzy jest dla zorsala nie do zniesienia. Naraz głowa zwierzęcia gwałtownie się obróciła, lecz nie w kierunku handlarzy obok statku, ale w stronę rampy. Zaczęła dziwacznie podrygiwać, to podnosząc się w górę, to odrzucając w tył, jakby zwierzę starało się przyjąć możliwie najdogodniejszą pozycję do obserwacji. Tknięta przecuciem dziewczyna poderwała bezceremonialnie zwierzę z legowiska w tobołku i usadziła na swoim ramieniu.

Zass uporczywie wyglądała w kierunku miasta, a w małym, otulonym skrzydłami jak nocną opończą ciała, wyczuwało się narastające napięcie. Zwierzę wykazywało pełną gotowość, jakby za chwilę miało stanąć do pojedynku. Mimo to Simsa nadal nie dostrzegała nic, prócz niemal pustej rampy i kilku strażników Gildii.

Nie pierwszy raz żałowała, iż nie ma umiejętności bezpośredniego komunikowania się ze zwierzęciem. Wprawdzie w ciągu kilku sezonów, gdy pielęgnowała zorsala i udzielała mu schronienia, nauczyła się rozpoznawać jego uczucia. Wnioskowała na podstawie poszczególnych zachowań, lecz w niektórych wypadkach mogła jedynie zgadywać. Zass była teraz tak czujna, jak podczas polowania na szczury, które lada moment zaryzykują wyjście z nory.

Dziewczyna cmoknęła głośno, po czym przesunęła powoli i kojąco palcami w okolicach podstawy na wpół rozwiniętych czułek. Nie wyczytała żadnych oznak zagrożenia, wyłącznie maksymalną czujność. Jednak to wystarczyło, by nie lekceważyła ostrzeżenia i obserwowała zarówno rampę, jak i statek.

Luk towarowy był już zamknięty. Nagle z mniejszego otworu buchnął skierowany na zewnątrz strumień światła, który oświetlił trap. Wśród stojących w dole handlarzy zapanowało poruszenie. Tu i ówdzie zaczęły wybuchać kłótnie, towarzyszące ogólnemu przepychaniu się do pierwszego rzędu.

Wreszcie na trapie pojawili się wychodzący członkowie załogi. Simsa naliczyła ich pięciu. Byli zbyt daleko od niej, jak teraz stwierdziła, źle wybranego miejsca i wyraźnie wykazywali większą ochotę na wyprawę do górnego miasta, niż na prowadzenie prywatnych transakcji handlowych. Potwierdzał to nawet fakt, iż w ciasno dopasowanych uniformach pokładowych nie mieli torebek, w których mogliby transportować coś wartościowego. Ponadto żaden nie niósł zawiniątka czy tobołka. Minęli nawołujących z obu stron handlarzy, ledwie rzuciwszy okiem na oferowane

towary. Zignorowali ich wręcz i gawędząc między sobą przyspieszyli kroku w kierunku rampy prowadzącej do miasta. Widać spieszyło im się do wszelkich przyjemności, jakie sobie zaplanowali na wolną noc spędzaną na planecie.

Simsa stłumiła rozczarowanie. Była bardzo naiwna sądząc, iż przy pierwszej próbie zdoła rozpocząć budowanie swojej fortuny. Z całą pewnością żaden z tej piątki nie wyglądał na człowieka zainteresowanego kawałkami połamanych rzeźb i nie uznałby ich za warte nawet najniższej, podanej przez nią ceny. Niemniej jednak obserwowała ich uważnie, kiedy wykręcali się handlarzom, spychając wręcz nazbyt nachalnych ze swej drogi. Rozmawiali przy tym w swoim ostrym, klekoczącym języku, przypominającym chwilami pochrząkiwania zorsala.

Kiedy przechodzili obok jej stanowiska, by ciężkim krokiem wejść na rampę, nawet nie próbowała unieść ręki, czy odezwać się w celu zwrócenia na siebie ich uwagi. Schyliła się zrezygnowana, pozbierała swoje rzeczy i wyciągnęła kawałki szmat, by je ponownie zapakować. Jutro będzie kolejny dzień. Ludzie przebywający przez długi czas w kosmosie, dzisiejszej nocy mieli prawo myśleć o innych sprawach niż handlowanie, nawet gdyby to był ich cały sposób na życie.

Tu i ówdzie jakiś zawiedziony straganiarz, odwrócony plecami do swojego kramu, rozpałał ogień w koksowniku i przygotowywał skromny posiłek. Potem położy się spać pośród swoich towarów, oczekując wschodu słońca i zejścia kolejnej zmiany załogi bądź powrotu tych, którzy zaspokoiwszy wygłodniałe pobytem w kosmosie żądze cielesne, gotowi będą znów pomyśleć o konkretnych i trwałych zyskach, zamiast o ulotnej przyjemności.

Simsa wahała się, co zrobić. Wcześniej obiecała sobie, że spędzi tę noc w prawdziwym łóżku, w jednej z tawern przy ulicy, gdzie chronili się karawaniarze podczas pobytu w Kuxortal. Miała środki, by sobie na to pozwolić. W rękawie ciążył jej zwój łamanego srebra, z którego wystarczyło uszczknąć kawałek długości palca jako zapłatę. W dodatku jej stanowisko przy rampie, nie było aż tak atrakcyjne, aby musiała go pilnować, kuląc się w przejmującym chłodzie nocnego powietrza.

Podjęła decyzję i ruszyła w górę rampy, w ślad za członkami załogi, którzy sporo ją wyprzedzając właśnie wkraczali do miasta. Strażnicy Gildii zmierzyl ją groźnym wzrokiem, lecz nie znaleźli powodu do przepytывania. Patrowanie targowiska nie należało do ich obowiązków, więc nie byli nadgorliwi. Musieli jednak sprawdzić każdego, kto nosił na policzku piętno zdrajcy czy wyjętego spod prawa złodzieja. Ona nie popełniła na ich oczach żadnego czynu zakłócającego porządek w

mieście, więc nie mogli skrzyżować przed nią broni, żeby ją zabrać na przesłuchanie. Schludność jej nowo zakupionego stroju wskazywała, iż może być posłańcem z jakiegoś Domu Kupieckiego, wysłanym w prywatnej sprawie, na tyle poufnej, że odznaka Domu byłaby reklamą, na jaką jej pan nie mógł sobie pozwolić.

— Miła osobo...

Simsa od dawna uczyła się na własną rękę obcych języków. Potrafiła równie płynnie, jak szorstką mową Grzebaczy, wyrażać się językiem człowieka mieszkającego w górze rzeki i dwoma zamorskimi dialektami. Teraz rozpoznała słowa języka kosmosu — było to pozdrowienie. Jednak fakt, iż były skierowane do niej sprawił, że odebrało jej mowę. To ona była osobą szukającą kontaktu z gwiazdnymi ludźmi, nie spodziewała się natomiast, że któryś z nich mógłby ją zaczepić. Nie był to też żaden z tych pięciu, którzy wspinali się przed nią rampą, lecz ten obcy, który wcześniej szedł do miasta z oficerami.

A jednak patrzył prosto na nią. Strażnicy Gildii cofnęli się o kilka kroków, jakby chcieli okazać mu szacunek. Obcy wskazał na zorsalę i przemówił wolno językiem kupców z górnego miasta:

— Jesteś osobą, o której mówił Gathar, właściciel magazynu. Tresujesz zorsalę. Myślałem, że będę się musiał sporo natrudzić, żeby cię upolować, a tymczasem jesteś tu, zupełnie jak na zawołanie.

Gathar, myślała szybko Simsa — dlaczego? Zass przemieściła się na jej ramieniu i chrząknęła. Jej czułki rozwinęły się na całą długość, co nie zdarzało się nigdy poza wypadkami, gdy zwierzę trzymało nocną straż. Obydwa skierowane były dokładnie na przybysza z kosmosu, jakby zwierzę nasłuchiwało czegoś więcej. Zorsal chciał uchwycić dźwięki niesłyszalne dla Simsy, inne niż wypowiedane powoli słowa.

— Czy zechcesz poświęcić mi trochę czasu?—kontynuował. — Gathar wspomniał, że handlujesz starociami. Mam kilka bardzo ważnych i istotnych dla mnie pytań. Być może będziesz w stanie na nie odpowiedzieć.

Simsa była ostrożna. Wiedziała, że w nowym ubraniu wygląda bardziej na chłopca niż na kobietę, dlatego nie sądziła, by jego słowa stanowiły cudzoziemską przykrywkę dla propozycji pójścia do łóżka. Raczej też nie pytał o cenę za tę usługę. Jeśli Gathar wspomniał o niej w związku ze starociami. .. Jej palce zacisnęły się na rozhuśtanym rękawie obciążonym dwoma znaleźskami, które miały stanowić przynętę dla kupców. Było rzeczą powszechnie wiadomą, iż ludzie z gwiazd są niesłychanie łatwowierni w kwestii takich odkryć. Niekiedy nawet można było

naciągnąć ich na takie transakcje, na jakie nie nabrałby się największy tutejszy tępak. Nie rozumiała, dlaczego Gathar w ogóle o niej mówił. To nakazywało ostrożność, dopóki nie dowie się, co się za tym kryje. Nikt nie wyrzeka się dobrowolnie czegoś, co choćby traci zyskiem. W każdym razie, jeśli ten z gwiazd przyszedł do niej ze względu na skarby Staruchy, ona postara się zrobić na tym jak najlepszy interes. Skinęła więc energicznie głową. Pozwoli mu wierzyć, że nie zna żadnego języka poza mową miejską; takie drobne środki ostrożności mogą niekiedy prowadzić do sporych korzyści.

Biorąc jej kiwnięcie za zgodę rozejrzał się przez ramię i wskazał gestem Ulicę Gwałtownych Wiatrów, odchodzącą w lewo od trasy wiodącej w górę miasta. Zapadający mrok wypełzał tu z ciemnych miejsc pomiędzy trzema czy czterema latarniami, świecącymi zapraszająco nad drzwiami do gospod. Nie było to najlepsze, co Kuxortal miało do zaoferowania podróżnemu, lecz i tak o wiele lepsze od tawerny, gdzie zamierzała znaleźć nocleg. Nawet jeśli transakcja nie wypali, to przynajmniej wyjdzie z pełnym żołądkiem. Była pewna, że przybysza łatwo da się zrobić w zapłacenie rachunku za jedzenie, które zapewne zaproponuje przed wyjawieniem prawdziwej przyczyny, dla której jej szukał.

Rozdział trzeci

Pomieszczenie było niskie i ciemne. Zawieszona na jednej ścianie solidnie wysłużone kotary kryły parę małych kabin. Niektóre były zaciągnięte, toteż Simsa przechodząc słyszała dobiegające ze środka piski kobiet. Za jedną z nich jakiś pijany flisak wyrzaskiwał bełkotliwie swoją piosenkę. Zrobiła krok w tył, pozwalając, by przybysz prowadził. Była skoncentrowana i czujna do granic możliwości. Siedząca na jej ramieniu Zass miała na powrót ciasno zwinięte czułki. Trącając ją w kark, wypychała pyszczyki wprost pod jej brodę, jakby nie mogąc znaleźć lepszej kryjówki wykorzystywała to, co było jej dostępne.

Ten, który ją tu przyprowadził, odsunął kotarę i skinął na Simsę, żeby weszła. Wybrała miejsce plecami do ściany, skąd widziała większą część pomieszczenia. Bezwiednie zagięła pazury, wysunawszy ich ostre jak igły koniuszki z pochewek na palcach.

Szybko złożyła zamówienie krótko ostrzyżonemu chłopakowi w poplamionej koszuli, który przywłókł się, żeby ich obsłużyć. Wołała sama wybrać, żeby zabezpieczyć się przed próbą zamroczenia jej jakimś mocnym napitkiem. Takimi właśnie napojami handlarze zwykli ogłupiać naiwnych kontrahentów, żeby ich oszukać i zarobić podwójnie. Będzie przygotowana na wypadek, gdyby kosmita hołdował takim praktykom.

Obcy sprawiał wrażenie szczerego, wręcz palącego się do sfinalizowania sprawy, lecz mężczyzna może nosić wiele masek i nigdy nie pokazać, co się pod nimi kryje. Nadal zdumiewało ją to, że Gathar mówił o niej, a najbardziej, że tajemniczy przybysz rozpoznał ją na podstawie jego opisu. Być może rozpoznał ją dzięki obecności Zass. Pogładziła futerko na głowie zorsała. Nie, to raczej nie wchodziło w rachubę. Przecież ten człowiek patrzył na nią przy rampie, kiedy zorsal był prawie niewidoczny, ukryty w tobołku. A więc... Czekala, aż przemówi, wiedząc, że wtedy zyska niewielką przewagę.

Zsunął z ramienia dużą torbę, która spoczęła na dzielącym ich, brudnym blacie stołu. Otworzył ją i ostrożnie, jakby miał do czynienia ze złotymi listkami, wyjął dwa ze szczątków, jakie tego dnia wcześniej sprzedała Gatharowi. Widząc, jak delikatnie ich dotyka, Simsa miała ochotę warczeć z wściekłości. Była pewna, że Gathar zrobił doskonały interes, o wiele lepszy niż to, na co ona teraz może liczyć. Namacała pod

stołem dwa ukryte w kieszeni rękawa przedmioty i jej nadzieje ponownie zwyżkowały.

Jeśli te skorupy są tym, czego ten człowiek szuka, to może zdoła wywindować cenę o wiele wyżej, niż początkowo planowała.

— Gdzie to zostało znalezione? — gwiazdny przybysz nakrył ręką większy z dwóch fragmentów.

Najwyraźniej należał do tych, którzy bezpośrednio dążą do celu, gdyż nie bawił się w żadne owijanie w bawełnę. Ta demonstracja pożądlivosti wywołała u Simsy przypływ pogardy. Teraz już naprawdę wierzyła, że Gathar nieźle go naciągnął, jeśli wyczuł z kim ma do czynienia.

— Jeśli znasz Kuxortal — mówiła wolno i starannie, używając akcentu górnego miasta — będziesz również wiedział, że coś takiego — ruchem palca wskazała to, co niemal zakrywała jego dłoń — można znaleźć wszędzie. Chociaż... Przez moment pożałowała tego, co powiedziała, bo może powinna udawać, że na takie „skarby” trudno się natknąć i że jedynie ona zna tajemnicę? Nie, lepiej nie ryzykować, nie wiadomo, co Gathar już mu nagadał. Te, które już sprzedała, nie były łatwo dostępne, wręcz przeciwnie — były efektem całych sezonów grzebania w ziemi, najpierw przez Ferwar, potem przez nią samą.

— Powiadasz, że wszędzie — mówił równie wolno, jak ktoś torujący sobie drogę przez zawiłości obcego języka. — Nie sędzę, aby to była prawda. Rozmawiałem już z Lordem Gildii Arfellenem — patrzył teraz prosto w zwężone oczy Simsy, a ona siedziała nieruchomo i wytrzymywała to spojrzenie. Była zdecydowana nie okazywać najmniejszego zaniepokojenia, jeśli to, co powiedział miało być pogrożką. Mógł, przy użyciu mniejszej ilości słów, kazać ją zabrać do pokoju przesłuchań Gildii, a tam mieli takie metody, że każdy ze strachu wyśpiewałby wszystko.

Dziewczyna poczuła, że przytulone do niej małe ciało Zass całe dygocze. Już dawno temu odkryła, że zorsal potrafi odbierać jej emocje i przekładać je na własne reakcje. Pogładziła pozbawione pierza i sierści skrzydła, pokrywające górną część grzbietu zwierzęcia i niezrozumiale dla siebie samej odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— To nie ja je znalazłam, przynajmniej nie wszystkie. — Wymuszona prawda ma gorzki smak. Szczególnie dla Simsy, która rzadko mówiła prawdę. Wyjątkiem była Ferwar. Ta zawsze potrafiła rozpoznać kłamstwo i nie dawała się zwieść.

— Starucha zmarła, a wszystko po niej przypadło w udziale mnie. Trudniła się

poszukiwaniem starych przedmiotów i marzyła, że mogą się okazać prawdziwymi skarbami.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, przyszedł chłopak z obsługi trzymając napoje w rogowych czarach. Całość była elegancko podana na talerzach z parującym gulaszem oraz szczypcami i łyżką wepchniętymi na sztorc w specjalny stojak. Kosmita tak szybko i zręcznie zgarnął swoje skarby ze stołu, iż Simsa nawet pochwaliła go w myślach. Wyglądało na to, że o ile chętnie pochwalił się przed nią swoimi zdobyczami, o tyle nie miał najmniejszego zamiaru pokazywać ich innym. Zass poruszyła się i w błyskawicznym tempie zsunęła z ramienia Simsy. Taka obfitość jedzenia nie była czymś powszednim dla żadnej z nich i zorsal miał prawo być zachłanny, żyjąc od dawna na skąpych, dziennych racjach żywności. Dziewczyna uniosła szczypce, wyszukała kawałek mięsa wielkości kciuka i podała zwierzęciu, które porwało je łapczywie z gardłowym gulgotem.

— Ta mała — zauważył przybysz — wydaje się być dobrze wytresowana.

Simsa przeżuła, przełknęła chrupiący kawałek pikantnego od duszenia w gulaszu korzenia topoli i dopiero wtedy odpowiedziała:

— Zorsali się nie tresuje...

Zobaczyła jak się uśmiechnął, a jego gładka twarz zrobiła się jeszcze młodsza.

— Tak też nam mówiono — przyznał. — Niemniej jednak ten tutaj sprawia wrażenie bardzo zżytego z tobą, miła osobo. Natomiast Gathar przyznaje, że nigdy nie miał lepszych tępicieli szkodników niż te, które dostał od ciebie. Możliwe, że tylko ty posiadasz sekret sztuki zawierania przyjaźni między człowiekiem a takimi stworzeniami.

Czyżby teraz próbował pochlebstwa? Może chce ją ugłaskać, aby stała się bardziej uległa jego woli? Musiał wyczuć jej natychmiastową czujność, albo wyczytać ją w jakiś sposób z jej twarzy, gdyż odłożył na bok szczypczyki i łyżkę, nie tknąwszy nawet swojego gulaszu. Uniósł za to rogową czarę z trunkiem i trzymając go w połowie drogi do ust, obserwował ją ponad jego krawędzią. Wyraźnie widać było, że go zaintrygowała.

— Ta twoja Starucha... Ona była Grzebaczką. — Było to bardziej stwierdzenie, niż pytanie. Simsa wywnioskowała z tego, iż musiał wyciągnąć z Gathara wszystko, co wiedział na jej temat. — Czy znalazła wiele takich rzeczy grzebiąc w ziemi? Simsa uświadomiła sobie natychmiast, iż mówiąc „tak” narazi Ziemiarki na inwazję połowy sił zbrojnych Gildii. Jak psy spuszczone ze smyczy,

nieźle się wściekną, kiedy stwierdzą, że nie zostało tam już nic z podobnych drobiazgów. Musi więc być bardzo ostrożna.

— Nie mam pojęcia, gdzie je znajdowała. — To była prawda. — Dopiero niedawno zaczęła nimi handlować...

Gość pochylił się do przodu odstawiając nie tkniętego drinka, podobnie jak obiad.

— Z kim handlowała? — Mówił cicho, lecz cedził słowa dobitnie i autorytatywnie, co świadczyło o tym, z jaką mocą pragnie dotrzeć do prawdy, skoro ucieka się do takich środków.

— Był taki jeden... — Uzmysłowała sobie, iż musi przekazać mu więcej prawdy. Tyle, żeby odwrócić jego uwagę od jej osoby i skierować go do źródła, które wyschło dobre cztery sezony temu i którego odkrycie nie ujawni teraz absolutnie nic. — Stary flisak, zadłużony u Staruchy. Od czasu do czasu przynosił takie drobiazgi, potem przestał przychodzić. W okolicy wód nietrudno o śmierć, a o nim mówiono, że za jego głowę ustalona była cena; złodziej, który nie dotrzymał słowa danego Mistrzowi.

Dziwnie ukształtowane powieki nie dość szybko zakryły oczy przybysza z gwiazd. Simsa zdążyła w nich zauważyć iskierki zainteresowania. Tak więc mówienie prawdy było mimo wszystko, właściwą drogą. Postanowiła skierować jego uwagę w stronę środowiska i społeczności rzecznej, a wtedy ją samą zostawi w spokoju.

Ciążący rękaw przypominał jej o tym, co stanowiło jego zawartość. Dlaczego nie miałyby ubić z nim interesu, skoro jest łowcą staroci? Była pewna, iż uwierzył w jej historię, a ponadto był tak zainteresowany, że może z niego jeszcze sporo wyciągnąć. Szybko powściągnęła swoje rozbujane nadzieje; niedobrze jest kusić los oczekując zbyt wiele.

Odsunęła na bok stojący przed nią talerz i zaczęła rozpinać ciasny mankiet na nadgarstku. Postanowiła, że biżuterię przetrzyma na sam koniec. Najpierw pokaże mu inne przedmioty.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła nadwreżone upływem czasu rzeźby. Patrzył na nie teraz, jakby to one były talerzem pełnym gulaszu, a on sam Grzebaczem, który nie jadł co najmniej półtora dnia.

— Te są ostatnie! — Zdecydowana była postawić sprawę jasno. — Chcę je sprzedać.

Zanim zdołała go powstrzymać, uniósł rzeźbione zwierzę. Obracał je na

wszystkie strony, jakby było najcenniejszym skarbem należącym do Lorda Gildii.

— X–Arth... To jest X–Arth! — Jego głos nie był bynajmniej szeptem, ale nazwa i tak nic jej nie mówiła. Niemniej jednak wyciągnęła pośpiesznie rękę do przodu i nakryła przedmiot w momencie, kiedy próbował go podnieść do oczu.

— Najpierw interesy — powiedziała stanowczo, wykorzystując okazję i wolną dłońią zakrywając drugi kamienny fragment. — Po pierwsze, co to jest X–Arth? — Mogła mu z powodzeniem sprzedać od razu oba kawałki, gdyby zgodził się na jej cenę. W myślach podbijała ją z każdym kolejnym oddechem. Uznała jednak, że dobrze wiedzieć, dlaczego wywołały one w przybytku aż takie poruszenie. Wszelka wiedza, którą można zmagazynować w głowie, niesłychanie ułatwia życie.

Bardzo niechętnie rozluźnił uścisk i odłożył eksponat na stół, tak, aby mogła w każdej chwili go zgarnąć.

— X–Arth znaczy „pozaziemski”, z innego świata i to bardzo starego świata, z którego, jak niektórzy wierzą, pochodzi cały rodzaj ludzki. W każdym razie wierzymy w to my, którzy oblatujemy gwiazdy. Powiedz mi, czy słyszałaś kiedyś coś o kosmicie, człowieku o nazwisku Thom Tseng?

— Tym stukniętym półgłówku, który udał się w górę rzeki, a potem na pustynię w okolicy Srogich Wzgórz? Pojechał szukać skarbów i nigdy nie wrócił. Ludzie nie prowokują losu takimi podróżami.

— Był moim starszym bratem. — Nawet jeśli nie spodobała mu się tak pogardliwa ocena jego bliskiego krewnego, nie dał tego po sobie poznać. — On szukał innego skarbu, niż myślisz. Szukał wiedzy. I miał solidne podstawy, by wierzyć, że zdoła ją znaleźć. To — dotknął końcem palca głowy na wizerunku — dowodzi, że miał rację. Przyjechałem go odnaleźć.

Simsa wzruszyła ramionami.

— Jeśli człowiek przykłada nóż do własnego gardła i mówi „Odbiorę sobie życie”, dlaczego go powstrzymywać? Świat jest już przepełniony głupcami i pomyleńcami — powtórzyła słowa z Ziemiemek. — Jedni żyją, drudzy umierają, niektórzy szukają śmierci, inni przed nią uciekają... W końcu i tak na jedno wychodzi.

Jego twarz była teraz bez wyrazu.

— Pięćdziesiąt milionów kredytów — powiedział nagle. Simsa potrząsnęła głową.

— Nie robię interesów w obcej walucie — odparła zdecydowanie. Zass

wyciągnęła długą, chudą kończynę ponad jej ramieniem. Widać postanowiła obsłużyć się sama, gdyż wbiła pazury w kawałek gulaszu. Dziewczyna nie zareagowała. Co prawda nie zaspokoiła jeszcze głodu, lecz była zbyt podekscytowana. Gdyby ten kosmita wiedział, albo domyślał się, iż może wziąć darmo te dwa kawałki, których tak bardzo pragnął. Wówczas mógłby kazać wyrzucić ją, lub zwalić ze zbocza, a nawet pobić dotkliwie. Wystarczyło, by tu, w górnym mieście, krzyknął jedno słowo — „Grzebaczka”. Poza tym, jeśli później będzie próbowała pozbyć się cudzoziemskiej zapłaty w jakimkolwiek kantorze wymiany walut, mogą ją uznać za niezarejestrowaną złodziejkę. Dopiero teraz rozumiała, jaką zrobiła głupotę przychodząc tutaj. Postąpiła jak zwykły półgłówek.

— Wpłacę kredyty Gatharowi, a on je dla ciebie wymieni. Simsa obnażyła zęby dokładnie tak samo, jak zwykła to robić rozzłoszczona Zass. Właściciela magazynu czynić pośrednikiem przy zapłacie? Za kogo ten kosmita ją uważa? Przy takim załatwianiu sprawy miałyby szczęście, gdyby dostała choć dwie dziesiąte z tego, co jej się należało.

— Zapłać mi dziesięć dziesiątaków w naszej walucie, w srebrnych łamańcach — warknęła z wściekłością. Dokładnie tyle.

— Zgoda.

Wyciągnął do niej rękę, żeby przybić interes. Ten gest sprawił ją w kompletnie osłupienie. Przez moment pluła sobie w brodę, iż nie zażądała dwukrotnie więcej, jednak intuicja szybko jej podszeptała, że nie warto być zbyt pazernym. Za jednego dziesiątaka srebrnych łamańców mogła zamieszkać w dolnych partiach górnego miasta i zacząć jakoś zarabiać na życie z dala od Ziemianek. Jeśli ten gwiazdny człowiek nie umie się targować, tym lepiej dla niej.

Zgarnęła z powrotem obydwie kawałki do kieszeni w rękawie i zatrzasnęła zapięcie mankietu. Potem wyciągnęła rękę w kierunku jego wyczekującej dłoni, żeby przypieczętować ucieczkę interesu. Jej ciemna skóra odróżniała się na tle jasnej karnacji przybysza z innego świata.

— Przynies srebro, a oba będą twoje. Dobiliśmy targu i niech fortuna wychłoscze nas swoją karzącą różdżką, jeśli go nie dotrzymamy! — Wyrecytowała starą formułę targowiska, która nawet złodzieja, jeśli ją wypowiedział, obligowała do dotrzymania słowa.

— Chodź ze mną do Gathara, a natychmiast dostaniesz zapłatę.

Simsa z determinacją potrząsnęła głową. Nie miała najmniejszej ochoty

pozwolić na to, by ktokolwiek, nawet trochę zaprzyjaźniony, był świadkiem jej szczęścia. Lecz jeśli on powie Gatharowi, dlaczego potrzebuje takiej sumy? Będzie to dla niej równie niekorzystne, jak odbieranie zapłaty w jego obecności. Musi to jakoś wyjaśnić temu obcemu, tylko w jaki sposób i ile może mu powiedzieć? Czy może liczyć na zrozumienie z jego strony?

Do tej pory wszystko szło gładko, a ona uważała siebie za niezwykle sprytną. Dlaczego nie przewidziała takich trudności? Przyglądała się badawczo jego gładkiej twarzy i dziwnym, na wpół przymkniętym oczom. Potem spojrzała na zorsala i przyciskając język do zębów wydała z siebie osobliwe cmoknięcie.

Zass właśnie rozprawiała się z porwanym kawałkiem mięsa, a jej purpurowy język wysuwał się to w jednym, to w drugim kąciu wielkich ust. Na sygnał Simsy podrzuciła gwałtownie łypek, a czułki rozwinęły się i wyprostowały. Wyraźnie było widać, jak przez delikatną, przypominającą piórka sierść przeszło drżenie.

— Wyciągnij palec! — rozkazała dziewczyna, czyniąc gest w kierunku zorsala. Przybysz popatrzył na nią zdziwiony, po czym posłusznie wykonał polecenie.

Długa szyja zwierzęcia wyciągnęła się, a jego spiczasty pyszczyk przybliżył się do palca mężczyzny. Oczom przybysza ukazało się mnóstwo ostrych kłów, z których dwa były wydrążone i napełnione trucizną, mogącą sprowadzić na człowieka wielogodzinne męczarnie. Czułki opadły w dół, a ich koniuszki dotknęły na sekundę zarówno palca, jak i ręki.

Zass odwróciła głowę i wydała gardłowy dźwięk. Simsa odetchnęła głęboko. Tego rodzaju eksperyment był zupełnie nowym elementem relacji pomiędzy nią a zwierzęciem. Wcześniej przeprowadzała go zaledwie dwa, może trzy razy, lecz za każdym razem Zass udawadniała, iż nie myli się w ocenie dobrej bądź złej woli osób w ten sposób sprawdzanych. W tym wypadku pewnym utrudnieniem był fakt, iż badany jest z innego świata i zorsal mógł niewłaściwie odebrać wysyłane przez niego impulsy. Tak czy inaczej, Simsa nie miała teraz większego wyboru. Zabezpieczyła się na tyle, na ile mogła.

— Nie mów o mnie Gatharowi. Nie tłumacz mu też, dlaczego potrzebujesz srebro. Weź od niego duże kawałki, nie drobne okruchy i powiedz, że mnie nie znalazłeś. Potem je rozmień na drobne i przynieś je do... — Nie do Ziemianek; jeśli to możliwe, nie zamierzała nigdy tam wracać. Miała na oku inne miejsce. Po tym, jak ubrała się w nowy strój, przeprowadziła rekonesans w gospodach położonych w dolnych partiach miasta i upatrzyła sobie jedną, która mogła się nadawać do jej celów.

Nazywała się „The Spindwaker” i w sezonie udzielała schronienia rzeczonym handlarzom. Teraz jednak nie powinna być zatłoczona. Miejsce to cieszyło się dobrą reputacją, gdyż nie było burd i bijatyk, a dodatkowym atutem był fakt, iż właścicielka płaciła regularnie należności Gildii Złodziei, więc goście nie musieli obawiać się w jej murach kradzieży. Opowiedziała szybko o tym miejscu przybyszowi i wytłumaczyła, jak je znaleźć.

— Czego się boisz? — spytał cicho, gdy skończyła.

— Boję się? Wszystkich i wszystkiego, na tyle, by zapewnić sobie jeszcze trochę życia — odparła opryskliwie. Ten świat daje człowiekowi twarde lekcje: albo się nauczysz, albo zginiesz. Będę na ciebie czekać przed gongiem obwieszczającym świt, może być?

— Chyba zdążę wszystko załatwić — odpowiedział. Simsa wyslizgnęła się z kabiny, zabierając po drodze zorsala. Im wcześniej znajdzie się w wybranym przez siebie schronieniu, tym lepiej. Co prawda teraz na otulonych zmierzchem ulicach mogła polegać na Zass, która niewątpliwie ostrzeże ją przed każdym niebezpieczeństwem, lecz wolała nie ryzykować. Dość szybko dotarła do celu.

Wychylając się przez na wpół otwarte okiennice swojego pokoiku w gospodzie, poczuła się rozdarta. Nie wiedziała, czy wyjść, a raczej wykraść się chyłkiem ze swego obecnego schronienia, czy czekać na gong obwieszczający świt i na człowieka z innego świata. Simsa nie lubiła takiego ryzyka, jakie we własnym przekonaniu obecnie podejmowała. Z okna widziała spory kawałek ulicy, którą mogła obserwować w obu kierunkach. Usadowiony na krawędzi okiennicy zorsal, z wygiętą pod niemal nieprawdopodobnym kątem głową, również bacznie obserwował wszystko, co działo się na zewnątrz, a w nocy widział o wiele lepiej niż ona.

Niemal cała ulica pogrążona była w ciemnościach. Tu, w dolnym mieście, latarnie stały w dużej odległości od siebie. Uczyniono tak zarówno ze względów oszczędnościowych, jak i na życzenie tutejszych mieszkańców oraz osób spacerujących po zapadnięciu zmroku. Zapamiętała dokładnie przyjscia i wyjścia kilkorga z nich. Z całą pewnością byli również tacy, którzy potrafili się przemieszczać zupełnie niezauważalnie dla niej, lecz zorsal co najmniej trzykrotnie dał znać o ich obecności.

Jej kupiec nie miał powodu, by zakradać się tutaj jak złodziej. Tak więc na widok drżenia sterzących czułków Zass, starała się zachować spokój, natychmiast brała głębszy oddech i próbowała z ruchu smukłych pręcików odgadnąć, kto

przechodzi. Raz wydawało jej się, że widzi jakiś cień, lecz to było wszystko.

Już wcześniej, tuż po wyjściu niechlujnej pokojówki, zdmuchnęła lampę. Potem przy pomocy cichych pochrząkiwań Zass, służących jej za przewodnika, zbadała dokładnie pokój. Zapoznała się z jego rozmiarami, głębią i dziwnym wrażeniem bliskości, którego nauczyła się podczas pracy ze stworzeniem stale obecnym na jej ramieniu.

Choć nie potrafiła uczciwie powiedzieć, dlaczego czuje się taka niespokojna, było to jak ostrzeżenie o nadciągających kłopotach, a do stawienia im czoła Simsa przygotowywała się na swój własny sposób. Zrobiła trzy okrążenia małego pokoju; pierwsze powoli i uważnie, natomiast ostatnie z pewnością człowieka spacerującego dobrze znaną dróżką. Po każdym przystawała na jakiś czas, żeby popatrzeć przez okno.

Oferta przybysza stanowiła dla niej bakońską sumę. Fakt, że zgodził się ją zapłacić, nawet nie próbując się targować, pozwalał przypuszczać, że byłby skłonny dać jeszcze więcej. Jednak chciwość była sama w sobie zagrożeniem, a przed nią Simsa chciała się uchronić. Ostatecznie nadal posiada klejnoty. Skarb Staruchy był faktycznie niezłym spadkiem.

Ktoś nadchodził. Szedł pewnym krokiem środkiem wąskiej, wybrukowanej „kocimi łbami” ulicy. Kiedy znalazł się pod światłem drugiej w kolejności od rogu latarni, Simsa zidentyfikowała obcisły strój gwiazdznego podróżnika. Tylko, że...

Czułki Zass zeszywniały. Zorsal wydobył z siebie cichy pomruk ostrzeżenia. Kiedy przybysz był już blisko, Simsa przycisnęła się mocniej do okna, wiedząc dobrze, że jej ciemna twarz z maskującą sadzą na brwiach i rzęsach nie może zostać dostrzeżona przez żadnego obserwatora z dołu.

Sześć kroków, może trochę więcej, dzieliło przybysza od drzwi wejściowych „The Spindwaker”, gdy od innego wejścia, na skos po drugiej stronie ulicy, przemknął jakiś cień. Niczym gigantyczny szczur pałający żądzą rozerwania gardła, przyczajony dotąd napastnik rzucił się w kierunku pleców mężczyzny. Stosując jeden z manewrów wypraktykowanych przez nocnych biegaczy, odbił się i zamierzał kopnąć go z tyłu w nogi. Miał na sobie specjalnie przystosowane do tego celu buty z czterema solidnymi kolcami ze skóry. Ich uderzenie podcinało upatrzoną ofiarę, która padała bezradnie na bruk. Taki plan miał właśnie ów napastnik. Tylko, kiedy miał wykonać ostatni manewr swego sprytnego i długo ćwiczzonego ataku, akurat ta ofiara wykazała odpowiedni refleks i uchyliła się nieco w lewo. W wyniku tego, tylko jeden zabójczy

bucior sięgnął celu. W tym samym momencie przybysz z innego świata odwrócił się i wymierzył mu silny cios.

Ręka Simsy również wystrzeliła w powietrze nocy, choć ona sama nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Mogła pchnąć ją do tego obawa przed utratą jedynej fortuny, która, choć tylko w formie obietnicy, była tak blisko. Zass, która od czasu, gdy zagoiło jej się skrzydło nigdy nie odzyskała zdolności latania, nie czuła się zupełnie zagubiona w powietrzu. Zbiegła po ramieniu dziewczyny drapiąc je pazurami, a ta trwała nieporuszona, dopóki zwierzę nie wystartowało. Lot przypominał raczej trzepoczącą spiralę, daleką od pięknych, dokładnych kręgów zataczanych przez jej potomstwo. Był jednak na tyle skuteczny, iż zniósł ją w dół do walczących mężczyzn. Simsa odwróciła się i złapała przypadkową broń, którą miała pod ręką — zgaszoną lampę ze stołu. Oblewając się przy tym oliwą, wepchnęła ją w szeroki pas, kopnięciem otworzyła okiennice na całą szerokość i podążyła w ślady zorsala.

Już wcześniej zauważyła wąski występ w murze, biegnący do krawędzi frontowej ściany gospody. Z niego dość łatwo było zeskoczyć na chodnik i wylądować z nabywaną latami wprawą. Kiedy tylko ochłonęła po wstrząsie wywołanym spotkaniem z twardym brukiem, podniosła się i zaczęła biec.

Z kotłowaniny na chodniku dobiegł wrzask. Simsa pokiwała z politowaniem głową. Niespodziewany atak zorsala, tak cichy jak atak nocnego złodzieja, mógł tego ostatniego kosztować o wiele więcej niż ten krzyk, gdyby tylko Zass miała łatwiejszy dostęp do jego gardła, twarzy czy oczu.

Nim dziewczyna dobiegła, walczący rozdzielili się. Jeden leżał bezwładnie na ziemi. Tym, który stanął chwiejnie na nogach okazał się przybysz z innego świata. Gdzieś w oddali słychać było głosy. Simsa dotarła wreszcie do celu. Gdy się odezwała, mężczyzna odwrócił się gwałtownie, przyczajony i gotowy do ataku.

— Chodź, gwiazdny wędrowcze!

Złapała uniesione do ciosu ramię przybysza, pochyliła się na chwilę i opuściła obciążony skarbami rękaw, aby zorsal mógł go uchwycić i wdrapać się na jej ramię. Zwierzę zrobiło to tak szybko, że ostre pazury wbijały się w jej ciało nawet przez gruby materiał.

Następnie zsunęła palce przytrzymujące ramię mężczyzny, zacisnęła je wokół jego nadgarstka i pociągnęła w kierunku drugiego końca ulicy.

— Biegiem! — rozkazała i poparła ten rozkaz kolejnym szarpnięciem.

Trzymając się za ręce pomknęli w boczną uliczkę. Simsa była mu wdzięczna, że po drodze nie zadawał jej żadnych pytań. Kiedy znaleźli szerokie drzwi do magazynu gospody, otworzyła je pchnięciem ramienia. Ponieważ nie było handlarzy znad rzeki, boksy przeznaczone na ich towary były puste, dlatego magazyn był zamknięty tylko na dającą się wyjąć sztabę. Sprawdziła to już wcześniej, żeby się upewnić, czy w razie potrzeby będzie miała dyskretną możliwość wchodzenia i wychodzenia. Instynkt mieszkańca Ziemianek podpowiadał jej, iż zawsze należy mieć co najmniej dwa wejścia do każdej nory, dlatego zaraz po przyjsciu do gospody zrobiła rozpoznanie terenu i przygotowała się na wszelkie ewentualności. Teraz to się przydało.

Przeprowadziła swego towarzysza środkiem magazynu do tylnych schodów prowadzących na górną, zadaszoną, choć nie posiadającą ścian galerię, a stamtąd przez hol do swojego pokoju. Szybko zamknęła drzwi na zasuwę, a następnie wyciągnęła i postawiła na chybotliwym stole kapiącą lampę. Wtedy usłyszała poruszenie, przyciszone głosy i jakiś grzechot dobiegający z ulicy.

Zorsal podfrunął niezdarne do otwartego nadal okna, gdzie chwilę później, śmignawszy obok przybysza, znalazła się również Simsa.

Na dole, wokół tego, który jęcząc leżał na chodniku, zebrała się grupka mężczyzn, z górnej części ulicy, niosąc zapalone lampy, nadchodzili strażnicy, którzy normalnie nigdy nie zapuszczali się do tej dzielnicy. Oczy Simsy zwęziły się niemal jak oczy Zass, gdy biło w nie słońce. Obecność strażników Gildii wydała jej się mocno podejrzana. Nie widziała powodu, dla którego mieliby się pojawiać. Kto ich wezwał? Niemożliwe, żeby jeden głośniejszy krzyk napastnika dotarł na odległość pięciu ulic do głównej alei stanowiącej ich zwykłą trasę patrolową. Zresztą gdyby nawet dotarł, nie zwróciliby na niego uwagi, ponieważ dochodził z dolnej części miasta. Gildia Złodziei ma własnych strażników, więc...

— Ludzie Arfellena... — szept mężczyzny dobiegł z tak bliska, że poczuła na policzku jego oddech. Drgnęła zaskoczona. Nie wiedziała, że przybysz potrafi poruszać się tak bezszelestnie, by podejść do niej niezauważenie.

Lord Arfellen! Była do tego stopnia przekonana, iż napastnik należał do Gildii Złodziei, iż w pierwszej chwili wypowiedziane przez niego nazwisko zupełnie do niej nie dotarło. Dopiero, kiedy ponownie spojrzała na ulicę, zrozumiała. W świetle lamp strażników zgromadzonych wokół ciągle leżącego napastnika, zauważyła, że mieli oni na ramieniu nie odznaki Gildii, lecz jakiegoś lorda. Kilku koleśków napastnika zdołało

umknąć przed przybyciem straży, lecz dwóm właśnie fachowo wykręcano ręce do tyłu i przeciskano przez głowę pętle, Simsa była już teraz pewna, że jest to prywatna ochrona...

Arfellen! Niewiele myśląc, Simsa obróciła się na pięcie i odsłoniła pazury, gotowa rozerwać na strzępy tego głupca, który ściągnął na nią takie kłopoty. Usłyszała własny, chrapliwy odgłos wściekłości, podobny do krzyku szykującej się do ataku Zass. Dziabnęła szponiastymi paznokciami... i natychmiast poczuła na nadgarstku żelazny uchwyt. Choć była takim ekspertem w dziedzinie obrony, nie mogła wyzwolić się z tego uścisku. Wykręcił jej ramię do tyłu i przytrzymał za plecami z taką samą łatwością, z jaką pojmał więźniów tamten strażnik pod oknem. Zaraz pociągnie ją w dół schodami i dołączy do tamtej żalösnej kompanii. Nikt nie wie, co się z nią potem stanie.

Simsa drżała i nienawidziła siebie za to dygotanie. Jednak on, zamiast pchnąć ją w kierunku dopiero co zaryglowanych drzwi, przyciągnął ją do siebie. Opasał ją w talii drugą ręką i ścisnął z taką siłą, że nie mogła oddychać. W tej samej chwili usłyszała ponownie jego szept i poczuła ciepły oddech na policzku.

— Nie odzywaj się!

Kompletnie oszołomiona, próbowała zrozumieć. Czyżby ten gwiazdny podróżnik nie zamierzał domagać się ochrony od jednego z najważniejszych i najpotężniejszych lordów Gildii? Ten patrol na dole, który pojawił się tak szybko po ataku na niego, został z całą pewnością przysłany w jego obronie. Powszechnie wiadomo, że przybysze z innego świata byli w Kuxortal nietykalni. Absolutnie nikt, wysoko czy nisko postawiony, nie odważył się ich w żaden sposób napastować.

A jednak ten tutaj nie zawołał swoich rzekomych wybawców. Przeciwnie, zachowywał się jak człowiek, który ma coś do ukrycia lub kogoś się boi. Simsa zaczęła stopniowo rozluźniać się i przestała szarpać w jego paraliżującym uścisku.

Rozdział czwarty

Nikt nie zbliżył się do drzwi gospody, ani do żadnego z pozostałych domów, choć Simsa była przeświadczona, że zostaną przetrząśnięte w poszukiwaniu przybysza z innego świata. Z jakiego innego powodu straż jednego z najwyższych postawionych lordów Gildii podążałaby za nim aż do tak nisko położonej dzielnicy? Nie stawiając dłużej oporu, tkwiła w jego objęciu obserwując, jak więźniowie na polecenie strażników podnoszą leżącego na chodniku kompana i jak prowadząc, a raczej wlokąc go ruszają w obstawie straży w kierunku górnej części miasta.

Zass, która wcześniej usadowiła się na okiennicy, nastawiła rozwinięte czułki na to, co działo się na dole. Teraz, kiedy strażnicy poszli swoją drogą, przybysz puścił dziewczynę i wyciągnął rękę, żeby przymknąć okiennice. Zostali w kompletnych ciemnościach.

— Co ty właściwie robisz? — Simsa pierwsza przerwała panujące w ciemnościach milczenie. Musi się dowiedzieć, w co on się wplątał, żeby przygotować własną linię obrony.

— Wypełniam obietnicę. Przyniosłem ci to! Usłyszała szelest, a potem brzęk dochodzący z miejsca, gdzie stał.

— To jest rozliczenie pomiędzy nami.

Podeszła po omacku do stołu i odszukała lampę. Spora porcja oliwy wyciekła na jej ubranie, kiedy chwyciła ją w charakterze ewentualnej broni. Cała była przesiąknięta jej odorem. Pstryknęła zapalniczką i podpałała to, co zostało. Na stole rzeczywiście leżała sakiewka wypchana po brzegi. Po drugiej stronie blatu stał przybysz z kosmosu obserwując ją uważnie, a jego oczy, wyglądały teraz jak wążutkie szparki. Simsa nie wykonała żadnego ruchu, żeby dotknąć sakiewki. Ostatnią rzeczą jakiej pragnęła było dać się wciągnąć w sprawy tego obcego, nawet jeśli miało to polegać tylko na sprzedaniu mu tego, czego sobie życzył. Z drugiej jednak strony, zawarli przecież umowę handlową i nikt oprócz ich dwojga i Staruchy (kiedy jeszcze żyła) nie wiedział o istnieniu tych przedmiotów. Była absolutnie pewna, że jeśli rzeczywiście wysledzili, co sprzedała Gatharowi, to nikt nie miał pojęcia o transakcji z obcym. Opuści to miejsce jeszcze przed świtem, korzystając z tylnego wyjścia lub nawet po dachach domów, jeśli to będzie konieczne. Mimo to — musi wiedzieć.

Lepkimi od oliwy palcami rozpięła mankiet i namacała w nim rzeźby, przez cały czas wlepiając czujny wzrok w mężczyznę. Stał nieporuszenie z pustymi, luźno opuszczonymi rękoma.

Kiedy dziewczyna wyciągała małe zawiniątko, coś jeszcze wypadło z rękawa i potoczyło się wprost w światło lampy. Turlało się w takim tempie, że uwolniło się ze szmatki, w którą było zawinięte. Simsa pomyślała, że wygląda to tak, jakby sam los zaczął ją zdradzać. Błyskawicznie wyciągnęła rękę, lecz złapała tylko samą szmatkę, a jej zawartość objawiła się w całej okazałości w jasnym kręgu pod lampą.

Pierścień nie błyszczał. Metal, z którego go wykonano miał zbyt delikatny połysk. Być może za długo leżał w ziemi, a jego jedyny kamień był młecznie nieprzezroczysty i nieoszlifowany, dlatego nie mógł jaśnieć w całej swej krasie. Tak czy inaczej, objawił swoje istnienie wbrew jej woli, więc już nie dało się go ukryć.

Tym sposobem obrączka ze swoim miniaturowym zamkiem, stanowiącym oprawę dla nieznanego kamienia, spoczywała teraz na stole widoczna dla nich obojga. Simsa cisnęła na bok zawiniątko z rzeźbami i schyliła się, sięgając uzbrojonymi w pazury palcami po pierścień. Mogła się rozstać, skoro zaistniałaby taka sposobność i potrzeba, z dwoma innymi sztukami biżuterii, tymi ze schowka Staruchy, ale z tym — za nic! Od pierwszej chwili, gdy go znalazła, czuła wewnętrzne prawo do jego posiadania; wiedziała, że musi należeć wyłącznie do niej.

Przybysz podniósł zawiniątko, wytrząsnął z niego rzeźby i zbadał je jak każdy rozważny nabywca, jednak zaraz potem przeniósł uwagę z powrotem na jej rękę. Simsa sama nie wiedziała dlaczego, być może z przekory lub chęci sprowokowania go w odwecie za to, że tak gładko rozprawił się z nią przy oknie, nie tylko nie schowała pierścienia, ale ostentacyjnie wsunęła go na kciuk, prezentując w całej okazałości.

Nie schylił głowy, by się bliżej przyjrzeć. Była jednak przekonana, iż studiuje każdy jego szczegół. W końcu nie wytrzymał i odezwał się, jednak brzmiało to tak, jakby słowa cisnęły mu się na usta wbrew jego woli.

— A to skąd pochodzi?

— To? — stuknęła w pierścień lekko wysuniętym pazurem drugiej ręki. — To podarunek od Staruchy.. (co w pewnym sensie było prawdą, ponieważ gdyby nie zadała sobie trudu pogrzebania Ferwar, nigdy by się na niego nie natknęła). — Nie mam pojęcia, skąd go miała.

Teraz wreszcie wyciągnął rękę.

— Czy pozwolisz mi go obejrzyć?

Nie zdjęłaby go za nic. Im dłużej czuła jego ciężar na palcu, tym bardziej wydawało jej się to naturalne. Uniosła jednak nieco rękę, zbliżając ją do jego oczu.

— To może być X–Arth — powiedział niezwykle czule, niemal w zachwycie. — Być może to pierścień Księżycowej Siostry zwanej też Wysoką Damą. Ale tutaj?

Simsa doszła do wniosku, że skierował to pytanie bardziej do siebie, niż do niej. Poczowała przyływ nowej fali ciekawości.

— Co za Księżycowa Siostra? Wysoka Dama? Tak, słyszałam o nich.

Potrząsnął głową, a kiedy zaczął mówić, w jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

— Nie mówię o żadnej z dam waszej Gildii Lordów. Wysoka Dama należała do innego świata i czasu. Potrafiła przyzywać moce, których moja rasa nigdy nie była w stanie zmierzyć, a księżyc był jej koroną i siłą.

Chociaż Grzebacze nie modlili się, ani nie padali na kolana przed nikim z wyjątkiem Fortuny, Simsa pomyślała, że zrozumiała rangę Wysokiej Damy — była niczym bogini.

Świątynie górnej części miasta służyły jedynie ludziom posiadającym cenny kruszec do składania go w ofierze. Simsa natomiast nigdy nie słyszała, żeby w którymś z tych miejsc jakiś bóg zareagował na mamrotaną po cichu bądź wyśpiewywaną pełnym głosem modlitwę. Jeśli na tym świecie istnieli bogowie lub boginie, to zajmowali się oni jedynie tymi, których Fortuna już otoczyła swoim ciepłym ramieniem. Tylko w jaki sposób symbol bogini znanej przybyszowi z innego świata znalazł się pod głazem na cmentarzysku?

Te dzieła X–Arth, na które on poluje... co ma z tym wspólnego Lord Arfellen?

— Ci strażnicy... Oni szli za tobą. — Odwróciła pierścień tak, że widoczna była tylko obrączka, natomiast zamek, jak on go nazwał, był schowany w jej garści. — Co Lord Arfellen ma wspólnego z tobą i, co ważniejsze, czy wie o mnie?

Nie była pewna, czy powie jej prawdę. Marszcząc brwi zawijał rzeźby w tę samą szmatkę, której ona używała do tego celu. Potem włożył je ostrożnie do kieszonki w pasku. Nic nie odpowiedział, tylko przemierzył pokój i podszedł do okna krokiem tak szybkim i lekkim, że pomimo swoich kosmicznych butów nie uczynił najmniejszego hałasu. Zerknął przez szparę pomiędzy okiennicą a ramą.

— Lampa — wykonał zniecierpliwiony gest, a ona natychmiast odgadła, co chciał jej przekazać. Zdmuchnęła płomień, po czym usłyszała skrzypnięcie okiennicy;

widocznie ją otworzył. Zass poskarżyła się chrząknięciem, więc Simsa dołączyła do mężczyzny w samą porę, by przejąć ją na swoje ramię,

Na dole nic się nie działo. Nie było żywego ducha. Wyglądało tak, jakby patrzyli na ulice wyludnionego miasta. Wychowana w Ziemiankach i wyczulona na sygnały ostrzegawcze tego typu miejsc, Simsa natychmiast zrozumiała groźbę wiszącą w tej niczym nie zmaconej ciszy.

— Lord Arfellen — wyszeptała.

Błyskawicznym ruchem przycisnął dłoń mocno do jej ust. Jego odpowiedź była ledwo słyszalnym tchnieniem. Nigdy by nie uwierzyła, że potrafi mówić tak cicho, a mimo to słowa docierały do niej zupełnie wyraźnie.

— Słuchaj dobrze. Ludzie Arfellena śledzili mnie. Czy jest stąd jakieś wyjście? Możliwe, że wypuścił nie tylko strażę, żeby mnie zaszczyć...

Pytanie, ile może zarobić udzielając mu pomocy, zaświtało jej w głowie tylko po to, by natychmiast pociągnąć za sobą poczucie zagrożenia. Jeśli ludzie Gildii Lordów polują na tego kosmitę, obcego, chronionego przez wszelkie obyczaje i prawa Kuxortal, to o ileż bardziej opłaci im się zabrać ją, za której skórę nie będą musieli przed nikim odpowiadać? Mogą rozetrzeć ją na proch w jednym ze swoich pokoi przesłuchań, wydusić z niej wszystko, co wie i próbować wycisnąć jeszcze więcej. W obecnej sytuacji, jeśli tylko przybysz będzie bezpieczny, ona sama może mieć również nadzieję na zyskanie czasu, aby wypracować sobie metody ucieczki przed zagrożeniem.

W grę wchodziło wyłącznie jedno miejsce — Ziemianki. Nikt z górnej części miasta nie przychodził tam, by czegośkolwiek i kogokolwiek szukać. Jest tam zbyt wiele ścieżek i korytarzy, zbyt wiele dziur służących za kryjówki. Ci z górnej części już dawno stracili nadzieję na dopadnięcie kogoś, kto tam uciekł. W gruncie rzeczy zdali się również na poczucie jedności samych Grzebaczy. Nie akceptowali oni żadnych obcych, a co za tym idzie, wydaliby i dostarczyli władzom każdego uciekiniera.

Jedynie w przypadku, gdy ktoś dobił targu z Grzebaczem, posiadał dostatecznie silną broń, by ochronić siebie i swoją zdobycz. Tylko taki uciekinier mógł liczyć na azyl, ale jedynie przez krótki czas.

Myśli Simsy wirowały jak oszalałe. Był jeden sposób na zabranie obcego dokładnie w to miejsce, którego miała nadzieję już nigdy nie oglądać. Ludzie będą gadali, owszem — ale mogła to zrobić otwarcie i nikt nie odważy się stanąć pomiędzy

nią a wątpliwym, umykającym bezpieczeństwem. Jednak najpierw najważniejsze — pieniądze.

Wyślizgnęła się z objęć przybysza, złapała sakiewkę z łamańcami, wepchnęła ją głęboko w rękaw i zapięła mankiet. Następnie jej dłonie powędrowały do ciasno obwiązanej głowy. Ściągnęła prowizoryczny turban i jednym potrząśnięciem uwolniła gęste, matowe, srebrzyste włosy. Z kolei przetarła kawałkiem opaski brwi i rzęsy, usuwając z nich ochronną barwę. Teraz przestała grać rolę „Cienia”. Czekają ją odegranie zupełnie odmiennej roli.

— Jest wyjście — powiedziała cicho w trakcie pozbywania się kamuflażu. — Mamy w Ziemiankach kilka kobiet, które sprzedają się za pieniądze. Co prawda żadna nigdy nie sprowadziła człowieka ze statku. Za to drobni handlarze znad rzeki, kiedy się upiją, przychodzą zaznać nieco przyjemności. Teraz podeszła do łóżka, które w marzeniach miało stanowić jej miękkie posłanie, a którego nie miała nawet okazji wypróbować i ściągnęła kapę. Weź to — powiedziała rzucając w jego kierunku. Stał jak ciemna plama pomiędzy nią a otwartym oknem. Tylko światła dochodzące z dołu były teraz wystarczającym przewodnikiem. — Nałóż to na siebie jak pelerynę. Szybciej... Chyba zniesiesz jakoś to, że wezmą cię za mężczyznę, który przyszedł kupić rozkosz od kobiety z Ziemianek?

Szedł za nią, aczkolwiek nie była pewna, czy naprawdę tego chce. Raz jeszcze przeszli przez zaplecze gospody, tą samą drogą, którą niedawno wchodzili.

Gdy przechodzili pod przyćmioną latarnią, wydało jej się, że usłyszała jego stłumiony okrzyk, lecz kiedy się odwróciła, milczał. Weszli w boczną uliczkę. Simsa prowadziła, on podążał za nią bezszelestnie, niemal depcząc jej po piętach. Zeszli w dół, do muru stanowiącego punkt graniczny między miastem a peryferiami. Miał on swoje tajemnice, dobrze znane jej współbraciom. Zatrzymała się w miejscu wyglądającym jak regularny fragment tegoż muru, lecz będącym w rzeczywistości twardą jak żelazo drewnianą płytą. Była tak sprytnie pokryta farbą i brudem, że niczym nie różniła się od solidnego kamienia po obu jej stronach.

Simsa prześlizgnęła się tędy z łatwością, natomiast jej duży towarzysz miał nieco trudności, jednak szybko się z tym uporał. Kilka kroków dalej zionęło czernią otwarte zejście do piwnicy. Simsa skoczyła bez wahania w dół, gdzie wzięła go za rękę i przeprowadziła labiryntem korytarzy, znanych jej o wiele lepiej, niż ulice ponad ich głowami.

Tym sposobem, po zaledwie dobie nieobecności, wróciła do miejsca, którego

nigdy więcej nie zamierzała oglądać — do wygrzebanej w ziemi nory Ferwar. Odszukała po omacku lampę, której paliwo różniło się od oleju, jakiego używano w górnej części miasta. Był to tłuszcz wyciskany z pewnych okropnie cuchnących orzeszków ziemnych, które w wyniku ugniatania puszczały soki. Proces ten był niesamowicie pracochłonny i długotrwały, więc światło lampy w Ziemiakach było na wagę złota. Mimo to Simsa postanowiła ją zapalić. Jeśli patrzą na nią teraz czyjeś oczy, niech widzą, że nie jest sama. Nie mniej jednak, kiedy oliwa zapłonęła w sfatygowanej, podobnej do spodka miseczce z wysuszonego błota i oświetliła twarz jej gościa, Simsa poczuła się nieswojo. Nie była przygotowana na wyraz takiego zdumienia w jego oczach. Poczula wręcz, że od tego spojrzenia przechodzą ją ciarki. Potem uświadomiła sobie, dlaczego on tak patrzy. Po raz pierwszy w jego obecności zdjęła z siebie tę maskującą powłokę, która czyniła ją „Cieniem”.

— Ależ ty jesteś... jesteś kobietą! — Jego zaskoczenie było tak jawne i nieograniczone, że znów poczuła jak przeszywa ją lekki dreszczyk. Czyżby jej przebranie tak dobrze spełniało swoją rolę, że nie rozpoznawano nawet jej płci, kiedy wypuszczała się na swoje eskapady? Teraz przypomniała sobie, że przy pierwszym spotkaniu on rzeczywiście zwrócił się do niej z tym dziwacznym, pozaplanetarnym pozdrowieniem, jakie, co wielokrotnie słyszała, kierowano pod adresem mężczyzn. Wtedy jednak pomyślała, że ci obcy mają tylko jedną formę powitania dla wszystkich, niezależnie od płci.

Teraz, niemal bezwiednie, uniosła ręce i przeciągnęła palcami po srebrzystych włosach. Zafalowały lekko pod dotykiem, a lżejsze pasemka zakołysały się w powietrzu naelektryzowane tą pieszczotą. Rzadko i wyłącznie na osobności rozpuszczała je w taki sposób. Prawdę mówiąc odczuwała teraz dziwne zakłopotanie, którego lepiej było nie okazywać.

— Jestem Simsa — możliwe, że Gathar wymienił już jej imię.

Zobaczyła, jak wyraz zdumienia na twarzy przybysza przechodzi w lekki uśmiezek.

— Moje imię z Domu brzmi Thom — złożył obie dłonie na wysokości piersi i pokłonił się przed nią. — Imię nadane mi przez ojca to Chan-li. Przyjaciele mówią na mnie Yun.

Simsa wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

— Cóż za obfitość imion! Jak ludzie, wśród których żyjesz, radzą sobie z wyborem, kiedy się do ciebie zwracają? — Usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami

na stercie mat należących niegdyś do Ferwar. Gestem dłoni bogatej w pierścien wskazała mniejszą kupkę własnoręcznie tkanych, trzciniowych kwadratów służących jej za posłanie.

Siadł zręcznie w ten sam sposób. Wszystko u tego obcego było dla niej niezwykle. Uśmiech znikł z jego warg, lecz zdawał się utrzymywać nadal w jego oczach, które rozwarły się na całą szerokość, kiedy ją zobaczył i tak już zostały.

— Krewni mówią do mnie Chan, przyjaciele Yun.

Ponownie przeczesła palcami włosy. Siedzenie tutaj i gadanie o niczym nie satysfakcjonowało jej. Było coś, czego musi się dowiedzieć i to jak najprędzej.

— A teraz powiedz mi — rozkazała — co jest między tobą a Lordem Arfellenem, że jego strażnicy łażą za tobą? Dlaczego nie masz żadnego z nich w obstawie? Czy wiesz, że wystarczy, by ten człowiek skinął palcem o tak — wyprostowała ozdobiony pierścieniem kciuk i zgięła go lekko w powietrzu — żeby odebrać życie niemal każdemu w Kuxortal? Może także sprawić, by paru innych, których nie zabił od razu, trzęsło się ze strachu. Co takiego zrobiłeś?

Thom nie wydawał się w najmniejszym stopniu zakłopotany jej pytaniem. Siedział tak spokojnie, jakby był zwykłym Grzebaczem. W gruncie rzeczy spokojniej niż każdy, kto odważyłby się teraz wejść do tej szczególnej izby.

— Zadawałem pytania dotyczące mojego brata, który kilka lat temu wyjechał do waszego świata i słuch po nim zaginął, choć zobowiązał się pod słowem honoru stawić na spotkanie. Dlatego podejrzewam, że popadł w straszne tarapaty. Mówiłaś o nim jako o pomyśleńcu, który udał się do Srogich Wzgórz. Przysięgam ci, że niezależnie od tego, co wydawało się twojemu ludowi, miał istotny powód, żeby tam dotrzeć i odszukać to, co przyjechał odkryć. A teraz... — zawahał się przez moment, po czym dokończył ostrym tonem, niczym wydający rozkaz człowiek Gildii — czy możesz mi powtórzyć wszelkie inne plotki na jego temat? A może wiesz, dlaczego ktoś mógłby chcieć go skrzywdzić?

— Sam mógł sobie zrobić krzywdę i to na setki sposobów — odparła tonem równie chłodnym i surowym jak jego. — Srogie Wzgórze mają mnóstwo tajemnic. Większość ludzi podróżuje płynąc rzeką lub morzem. Dawno temu, gdy byłam bardzo młoda, z Qurux nieustannie przybywały karawany przechodzące przez pustynne tereny przylegające do Srogich Wzgórz. Handlarze z Semmele przywozili dziwne rzeczy z północy na handel. Potem dotarły do nas wieści o zarazie, która zmieniła Semmele w miejsce trupów i duchów, więc karawany przestały przybywać. W sumie

przywieźli niewiele. Gildie mogły bez trudu zaopatrzyć się w to samo u flisaków. I tym sposobem tamta droga przestała istnieć. Owszem, wzmogło się zaciekawienie ludzi, kiedy ten przybysz z innego świata wytropił trzech ze starych karawaniarzy. Mówili, że proponował majątek w łamańcach temu, kto zgodzi się zostać jego przewodnikiem. Dwóch oparło się jego namowom, trzeci zaś odbył pogawędkę z jednym ze strażników Lorda Arfellena, po czym zgodził się pójść. — Nagle uświadomiła sobie znaczenie własnych słów i powtórzyła powoli — Ze strażnikiem Lorda Arfellena... — bardziej do siebie, niż do niego.

— Przekłete bydlaki! — Posługiwał się językiem handlarzy tak swobodnie, że gdyby zamknęła oczy, sądziłaby, iż pochodzi z Kuxortal. — A ci dwaj pozostali... nadal tu są?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jeśli są, to Gathar z pewnością znajdzie ich dla ciebie. Przecież zlecałeś mi już podobne zadania, prawda?

Znów się uśmiechnął.

— Twoja wiedza zdaje się nieograniczona, miła pani Simso. Czy dotyczy ona większej ilości takich spraw, jak ta? — Poklepał kieszonkę w pasku, gdzie włożył rzeźby.

— Wiem tylko tyle, że Starucha lubowała się w takich rzeczach. Zatrzymywała wszystko, co jej przynoszono i co ja znajdowałam.

— Co znajdowałaś? Gdzie? — uczeplił się pożądliwie jej ostatnich słów.

— W Ziemiakach. My, Grzebacz, dokopujemy się do minionych lat Kuxortal i żyjemy z jego odpadków. Niektóre z nich są bardzo stare. Niegdyś to — ogarnęła gestem swoją izbę — mogło równie dobrze być częścią pałacu jakiegoś lorda. W tamtym kącie, na ścianie są nadal resztki farby. Domy padały, na ich miejsce budowano nowe, a cenniejsze przedmioty ginęły w tej zawierusze. Kuxortal było splądrowane przez piratów, trzykrotnie atakowane przez armie, a potem było powstanie Lordów Rzeki i ich sojuszników. Dużo zostało zniszczone i wielokrotnie odbudowywane. Grzebacz żyją przeszłością i tym, co zdołają wykopać ze swoich tuneli. Dla Lordów Gildii jesteśmy nikim.

— Nawet tutaj musiałaś jednak słyszeć o rzeczach, jakie dzieją się w górnej części miasta. — Nie mógł oderwać oczu od jej srebrzystych włosów. Simsa pomyślała, że przygląda się jej tak badawczo, jakby to właśnie ona była jakimś cennym kaskiem, który objawił mu się w tych podziemiach. — Co wiesz o Lordzie

Arfellenie?

Zaintrygował ją. Mówił do niej, jak do równej sobie, co nigdy dotąd, jak sięga pamięcią, jeszcze mu się nie zdarzyło. Dla Staruchy zawsze była dzieckiem, dla Grzebaczy obcą, choć była przekonana, że urodziła się wśród nich. Mimo to wyróżniał ją spośród nich kolor skóry i włosów. Dla Gathara, jej głównego klienta w górnej części miasta, była jedynie młodocianym osobnikiem z gatunku, którym jego rodzaj od dawna pogardzał. Jej umiejętność tresury zorsali zyskała sobie jego wstrzemięźliwy szacunek na tyle, na ile było mu to pomocne. Jednak dla tego przybysza była osobą, którą pytał o radę, kimś, kogo wiedza i opinie były traktowane z równą estymą, jak zdanie mieszkańca górnej części miasta.

— Jest najbogatszym z całej Gildii Lordów, a jego ród jest najstarszym — zaczęła. — To właśnie on co trzeci sezon jako pierwszy pod pisuje umowy handlowe na przywożone towary. Rzadko się pokazuje, od tego ma ludzi, którzy są jego rękami i nogami. Jest... — zwilżyła wargi koniuszkiem języka; to, co miała teraz powiedzieć było czystym domysłem i plotką. Wahala się, czy dodać to, żeby poszerzyć nieco zasób faktów, które już od dawna znała.

— Mów dalej — przerwał przedłużające się milczenie.

— Opowiadają o nim historie, że szukają go w jednym miejscu i nie mogą znaleźć, a potem on wychodzi stamtąd i powiada, że zawsze tam był. Mówią też, że nie chodzi do żadnej ze świątyń na wzgórzach jak inni lordowie, lecz trzyma na swoich usługach jednego takiego, który rozmawia z umarłymi. I że jest poszukiwaczem...

— Poszukiwaczem! — Thom skoczył niczym zorsal atakujący szczura. — Czy plotkują również o tym, czego poszukuje?

— Skarbu. Chociaż wcale go nie potrzebuje, gdyż do jego twierdzy zawsze dużo wpływa, a mało wypływa z powrotem. Wynajmuje wielu strażników, którzy niekiedy podróżują w górę rzeki. Ich przywódca zwykle wraca w następnym sezonie, a reszta straży pozostaje. Może sprzedaje ich jako wojowników Rzecznym Lordom — tam ciągle są jakieś niesnaski.

— Nigdy nie słyszałaś, żeby wysyłał kogoś do Srogich Wzgórz?

Simsa roześmiała się.

— Nie zapuściłby się tam za żadne skarby świata. Nikt nie jeździ w tym kierunku. Mówię ci, nikt.

— A jednak ktoś pojedzie. — Pochylił się nieco do przodu, uchwycił jej

wzrok i przetrzymał przez dłuższą chwilę. — Ponieważ to ja pojedę, miła pani.

— Zatem umrzesz, tak jak twój brat. Nie ukrywała, iż jedynym, co zrobiło na niej wrażenie, była jego głupota.

— Myślę, że nie. — Wyjął z kieszonki dwa zakupione od niej kawałki rzeźb. Muszę ci to powiedzieć, miła pani, lecz najpierw mi odpowiedz — na ile jesteś bezpieczna w tych swoich Ziemiakach?

— Bezpieczna? Dlaczego pytasz?

Nim zdołał odpowiedzieć, Zass wyprostowała się na swojej grzędzie ponad niskimi drzwiami. Odrzuciła łeb i wydała okrzyk, który postawił Simsę na równe nogi. Jej szpony natychmiast ukazały się w całej długości, jako reakcja na alarm, który ułamek sekundy wcześniej dotarł do jej mózgu. Chwilę później w drzwiach pojawiły się dwa skrzydlate stworzenia. Wpadły do izby jak burza, wprost z tunelu za drzwiami, krzycząc głośno w odpowiedzi na powitanie Zass, po czym obniżając lot, opadły tuż przed dziewczyną.

Nie mogło być pomyłki — to synowie Zass. Ich obecność tutaj oznaczała jakąś katastrofę w ich stałym miejscu pobytu, czyli w magazynie Gathara. Obcy chwycił ją kurczowo za rękę.

— Czy ktoś mógł je śledzić?

— Nikt prócz innego zwierzęcia z ich gatunku. A nie znam żadnych, które byłyby tak wytresowane. Lecz — przeniosła wzrok z zorsali na przybysza — nie rozumiem, co one tu robią. Nie opuściłyby Gathara pod żadnym pozorem, chyba że stało się tam coś złego. Czy z tego powodu pytałeś mnie o bezpieczeństwo? Co przydarzyło się Gatharowi? — A co ważniejsze, co może przytrafić się jej, znanej powszechnie jako osoba robiąca interesy z właścicielem magazynu, nawet jeśli ograniczały się one wyłącznie do zorsali? Wielu wiedziało, że je tresowała i tylko wynajmowała zwierzęta do różnych usług, odmawiając mu ich sprzedaży.

— Nie od niego dostałem srebro na zapłatę dla ciebie — odparł przybysz. — Kiedy doszedłem do jego domu, zobaczyłem przy drzwiach ludzi z odznakami Arfellena. A już wcześniej ostrzeżono mnie, że moje prywatne dochodzenie przestraszyło lorda. Nie wiem, czego on szuka. Nie ma powodu przecież, by łączono moją osobę z jego kłopotami handlowymi, jeśli w ogóle takowe istnieją. Jednak jeden z członków załogi przekazał mi wiadomość, iż dokładnie wypytano o mnie kapitana. Nakazano mu dopilnować, żebym był na pokładzie, kiedy statek wystartuje.

— A mimo to przyszedłeś do mnie!

Wypluła te słowa z autentyczną wściekłością i nagle zapragnęła poryć pazurami gładką skórę przybysza o kolorze kości słoniowej. Pragnęła, żeby ani przyjaciel, ani wróg już nigdy go nie poznał (i nie mógł nazwać właściwym imieniem). Wiedziała jednak od Staruchy, że ktoś powodowany złością popełnia fatalne błędy.

— Ponieważ musiałem. Nie tylko, żeby odebrać to, co mi pokazałaś, a co prawdopodobnie stanowi bardzo ważny drogowskaz do celu moich poszukiwań. Głównie z tego względu, że tylko ty możesz mi teraz pomóc zgromadzić potrzebną wiedzę. Ponadto — nadal patrzył jej prosto w twarz, a co więcej, w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu — ty też nie jesteś już bezpieczna. Czyż nie mam racji sądząc, iż każdy kto miał coś wspólnego z Gatharem, może być teraz podejrzany i oskarżony o naruszenie przepisów? Sama wiesz, co się za tym kryje.

— Czego chcesz ode mnie? — Oba zorsale podpełzły do jej stóp i patrzyły w górę na jej twarz pochrząkując cichutko, jakby oczekiwały pociechy. Cokolwiek sprowadziło je tutaj z ich wygodnej kwatery było na tyle okropne, że przyleciały wyraźnie przestraszone.

— Potrzebuję teraz dobrej kryjówki oraz wszelkich dostępnych informacji i wskazówek, jak dotrzeć do Srogich Wzgórz — wymienił, jakby recytował pozycje z listy zapotrzebowań handlarza.

Miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, że nie jest robotnicą wszechmocnej Fortuny. Sądząc z tego, co usłyszała i czego domyślała się z przybycia zorsali, mieli szczęście, że jeszcze nie zostali pojmani. Z dzikim błyskiem w oczach rozejrzała się po ziemiance. Zawsze uważała się za osobę opanowaną i ostrożną, za kogoś, kto planuje i myśli, zanim podejmie jakieś działanie. Teraz jednak zaczynała tracić wiarę w siebie.

Nie. Przygryzła wargę. Dzięki surowemu wychowaniu Ferwar wiedziała, iż teraz musi wziąć się w garść. Nadal była w stanie myśleć, planować... Na początek spojrzała w kierunku zorsali i wydała pojedynczy, krótki okrzyk, będący rozkazem poszukiwania. Siedząca ciągle na grzędzie ponad drzwiami Zass poparła jej polecenie i ponagliła swoje potomstwo do wypełnienia ich obowiązków. Miały ponownie udać się na zewnątrz, na zwiady i przeszukać Ziemiarki wzdłuż i wszerz.

Nikt z tutejszych mieszkańców nie udzielił im pomocy. Kiedy Ferwar żyła, wszyscy jej się bali, natomiast Simsy nie lubiano i odrzucano ją, a po tym, jak publicznie skompromitowała Basltera, wielu ją znienawidziło. Skwapliwie wskażą

ziemiankę Simsy każdemu, kto będzie jej szukał. A wtedy ona i ten po dwakroć przeklęty przybysz z innego świata zostaną wygarnięci stąd z taką łatwością, jak dobrze uparowany krab ze skorupy.

Nie miała wyboru. Istniała tylko jedna możliwość, wymuszona przez okoliczności w zbyt szybki i zbyt drastyczny sposób. Żeby coś zaplanować, potrzebowała czasu, a wiedziała, że go nie ma. Z tym cudzoziemcem depczącym jej po piętach nie mogła ponownie wcielić się w rolę „Cienia”. Wszędzie w Kuxortal będzie tak widoczny, jak zapalona lampa w ciemnym pomieszczeniu.

— Tędy!

Obróciła się na pięcie, podeszła do mat służących niegdyś za posłanie Ferawar i zaczęła je odciągać, ujawniając tajemnicę, której Starucha przez długie sezony strzegła własnym ciałem. Musiała w to włożyć mnóstwo pracy, a szczegółów Simsa nie znała do dziś. Thom dołączył do niej bez pytania, składając na kupkę maty, które popychała w jego stronę. Pod spodem, w mdłym świetle ziemianki, leżał podłużny kamień, pozornie trzymający się podłoża, jak ukorzeniona roślina. Jednakże dziewczyna poznała już jego sekret. Stało się to zupełnie przypadkowo, gdy kiedyś potknęła się o Zass i upadła jak długa z wyciągniętymi rękoma w to właśnie miejsce. Tak więc teraz klęczała i naciskała mocno dłońmi na pewne bardzo płytkie, ledwie namacalne wcięcia.

Pod wpływem silnego nacisku, koniec kamienia uniósł się. W ich twarze buchnął odór stęchlizny. Simsa cmoknęła na Zass, wiedząc, że nie musi przywoływać pozostałych dwóch, gdyż bez trudu potrafią wytropić matkę do samego końca tej drogi. W jedną rękę wzięła lampę, drugą przygarnęła do siebie zorsala i zaczęła schodzić płytkimi stopniami w dół. Przybysz ruszył za nią. Nie odwracając głowy powiedziała:

— Pod spodem kamienia jest uchwyt, włóż w niego rękę i zasuń kamień z powrotem. W ten sposób zamkniesz za nami włącz. — Pospiesznie zeszła niżej, żeby zrobić mu miejsce na wykonanie polecenia. Potem stanęła w bardzo wąskim korytarzyku o podłożu pokrytym grubą warstwą kurzu, lecz z powietrzem przesyconym wyraźnym zapachem rzeki. Wierzyła głęboko, że znalezienie tego tajnego wyjścia zajmie dużo czasu nawet Grzebaczom. Mogą więc, brnąć wśród śmieci i odpadków, dotrzeć tędy do brzegu rzeki, a dalej... Tego jeszcze nawet nie próbowała planować.

Rozdział piąty

Gdy Simsa precisięła się przez ostatnie przejście, w twarz uderzył ją zapach morza, wymieszany z odorem gnijących odpadków. Zass podskoczyła i zamruczała coś pod nosem, natomiast przybysz gramolił się z mozołem z tyłu przez otwór. Tym sposobem znaleźli się na zewnątrz, w ciemnościach nocy, choć Simsa przeczuwała, iż świt jest już blisko. Ruszyła naprzód, brnąc przez cuchnące hałdy wymytych przez wodę śmieci, kałuże gnijących substancji niewiadomego pochodzenia. Jedną ręką zakrywała usta i nos, żeby w miarę możliwości nie wdychać niesamowitego smrodu. Myślała z rozgoryczeniem i żalem o swoim nowym, tak ciężko zarobionym ubraniu, które w tych warunkach wkrótce zmieni się w gorsze łachmany, niż te, na które je zamieniła.

Kiedy przebrnęli przez najgorsze hałdy i stanęli na kawałku czystego piasku, wymytego przez nadchodzący przypyływ, obróciła się szybko do swego towarzysza.

— Twój statek jest tam — poinformowała go ściszym głosem. Złapała go w ciemnościach za ramię i obróciła tak, że stanął twarzą do odległego lądowiska, którego miejsce wyznaczał blask świateł. — Możesz tam dojść od strony morza.

— Mój statek? Nie ma żadnego statku, do którego chciałbym dojść — oświadczył twardo.

— Jesteś z innego świata. — Simsa musiała jeszcze tylko dowiedzieć się, jaką rolę mogą odegrać Lordowie Gildii w przyszłości człowieka z gwiazd. Z całą pewnością nie mogą go napaść ani zatrzymać. Za bardzo zależało im na wymianie handlowej z kosmosem, by rozgniewać przybyszów z innego świata stanowiących załogi statków, poprzez jakiegokolwiek działanie na szkodę członka ich grupy. Wszyscy w Kuxortal zbyt dobrze zdawali sobie sprawę, jakie mogą być następstwa zatargu z ludźmi ze statku.

— Nie jestem członkiem załogi. Przyleciałem tu na własną rękę — odpowiedział.

— Mówiłeś, że Lord Arfellen zabronił ci zostać i nakazał, byś znajdował się na statku, kiedy ten wzbije się w przestrzeń — przypomniała mu zdenerwowana.

— Mam pewne zobowiązania, których żaden kapitan statku nie może kwestionować. Przyjechałem odszukać człowieka. Nie wyjadę, nim go nie znajdę lub nie dowiem się, co się z nim stało. Nie wystarcza mi ogólnikowe stwierdzenie, że

zniknął na terytorium, o którym pozornie nikt nic nie wie i że potem nikt się nie pofatygował, żeby zorganizować poszukiwania.

— A zatem zamierzasz sam go odszukać. W jaki sposób chcesz się dostać do Srogich Wzgórz? Żaden człowiek w Kuxortal nie udzieli ci pomocy, a już na pewno nie w sytuacji, gdy Lord Arfellen tego zabroni.

Nie widziała go wyraźnie, był jedynie ciemniejszą plamą na tle nocy. Jego odpowiedź zabrzmiała spokojnie, w głosie przebijała jednak nuta, która ją zaniepokoiła.

— Zawsze istnieją sposoby na uzyskanie czegoś, czego się naprawdę pragnie i czemu poświęca się całą energię. Jestem pewien, że zobaczę Srogie Wzgórze. Tylko co będzie teraz z tobą?

— A więc w końcu pomyślałeś i o tym — warknęła. — Jeśli Gathar jest w opałach, do Kuxortal nie mam już po co wracać. Wszyscy, którzy prowadzili z nim interesy odpokutują za to, gdyż Ludzie Gildii, jeśli zechcą, potrafią wyśledzić nawet zimny od pół roku trop. Grzebaczę też nie będą mnie kryć. Za życia Staruchy byłam jej oczyma, uszami i nogami. Teraz jestem prawdziwą zwierzyną łowną.

— Dlaczego się jej bali?

Simsa nie wiedziała, czemu traci czas na dyskusje z tym dziwakiem. Nie była mu przecież winna żadnych wyjaśnień. Tylko gdzie mogłaby teraz pójść? Na Gathara, jedyny punkt kontaktowy w górnej części miasta, nie mogła już dłużej liczyć. Wprawdzie w rękawie ciążyła jej sakiewka pełna łamańców i mogła kupić sobie ochronę. Jednak kupieni ludzie, obojętnie, czy to mężczyzna, czy kobieta, pozostają wierni dopóki ktoś nie zaoferuje im więcej — albo w srebrze, albo poprzez gwarancję bezpieczeństwa.

— Uważali ją za jasnowidzącą. To nie było prawdą. Ona po prostu wiedziała dużo o ludziach. Potrafiła patrzeć w ich twarze, a kiedy wzrok jej osłabł, umiała wsłuchiwać się w głosy i powiedzieć wiele o tym, z czym się zmagali lub co czuli. Umiała czytać i rozmawiać z wieloma obcymi w ich własnych językach. Była inna, zupełnie, jakby nie była Grzebaczką. Nie wiem nic o jej pochodzeniu, ale z pewnością urodziła się daleko od miejsca, w którym ostatecznie wylądowała. Słuchaj, dlaczego tracimy czas na rozmowy o zmarłej kobiecie? Lepiej idź na swój statek, jeśli ci życie miłe.

— A ty? — nie ustępował.

Czyżby wierzył, że jest jej coś winien? Nie miał u niej żadnego długu, chyba

że zażądałaby tego. Nie czuła się za niego odpowiedzialna, choć w pewien sposób została tej nocy zmuszona do udzielenia mu pomocy.

— Pójdę własną drogą.

— Dokąd?

Czuła się, jakby swoimi pytaniami przyszpilał ją bezradną do ściany ziemianki. To, że Kuxortal było teraz dla niej zbyt niebezpieczne, nie było jego sprawą. Ale dokąd ma pójść? Wstrząsnął nią nagły dreszcz paniki, ale natychmiast wzięła się w garść.

Gdzieś z góry dobiegł znajomy odgłos. Uniosła nieco głowę i odpowiedziała cmoknięciem. W tym samym momencie przycupnięta niewidocznie u jej stóp Zass, również zareagowała cichym okrzykiem. Wypuszczone w Ziemiankach młode zorsale odnalazły ich. Z nimi u boku, służącymi za oczy i uszy, miała większe szansę.

— Jeśli skierujemy się na pomoc — kontynuował przybysz — to dokąd dojdziemy idąc wzdłuż wybrzeża?

— My...? — spytała z niedowierzaniem. — Dlaczego niby mam z tobą pójść?

— Masz lepszy plan? — zripostował.

Bardzo chciała odpowiedzieć „tak”, wiedziała jednak, że nie może. Jego pytanie wytrąciło jej myśli ze zwariowanej karuzeli niepewności i doprowadziło do punktu, z którego mogła zacząć patrzeć w przyszłość.

— Jeśli idzie się wzdłuż brzegu — celowo użyła formy bezosobowej, by nie powiedzieć „my”—to po pewnym czasie dojdzie się do małej wioski rybackiej. Ta część wybrzeża jest straszliwie zanieczyszczona wrzucanymi do wody odpadkami. W dodatku najlepszym miejscem do zakotwiczenia poza miastem jest zatoczka zarezerwowana dla statków związanych z Gildią. Jednak oni nie pozwalają korzystać z niego nawet w okresie, kiedy nie stacjonuje tam żadna flota. Za wioską rybacką jest już tylko ogołocony ląd przylegający do pustyni. To Wybrzeże Martwych Ludzi. Nie znajdziesz tam wody, tylko piasek i skały oraz stworzenia i rośliny, które mogą żyć w takich warunkach.

— Jak daleko ciągnie się to Wybrzeże Martwych Ludzi? Simsa wzruszyła ramionami, choć wiedziała, że po ciemku nie mógł widzieć tego gestu.

— Chyba bez końca. Nigdy nie słyszałam, żeby jakiś człowiek mówił o jego krańcu. Daleko w morze ciągną się długie rafy, które mogą zmiażdżyć kadłub łodzi z taką łatwością, jak Zass miażdży w zębach kości szczura. Ludzie nie

kierują się na pomoc, chyba że samo morze obróci się przeciw nim i nawiedzi

ich strasznym sztormem. Tych, którzy to zrobili, nikt już więcej nie widział.

— W każdym razie, jeśli pójdzie się wystarczająco daleko na północ, wzdłuż wybrzeża, można dotrzeć do tego samego głównego równoleżnika, na którym leżą Srogie Wzgórza. Tak, tak właśnie zrobimy — podsumował.

— Z pomocą duchów tych, którzy ku własnej wygodzie pozbyli się swoich cielesnych powłok — odcięła się uszczypliwie Simsa.

— Na północ, powiadasz...nie reagując na jej słowa ruszył naprzód. Nie sprawdził nawet, czy ona też idzie. W Simsie zawrzało. Nie dosyć, że wciągnął ją w swoje tajemnicze kłopoty, to jeszcze teraz musi przystać na ten nowy, jawny idiotyzm jaki proponował. Mogła zostać, ale wtedy musiałaby stawić czoła zbyt wielu wrogom, na zbyt wielu poziomach miasta, które odkąd pamięta było jej domem i dawało jej małe, ale zawsze, poczucie bezpieczeństwa.

Wypluła z siebie kilka dosadnych, cierpkich słów, najohydniejszych w jej słowniku, po czym schyliła się po Zass, usadziła ją na zwykłym miejscu na ramieniu i ruszyła za nim. Dwa pozostałe zorsale ponownie wzbiły się w powietrze. Przynajmniej z nimi, dzięki ich instynktom zwiadowczym, nie musi się obawiać niespodziewanego ataku.

Przybysz nie czekał, by się z nim zrównała. Czyżby z góry przewidział, że za nim podąży i był tego tak pewien, że nawet się nie obejrzał? Dziewczyna oddałaby wszystko, żeby móc pójść w przeciwnym kierunku. Idąc, rozważała, ile mogłaby zyskać wracając do gwiazdnego portu i zdradzając jego zamiary towarzyszom ze statku. Przynajmniej jedno było pewne — z gwiazdną załogą miała większe szansę na przeżycie, niż w przypadku zetknięcia z ludźmi Lorda Arfellena. To takiej mądrości nauczyła się przez lata przeżyte w Ziemiakach. Dlaczego zatem wlokła się za tym obcym, na poły akceptując

jego plany? Ponieważ nie potrafiła znaleźć prawdziwej odpowiedzi na to pytanie, ogarnęła ją niepoohamowana wściekłość na samą siebie. Gotowa była walić na oślep przy pierwszej nadarzącej się okazji, żeby rozładować kipiące w niej emocje, których nijak nie mogła uszeregować w przyzwoitym i regularnym porządku.

Minęli już hałdy śmieci, więc Simsa wdychała łapczywie czyste, morskie powietrze. Kosmita, jak zauważyła w szarym świetle wychylającym się powoli znad morza, bardzo się spieszył. Szedł długimi krokami tak blisko wody, że fale natychmiast zmywały jego ślady. Simsa zatrzymała się na moment, ściągnęła sandały i znów ruszyła za nim, czując jak woda opływa jej bose stopy i kostki, wsiaakając w

końce związanych wokół goleni obcisłych spodni.

Wioska rybacka objawiła się światłami. Simsa wydłużyła krok, zrównała się z towarzyszem i pociągnęła go za ramię.

— Ich łodzie odpływają przed świtem — poinformowała. — Potem nadciągają maruderzy. Jeśli nie chcesz, żeby pół świata dowiedziało się o twoich zamiarach, musisz trochę odczekać.

Zwolnił i spojrzał na nią. W szarości przedświt jego twarz była jedynie jaśniejszą plamą. Pomyślała, że on prawdopodobnie wcale jej nie widzi. Nagle przypomniała sobie o włosach. Puściła go i pospiesznie wyciągnęła kawałek materiału przypominający szeroki szal i zaczęła owijać nim głowę, by ukryć zdradliwy szczegół swojej urody.

— Na co mam czekać? — spytał. — Jeśli chcemy dostać łódź...

— Nie będziesz targował się z Przodownikiem — prychnęła, okręcając ostatni raz szal wokół głowy. Na skutek wzburzenia zamotała go tak ciasno, że o mało nie krzyknęła z bólu. Niech mężczyźni odpłyną. Interesy robi się z Luisitą, kobietą Przodownika. O ile nadal rządzi w tym domu, zawsze będzie miała ostatnie słowo.

— Znasz ją?

— Trochę. Raz czy dwa załatwiała jakieś sprawy ze Staruchą. To kobieta, która lubi ciężką sakiewkę w rękawie i woli, żeby jej mężczyzna nie wiedział o jej istnieniu. Zaczekaj tutaj. Zobaczę... — Zrobiła dwa kroki, po czym obejrzała się z zaciekawieniem.

— Skąd wiesz, czy nie zawołam ludzi, żeby cię zatrzymali dla Lorda Arfellena?

— Skoro o to pytasz... Nie, nie boję się zdrady, lady Simso. Tej nocy miałas mnóstwo okazji, żeby to zrobić i nie skorzystałaś z nich.

— Za bardzo i za łatwo ufasz! — Powstrzymywany tak długo gniew wybuchł wreszcie z ogromną siłą. Miała ochotę wrzeszczeć na niego. — A może naopowiadałam ci bzdurnych historyjek i przywlokłam cię tu, żeby ratować własną skórę? Ja, najniższa z tych, których Lord Arfellen uważa za portowe szumowiny? Nie wolno ci ufać, ani mnie, ani nikomu!

— Zaczekaj! — Rozpiął przód ciasno dopasowanego uniformu i rzucił jej torebkę, którą odruchowo złapała. — Jeśli kobieta przodownika będzie chciała zapłaty, daj jej to. W zamian poproś o łódź, małą łódź. Muszę ją obejrzeć, nim dobijemy targu. Poproś też o jakiś prowiant na drogę. Udobruchaj ją częścią tego i

obietaj więcej, kiedy wszystko będzie gotowe.

Torebka, choć taka mała, była ciężka. Simsa wiedziała z całą pewnością, że nie zawiera srebrnych łamańców. Ruszyła bez słowa, krocząc po piasku z grymasem na twarzy. A więc tak mało robił sobie z jej ostrzeżenia, że oddał to w jej ręce? Nienawidziła go gorąco za zaufanie, jakim ją obdarzył, zaufanie, które wiązało jej ręce i obligowało do zrobienia wszystkiego, co w jej mocy, by zrealizować jego szalony plan. Postara się zdobyć dla niego tę łódź i wszystko, czego chciał dodatkowo, ale na tym się skończy. Ta wioska jest kresem ich wspólnej podróży.

Słońce już się pokazało, oświetlając wąski jezior morza tworzący maleńką zatoczkę, starczającą ledwie na doprowadzenie niewielkiego statku do brzegu. Simsa przysiadła na piętach, osłonięta cieniem skały. Zass usadowiła się w pobliżu na wysokim, obrośniętym zielskim kamieniu, dzieląc uwagę pomiędzy poczynania przybysza a znajdujący się powyżej klif, gdzie jej młode pełniły straż. Simsa ufała, iż obserwują uważnie zarówno ląd, jak i podchodzące do tej kryjówki morze.

Już po kilku pierwszych chwilach rozmowy z Lustitą nabrała pewności, że nie jest to pierwsza tego typu transakcja przeprowadzana przez panią tego domu. Kobieta popatrzyła na sztabkę opatrzoną pieczęcią Gildii Metalowej i zważyła ją w dużej, czerwonej ręce. Po chwili spytała bez ogródek i zbędnych ceregieli, jakby Simsa chciała kupić ledwie parę węgorzy:

— Za co to?

— Przede wszystkim za łódź, taką która może wypłynąć w morze — odparła zwięźle dziewczyna. — A potem ten, który to przysyła, poprosi cię jeszcze o parę rzeczy.

Małe oczka kobiety zaczęły się zwięzać, aż w końcu zrobiły się tak małe, jak ziarenka wodorostów zatopione w przerośniętym, brązowym puddingu. Potem pokiwała głową.

— Może być. Idź do miejsca, gdzie na klifie są dwie wystające skały.

Wyglądają jak palce uniesione na znak szyderstwa. Tam czekaj...

Zgarnęła tę pojedynczą sztabkę łapskiem wystarczająco wielkim, by pomieścić je wszystkie. Choć Simsa była pewna, że Lustitą rozpoznała w niej prawą rękę Staruchy, w jej oczach, głosie, czy wyrazie twarzy nie było nic, co by o tym świadczyło. Poczła się nieco spokojniejsza, gdy przekonała się, że właściwie obesła się z kobietą Przodownika.

Wróciła do Thoma i wspólnie ruszyli w głąb lądu, po drodze dwukrotnie

czołgając się na brzuchach, żeby okrążyć skraje uprawnych przydomowych pól. Dotarli do umówionego miejsca spotkania, zanim jeszcze słońce stanęło wysoko.

Zaraz potem pojawiła się Lustita, idąc bez wysiłku, pomimo dźwiganego na ramieniu ogromnego kosza, który z powodzeniem mógł ważyć tyle, co mały mężczyzna. Szła okrążając wcinając się w ład koniec zatoczki. W jednym ręku miała grabie i dokładnie zgarniała nimi żdźbła ciemnoczerwonego chwastu, który suszono, mielono na proszek i sprzedawano do użyźniania pól, obok których wcześniej się czołgali.

Simsa wyłoniła się zza skały na tak długo, by żona rybaka zdążyła ją spostrzec, po czym ponownie schowała się za głaz. Nie pomijając nawet jednego żdźbła zielska. Lustita dotarła wreszcie do nich, choć Simsa musiała uzbroić się w sporą dozę cierpliwości, żeby doczekać jej przyjścia.

Lustita chrząknęła, postawiła ociekający wodą kosz na szczycie kamienia, o który się oparła. Przybysz z innego świata stanął na wprost niej, lecz nie wyszedł całkowicie z ukrycia. Wyraz tępej twarzy kobiety nie uległ zmianie.

— Ona — ledwie zauważalnie skinęła głową w kierunku Simsy — powiedziała, że chcesz łódź. I co jeszcze?

— Wszystko, co jest potrzebne, żeby przepłynąć tą łodzią wzdłuż wybrzeża. — Mówił precyzyjnym, handlowym językiem z jego odmienną modulacją, lecz Lustita prowadziła wystarczająco dużo interesów w Kuxortal, aby go zrozumieć.

— Żywność, woda, mapy linii brzegowej... Jej przeredzone brwi uniosły się pytająco.

— Czemu nie wynajmiesz szalupy od Wysokiego Lorda? — rzuciła. — Łódź owszem, to się da zrobić. Frankis, jeden z naszych rybaków, upił się ostatnio do nieprzytomności, jego pani będzie zadowolona mogąc trochę zarobić, a przy okazji dać mu nauczkę. Leży teraz w wartowni i kuruje obolały tyłek po tym, jak po pijaku przyłożył jakiemuś strażnikowi Gildii. Na pewno nie wyjdzie wcześniej, jak za sto dni, a może jeszcze później. Prowiant też da się zgromadzić, trochę tu, trochę tam. W ten sposób unikniemy zbędnych pytań, jednak mapy... — skrzywiła wargi w grymasie, odsłaniając lukę pomiędzy dużymi, pożółkłymi zębami — nie, nic takiego nie mamy. Nasi mężczyźni noszą wiedzę o morzu w głowach i próbują wbić ją przez tyłek swoim synom. Zaś bolący tyłek sprawia, że chłopak bardzo dobrze zapamiętuje. Jeśli udasz się w morze, możesz liczyć tylko na własne szczęście, a nie na coś wypożyczonego od nas.

— Doskonale. — Simsa podejrzewała, że przybysz w gruncie rzeczy spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

— Dostałam jedną sztabkę metalu — kontynuowała Lustita. — Powiedzmy jeszcze pięć.

— A może tysiąc — odparowała Simsa. Ostrożność nakazywała jej nie wyrażać zgody. Zapłacisz pierwszą wymienioną kwotę, a zainteresowanie kobiety wzrośnie do punktu, w którym zaczniesz się zastanawiać, czy nie zrobiłaby jeszcze lepszego interesu, powiadamiając strażników o ich zamiarach. Tylko dzięki usytuowaniu ich wioski, która łączyła rzecznych handlarzy z morskimi podróżnikami, tutejsi rybacy nie obawiali się zbytnio Gildii. Nie sięgały ich nawet długie macki możnowładców Kuxortal, chyba że, podobnie jak nieszczęsny Frankis, pakowali się w kłopoty w granicach samego miasta.

Lustita wzruszyła ramionami, aż zachybotał się jej kosz.

— Ci, co kupują pomoc nie mogą zbyt kurczowo trzymać łap na portfelu — skomentowała. — No cóż, niech już będą cztery. Ale za mniej nie pójdę. Na to potrzeba czasu. Najpierw łódź.

— Ile czasu? — chciał wiedzieć człowiek z gwiazd.

— Dzień, a może nawet jeszcze część nocy. W sprawach wymagających ostrożności nie można się spieszyć. Pewnie macie przy sobie całą kwotę, więc dajcie mi teraz jeszcze połowę.

Simsa niechętnie zastosowała się do skinienia obcego i wysupłała ze starannie ukrytej w rękawie torebki kolejne dwie sztabki. Nie chciała, żeby Lustita zauważyła jej rozmiary czy ciężar.

Co prawda odkrywszy, iż jeden z jej klientów jest z innego świata nie okazała najmniejszego zaskoczenia, lecz jej zewnętrzna obojętność mogła być udawana. Simsa nie ufała jej, chociaż z tego, co wiedziała o interesach żony rybaka ze Staruchą wnioskuje, iż kobieta jest na swój sposób dyskretna. I, co najważniejsze, nie wysługuje się ludziom Gildii.

Łódź przybyła, dokładnie jak obiecała. Sprowadziły ją dwie bose dziewczyny o obnażonych ramionach, które również miały ze sobą kosze na zielsko. Przywiązanej do brzegu jednostkę do brzegu, wygramoliły się z niej i z koszami przewieszonymi przez ramię ruszyły swoją drogą. Przezornie nie odrywały oczu od zbieranego zielska, rozbryzgując przy tym wodę, jakby bardzo zadowolone, że uporały się z kłopotliwym zadaniem.

Simsa nie ruszyła się z skały obserwując, jak przybysz bada dokładnie łódź. Choć miała jeden maszt, nie była przystosowana do dalekich rejsów. Domyślała się, iż używano jej głównie do przybrzeżnych wypraw po węgorze, w okresie, gdy te przyplływały na brzeg złożyć ikrę. Dlatego spodziewała się, iż nie wytrzyma długo, rzucona sztormem na otwartych wodach. Lecz sposób, w jaki gwiazdny człowiek dokonywał przeglądu, zaimponował jej, choć z trudem przychodziło jej to przyznać. Było jasne, że zna się na podobnych łodziach, niezależnie od tego, w jakim dziwnym innym świecie zdobył taką wiedzę. Kiedy w końcu wrócił do jej kryjówki, rzucił się na ziemię z westchnieniem, jakby mała część ciężkiego balastu spadła mu z serca.

— To mocna łódź — skomentował — z płytkim dnem. Doskonale nadaje się do badania wybrzeża...

— Wybrzeża z zębiskami, jakich w życiu nie widziałeś! Twardymi, skalnymi kłami! — wtrąciła cierpko. — A co będzie, jeśli faktycznie uda ci się wysledzić te twoje Srogie Wzgórza w głębi lądu? One leżą daleko od brzegu, nie będziesz miał jak do nich dotrzeć. Nie udźwigniesz zapasów żywności i wody w czasie takiej wędrówki, a nawet gdybyś zdołał dotrzeć do Wzgórz, to tylko po to, żeby tam umrzeć.

— Lady Simso — przewrócił się na plecy i wyciągnął rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem, które znalazło drogę do ich schronienia — jakież to legendy krążą o tej krainie Srogich Wzgórz?

Zaczerpnęła garść piasku i pozwoliła drobnym ziarenkom przesypywać się przez luźno złączone palce.

— Takie, jakie zawsze opowiada się o nieznanym. Że czyha tam śmierć. Och, mówią też o skarbach, lecz żaden człowiek nie jest aż tak szalony, żeby udać się na ich poszukiwanie. Tam nie znajdzie się niczego interesującego, ani nie ubije dobrego interesu.

— Lecz przecież widziałem na własne oczy przedmioty pochodzące z tych Wzgórz, dziwne i zdumiewająco cudowne przedmioty...

Simsa popatrzyła na niego przeciągle,

— Gdzie? Nie w Kuxortal! — O tym była przekonana. Takie wiadomości już dawno przeniknęłyby miasto i dotarły nawet do Ziemianek.

— Widziałem je w innym świecie — wyjaśnił. — Kiedy gwiazdne statki znalazły wasz świat, w Kuxortal nie było lądowiska. Statki przylatywały i odlatywały, zanim Gildie zdążyły się dowiedzieć o ich pobycie.

Zdecydowała, że to może być prawda, ponieważ kraj był duży, a oni posiadali

ograniczoną wiedzę jedynie o tych rejonach, do których podróżowali handlarze.

— Jeden taki statek wylądował w środku tego, co nazywacie Srogimi Wzgórzami. Wszyscy na jego pokładzie, nawet ci najmniej ważni, przywieźli z powrotem bogactwa przekraczające ludzkie wyobrażenie...

Simsa siedziała nieruchomo. Bogactwa przekraczające wyobrażenie gwiazdnych ludzi! Cóż one dawały, nawet komuś z Ziemianek, jak ona bez nazwiska, bez rodziny? Chyba tylko Gildie deptające jej po piętach.

— Twój brat tego szukał? — Jeśli ta historia była prawdziwa, nic dziwnego, że Lord Arfellen był zaniepokojony. Żaden lord Gildii nigdy nie miał tylu skarbów, żeby to przekraczało jego wyobrażenie!

— Tak. Może nie tyle samego skarbu, co wiedzy, która się za nim kryje. Statek, który stąd wrócił, miał na pokładzie również inne znaleziska.

— Jeśli statek mógł tam raz wylądować, to dlaczego nie może ponownie? — spytała z nagłą podejrzliwością.

— To było lądowanie awaryjne, wymuszone. Mieli ogromne trudności z wydostaniem się stamtąd i dużo szczęścia, ale nikt nie ma zamiaru próbować tego po raz drugi. Jestem jednak w posiadaniu wszelkich informacji, jakie zdobył mój brat i wiem w przybliżeniu, gdzie szukać. Nie jestem aż takim głupcem, za jakiego mnie uważasz, lady Simso.

— To nie zmienia faktu, że musisz przejść przez pustynię, a do tego będą potrzebne ci zapasy, których nie udźwigniesz. Twój brat poszedł z jednym z tych pustynnych wędrowców, jedynym, który się zgodził, i nigdy nie wrócił.

— To wszystko prawda — pokiwał głową, a kiedy nią poruszał piasek sypał się w jego ciemne włosy. — Jednakże w mojej rodzinie nie ma zwyczaju pozostawiać zaginionego na pastwę losu. Znajdą się sposoby nawet na pokonanie pustyni, moja lady...

— Dlaczego mnie tak nazywasz — przerwała mu gwałtownie. — Nie jestem krewną żadnego z Wysokich Lordów. Jestem Simsa...

— Lecz nie Grzebaczka, jak sądzę — zripostował jej wybuch.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Zanim zdołała wymyślić odpowiedź, rozległ się głośny plusk wody. Skulili się przezornie za skałą, chociaż zorsale nie przekazały żadnego ostrzeżenia.

Te same dziewczyny, które wcześniej sprowadziły łódź, nadchodziły ponownie. Pałki koszy wpijały się głęboko w szczupłe ramiona, a ich ciężar

sprawił, że szły zgarbione jak stare kobiety. Podobnie jak poprzednio, nie zwracając uwagi na górną część zatoczki, ani na skały, za którymi ukrywało się tych dwoje, postawiły kosze na ziemi, zgarnęły z wierzchu pęki zielska i wyrzuciły na piasek nieco mniejsze, ciasno obwiązane koszyki z pokrywkami. Potem ponownie zapełniły kosze zielskiem i z tym o wiele mniejszym obciążeniem ruszyły w drogę powrotną. Koszyki natomiast zostały.

W ciągu popołudnia jeszcze wielokrotnie pojawiali się podobni goście, każdy z koszem, jedni z mniejszymi, inni z dużymi. Ostami z nich przybył po zmierzchu. Była to sama Lustita w wiosłowej łódce, której ładunek stanowiło sześć słoí niemal tak wysokich jak Simsa, lecz pustych. Wcześniej powiedziała im, że mają je napełnić wodą u źródła znajdującego się kawałek dalej, na północ. Wzięła dwie ostatnie sztabki, lecz zanim odeszła, rzuciła tonem ostrzeżenia:

— Coś złego święci się w mieście. Aż roi się od strażników — splunęła hałaśliwie wprost w nadpływającą falę. — Jeszcze nie wyszli za północną bramę. Nie pamiętam takiego wrzenia od czasu, kiedy podwodne duchy dokonały najazdu na garnizon, a byłam wtedy jeszcze małą dziewczynką.

Po odejściu kobiety Thom popatrzył na dziewczynę.

— Wygląda na to, że nas zgubili...

— Ciebie zgubili! — poprawiła go szorstko.

— Myślę, że...

Jednak to, co myślał, nigdy nie miało zostać wypowiedziane, ponieważ oba zorsale siedzące dotychczas na klifie wzbily się w powietrze i trzepocząc skrzydłami opadły wirowym ruchem w dół. Simsa nie potrzebowała ich pohukiwania w gęstniejącym mroku, żeby się domyślić, iż zobaczyły coś więcej niż zwykły ruch wzdłuż wybrzeża. Gwiazdny człowiek chwycił ją za rękę. Zdążyła jedynie złapać Zass, nim pociągnął ją w kierunku łodzi, niemal wrzucił na pokład i ostro rozkazał zostać na miejscu.

Przygotowaną wcześniej długą tyczką zaparł się o skałę. Widziała, jak mięśnie napinają się od wielkiego wysiłku. Odepchnął łódź od skały i wymanewrował z wąskiej zatoczki. Znajdowali się już na otwartym morzu, kiedy dostrzegła światła mrugające na szczycie klifu i zobaczyła, jak jedno z nich schodzi w dół. Zrozumiała, że pościgu nie zaniechano, że w jakiś sposób zostali wytropieni.

Simsa nie lubiła morza. Kołysanie małej łódki było dla niej czymś przerażającym, choć nigdy nie okazałaby strachu przed Thomem. Nie ociągała się też,

gdy zacumowali, żeby napełnić wodą słoje. Spontanicznie wzięła się do roboty, pomagając mu nalewać wodę, przetransportować słoje w dół i załadować je z powrotem ze szczególną troską. Już przedtem, za dnia, Thom roztropnie umieścił na pokładzie ich niewielki ładunek zapasów i wtedy też zwrócił jej uwagę na fakt, że Lustita włączyła do ich wyposażenia zarówno linki do połowu, jak i małą sieć.

Zorsale siedziały razem na krawędzi małej nadbudówki, tuż nad środkową częścią pokładu, stanowiącej jedyne zabezpieczenie przed wiatrem i wodnym pyłem. Przybysz ustawił niewielki maszt i rozwinął trójkątny żagiel, żeby łapał nocny wiatr. Ujął rumpel i nakierował łódź na północ, podczas, gdy Simsa kuliła się pod osłoną nadbudówki i marzyła, żeby znów być w Ziemiankach, obszarpana, głodna, lecz z bezpiecznym, stałym gruntem pod stopami.

Nigdy nie zamierzała posunąć się tak daleko. Od dawna jej zamiarem było wydebić od obcego okrągłą sumkę i ukryć się, być może w wiosce rybackiej, nawet gdyby to kosztowało ją większość jej zysków. Lecz wydarzenia potoczyły się tak gwałtownie, że nie pozostawiono jej wyboru — przynajmniej nie w chwili obecnej.

Jednakże kiedy łódź mknęła z wiatrem, a nudności sprawiały, że znienawidziła własne ciało, powzięła nieugięte postanowienie — nigdy, przenigdy nie pójdzie na pustynię! Niech tylko ten pomyleniec z innego świata dojrzy widok swoich wzgórz i pomaszeruje, żeby upiec się na śmierć! Wtedy ona zostanie przy łodzi i jakoś znajdzie drogę powrotną. Zaczęła w myślach rozwodzić się nad tym planem. Przyszło jej do głowy, że może udawać rozbitka z wraku statku, nawet jeśli o morzu wiedziała tak mało, że nie zwiodłaby żadnego prawdziwego żeglarza. Tak, to było to... podróżniczka z zamorskich krajów... rozbitek...

Będzie miała mnóstwo czasu, może nawet całe dni, żeby obmyślić swoją bajeczkę. A, będąc Simsą, wymyśli niewątpliwie bardzo dobrą. Ostatecznie tylko zorsale mogły teraz zdradzić jej prawdziwą tożsamość. Ale one powinny być szczęśliwe wracając do wolnego życia na dzikich terenach, zostawiając ją, by mogła odegrać rolę, na jaką się zdecydowała. Dziewczyna objęła ramionami podciągnięte kolana, wsparła na nich brodę i pograżyła się w planach, mając tym samym nadzieję zapomnieć o nieprzyjemnym bulgotaniu we wnętrzościach.

Rozdział szósty

Słońce rzucało na ląd palące promienie. Simsa posmarowała możliwie największą powierzchnię skóry tłuszczem, pozostałym w słoiku po zjedzonej w czasie rejsu zupie. Kiedy podniosła się i stanęła obok przybysza na rozgrzanej niczym piec skale, zrozumiała, że plany Thoma są nierealne. To, co mieli teraz zrobić było jeszcze gorsze od udręki podczas tej koszmarnej morskiej podróży. Jeśli on chce, niech idzie na tę rozpaloną do białości pustynię i usmaży się na popiół. Ona raz jeszcze zmierzy się z morzem, mimo straszliwych doświadczeń, jakie miała już na swoim koncie. Na samą myśl o tym, co musiała wycierpieć przez minione dwa dni, miotana czymś, co jej towarzysz nazywał „świeżym wiatrem”, objęła pustą, obolały brzuch popękkanymi od słonej wody i krwawiącymi od ran po linach rękoma. Te ręce to również pamiątka po rejsie, gdyż mimo całego braku wyszkolenia, musiała użyć swoich sił do walki z wiatrem i falą.

Przed nimi rozciągał się opustoszały ląd. Gdyby ktoś go namalował, obraz ten mógłby stanowić lekcję pogładową, zniechęcającą każdego podróżnika. Wszędzie ciągnęły się naniesione wiatrem zwały piasku, a ich biała, oświetlona słońcem powierzchnia raziła w oczy. W miejscach, gdzie nie było piasku, sterczały zwietrzałe i odrapane ciskaniem przez wiatr żwirami skały, tworzące rafy na lądzie. Były równie zębate i odstręczające jak te, przez które jakimś cudem wydostali się na otwarte morze. W tych warunkach nic nie mogło żyć...

Jednakże przybysz nie interesował się bynajmniej zabójczym lądem, ciągnącym się od samego podnóża klifu, na który właśnie się wdrapali. Wysunął natomiast z pętli na pasku złożone, nachodzące na siebie szkła służące do patrzenia na odległość, rozłożył je i coś przy nich pomajstrował. Teraz z ich pomocą lustrował tę zakazaną krainę poprzez falującą od gorąca lekką mgiełkę. Gdzienigdzie, mniej więcej w połowie odległości, jaką obejmowała wzrokiem, unosiły się tumany piasku, jakby wirując i tańcząc na rozkaz jakiegoś niewidzialnego wroga. Przez szparę między palcami, którymi prędko osłoniła oczy, Simsa dostrzegała ciągnącą się na dalekim horyzoncie niewyraźną linię. Być może były to Srogie Wzgórza. Lecz nic ją to nie obchodziło.

Odwróciła się zdecydowanie plecami do wszelkich niebezpieczeństw tego lądu i zaczęła zbliżać się do zejścia z punktu obserwacyjnego, kiedy zatrzymał ją

okrzyk Thoma. Spojrzała na niego i zobaczyła, że szkła nie były teraz skierowane w stronę odległego celu, lecz w dół, na pustynię.

— Oto i droga...

— Jaka droga? — Nawet wypowiedzenie dwóch słów zdawało się rozrywać jej usta.

— Nasza droga! — Złożył z powrotem szkła i umieścił je w przeznaczonej dla nich pętli. Simsa czuła się zbyt znużona, by sprzeczać się z szaleńcem. Jeśli sądzi, że znalazł drogę, niech nią idzie. Zbyt długo tkwiła uwięziona w pułapce jego planów. Musi się wyzwolić, nim straci resztki energii.

Nie zadając żadnych pytań pokuśtykała na drugą stronę i zaczęła pełznąć w dół po klifie do zatoki, gdzie na małych falach torujących sobie drogę przez rafy, kołysała się nosząca ślady ciężkiej przeprawy łódź. Zatoczka była prawie tak mała i ukryta przed światem jak ta, którą Lustita wybrała na miejsce startu w tę żalosalną podróż.

Dziewczyna podeszła do ciągnącego się wzdłuż brzegu wąskiego pasa twardych kamyków (z tej strony klifu nie było piasku) i natychmiast odwróciła oczy od tego, co ją powitało tuż po przybyciu łodzi do brzegu. Spoczywał tam dowód na to, czego potrafi dokonać to straszliwe wybrzeże. Na Thomie nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia.

Pomiędzy skałami tkwiły dwa zaklinowane, skurczone i wysuszone ciała lub raczej to, co z nich zostało. Czy doczłgali się tutaj w ostatnim zrywie sił życiowych, by znaleźć własne groby? Na poczeriałych, skulonych zwłokach nadal leżało kilka wyblakłych szmat stanowiących niegdyś ubranie. Simsa była zadowolona, że upadli w taki sposób, iż nie musiała oglądać spustoszenia, jakie śmierć uczyniła w ich twarzach. Nie było tu ptaków, krabów, ani żadnych innych rozmnażających się w morzu żyjatek, by oczyścić ich kości. Po prostu szernieli w tym słońcu, stając się makabrycznym wspomnieniem czegoś, co wydawało się być bardziej demonami, niż żywymi niegdyś ludźmi.

A teraz Thom ponownie przeszedł obok nich, nie rzuciwszy nawet okiem. Jego buty ślizgały się po ruchomych kamykach, więc musiał się nieźle gimastykować, aby utrzymać równowagę. Maszerował dalej na północ. Kiedy wgramolił się na skały strzegące drugiego końca zatoczki, dźwignęła się z trudem, żeby pójść za nim. Jakoś nie mogła zostać w tym miejscu, w towarzystwie tych szerniałych trupów, których obecność za plecami wyczuwała nawet wtedy, gdy nie patrzyła w ich kierunku.

Jej stopy zsuwały się z kamieni i ślizgały w sandałach, więc z kawałków

zapasowego żagla znalezionej na wynajętej łodzi zrobiła sobie prowizoryczne ochraniacze. Najpierw owinęła grubym materiałem stopy, a potem włożyła sandały, które również obwiązała tak mocno, jak to tylko było możliwe. Patrzyła uważnie pod nogi, nie chcąc upaść. Była głupia — lepiej było powlec się z powrotem do zabudowanej części łodzi, gdzie popiskiwały płaczliwie zorsale. Wprawdzie opróżniła kosz z pokrywą i przygotowała dla nich coś w rodzaju osłoniętego przed słońcem gniazda, lecz nie mogła zrobić nic ponadto, aby uchronić je przed upałem.

Efekt wdrapywania się na skały był upadek, podczas którego zdarła solidny kawał skóry z boku jednej ręki. Wbrew złożonej sobie przysiędze, nie była w stanie tłumić dłużej cierpienia. Wlokąc się do brzegu kwiliła jak zorsale, dając w ten sposób upust przeżywanym męczarniom. Przybysz był tak daleko z przodu, że nie mógł jej słyszeć, a ona już na początku postanowiła, że nie usłyszy od niej słowa skargi.

Za skałami, na których upadła, było kolejne wcięcie w linii brzegowej i o wiele szersza plaża. Miała ona kształt trójkąta sięgającego wierzchołkiem w głąb lądu, pomiędzy ściany klifu. Thom właśnie zniknął w tym punkcie, a w chwili, gdy przykucnęła tuląc do piersi obolałą rękę, zniknął zupełnie. Widocznie jest tam jakaś szpara albo jaskinia...

Myśl o jaskini i o tym, co ona może oznaczać jako schronienie przed słońcem dodała jej siłę i pchnęła naprzód. Nie sądziła, że zdoła zebrać jeszcze tyle energii, a jednak potykając się brnęła po piasku, w którym ślady Thoma tworzyły bezkształtne wgłębienia.

Niestety, nie znalazła tam wymarzonej jaskini, tylko szczelinę prowadzącą w głąb lądu, pęknięcie w pustynnym podłożu, które w zamierzchłych czasach mogło być korytem rzeki. O ile ten po trzykroć przeklęty ląd miał kiedykolwiek jakąś wodę.

Pod stopami czuła wciąż piasek i żwir, a skalne ściany, które ciągnęły się po obu stronach były tu pionowe. Simsa zauważyła, że nie ma w nich nic, co mogłoby służyć jako pomoc lub uchwyt przy wydostaniu się na powierzchnię. Natomiast z samej szczeliny zionęło żywym ogniem. Podmuchała gorąca była gorsza od wszystkiego, co do tej pory serwowało im słońce. Miała wrażenie, że ten wąwóz jest rozpalonym do białości piecem, mającym za zadanie utrzymać maksymalną temperaturę.

Widocznie nawet Thom nie mógł tego znieść, ponieważ już wracał, po przejściu zaledwie krótkiego odcinka. Ku jej zaskoczeniu był uśmiechnięty i szedł sprężystym krokiem, jakby co najmniej natknął się na otoczone zielenią źródło z tryskającą na wszystkie strony krystaliczną wodą. Przez ułamek sekundy Simsa

pomyślała, że może zwariował od upału oraz otaczającej ich pustki tej części świata. Nasłuchiwała się sporo opowieści o pustynnym obłądnie i o tym, jak podróżni byli sprowadzani na manowce przez wizje czegoś, co nigdy nie istniało.

— Mamy naszą drogę! — oznajmił rozpromieniony.

— Tędy? — Naprawdę oszalał. Zaczęła się wycofywać tyłem jak krab, nie odrywając od niego wzroku na wypadek, gdyby jego obłąd obrócił się w mordercze zapędy i pchnął go do zaatakowania jej.

— Tędy! — przytaknął ku jej nieustającemu przerażeniu. Potem widocznie odczytał myśl kryjącą się za wyrazem jej twarzy, bo dodał pospiesznie — Oczywiście nie za dnia, nie... Nocą. Wtedy będzie zupełnie inaczej. Nie jestem szaleńcem porywającym się na taką podróż bez przygotowania. Posiadam odpowiednią wiedzę. W nocy na takich terenach panuje chłód. Morski wiatr przynosi wilgoć, która osadza się na skałach. Możemy iść tą drogą, ale koniecznie musimy zabrać wodę i jedzenie, zobaczysz! Robiłem to w innych światach.

Simsa zamknęła usta. Wszczywanie kłótni nie miało sensu. Gdyby w obecnej chwili powiedział, że mogą rozwinąć skrzydła i pofrunąć w głąb ładu, też musiałaby przytaknąć. Wierzyła, że mówi prawdę, a poza tym nie chciała z nim walczyć. W tym momencie wystarczało, że był skłonny wrócić do łodzi, do błogosławionego, choć tak skąpego cienia. Kiedy doszli do łodzi, padła bez tchu pod nadbudówką, na wpół przytomna. Trudy podróży wyczerpały nawet tę niezmordowaną siłę, jaka rozwinęła się w niej przez lata walki o byt w Ziemiakach. Tymczasem Thom wydawał się absolutnie nie zmęczony.

Przez resztę dnia na przemian spała i traciła przytomność. Nawet przez moment nie miała pewności, w którym z tych dwóch stanów aktualnie się znajduje. W którymś przeblysku świadomości zauważyła, że Thom odrywa deski z pokładu i przy pomocy zmoczonych w morzu i zasupłanych wokół nich lin, wypycha owe deski na słońce, żeby wyschły.

Raz czy dwa przebudziła się na tyle, że chciała zaprotestować przeciwko dewastowaniu łodzi, którą zamierzała wykorzystać do ucieczki. Jednak nim zdołała zebrać siły i słowa, ponownie zapadała w męczące oszołomienie.

Wreszcie dzień dobiegł końca. Słońce spelzło w dół bezchmurnego nieba, rozlewając szeroką wstęgę kolorów na odległych falach i rażąc bolące oczy Simsy ostatnimi blaskami. Zwłokła się z trudem, żeby nakarmić zorsale. Ich żalosne pokrzykiwania przeszły w tak słabe kwilenie, że lęk o ich życie pchnął ją do działania.

Leżały zapomniane w koszu, z otwartymi pyszczkami, bezwładnymi czułkami i zamkniętymi oczyma. Ich pokryte futerkiem piersi falowały leciutko w ledwie dostrzegalnych tchnieniach, jak w błaganiu o życie. Simsa nie zwracała uwagi na pracującego na brzegu przybysza. Nie interesowało jej teraz, czym się zajmował. Z trudem odkręciła wieczko jednego ze słoików z wodą (dwóch ostatnich, które były całkowicie wypełnione) i trzymając drżącą ręką kubek, powoli wlewała do niego cenny płyn, niemal licząc krople. Jej ciało łaknęło picia... Pragnęła położyć się i pozwolić chłodnej wodzie przelać się przez całą popękaną od słońca skórę...

Z kubkiem w rękę podczołgała się do gniazda w koszu. Najpierw Zass. Dziewczyna ułożyła sobie zorsala między ramieniem a piersią. Ostrożnie, starając się nie uронić ani kropelki, uniosła pojemnik nad rozwartym pyszczkiem stworzenia, pozwalając, by nieznośnie ciepły, a mimo to ciągle życiodajny płyn skapywał w dół. Wydawało jej się, że drobne ciało jest zbyt rozpalone, jakby trawiło je nie tylko niemiłosierne słońce, ale jakaś wewnętrzna gorączka. Początkowo trochę wody wyciekło z boku podobnego do dzioba pyszczka. Potem zauważyła, że Zass dokonała konwulsyjnego wysiłku i przełknęła.

Była tego odrobina, lecz wystarczyło, by zorsal odzyskał głos i skarżył się jęklonie, kiedy Simsa odłożywszy go na bok zajęła się pozostałymi. Ze wszystkimi postąpiła tak samo. Podzieliła pomiędzy nie zawartość kubka tak dokładnie i sprawiedliwie, jak potrafiła. Młode szybciej doszły do siebie. Wyciągnęły się szponiastymi pazurami na brzeg kosza i zaczęły huścić w przód i w tył, a jeden zebrał tyle sił, że wydał okrzyk, jakim zorsale zwykły witać zmierzch i porę łowów.

Dziewczyna ponownie wzięła w objęcia Zass, podtrzymując jej łeppek podrapaną ręką. Ogromne oczy zorsala były teraz szeroko otwarte i chyba świadome. Jej plan wypuszczenia ich na wolność... tutaj w żadnym wypadku nie mogła tego zrobić. Nie przeżyłyby w tej całkowicie ogołoconej i spalonej słońcem krainie.

Nie, uciekając musi je zabrać ze sobą. Uciekając... ? Po raz pierwszy rozejrzała się przytomnie. Widok, jaki ujrzała, tak nią wstrząsnął, że pomimo, iż jej ciało było spieczone do granic możliwości, przeszedł ją zimny dreszcz.

Obłąkany przybysz! Zrobił to, kiedy ona leniuchowała! Nie tylko rozebrał większość pokładu w głównej części łodzi, lecz zdjął żagiel i podarł go na paski! I po co to wszystko? Żeby skonstruować jakiegoś potwora! Przedmiot spoczywający na kamienistym brzegu był nieprawdopodobnym zlepkiem żaglowego płótna i kawałków drewna. Przypominał małą łódkę, ale z płaskim dnem i płóciennym daszkiem.

Właśnie do tego wynalazku, kiedy ona leżała nieprzytomna, Thom przeniósł resztę koszy z jedzeniem, a teraz nadchodził po słoje z wodą. Simsa zawarczała z wściekłości, choć ból rozrywał jej spękane wargi. Nie pozostawił jej żadnej drogi ucieczki.

Mogła albo zostać w tym miejscu, umrzeć i wyschnąć jak te szerniałe szczątki za skałami, albo stać się częścią jego szaleństwa. Pazury same wysunęły się z osłonek, a z gardła wydobył ryk. Pragnęła wyłącznie jednego — zamienić jego gładką twarz i duże ciało w czerwoną miazgę. Osaczona, mając za plecami słoje z wodą, stanęła przed nim gotowa do walki. Lepiej zginąć szybko, niż zostać upieczoną na ruszcie tego straszliwego lądu.

Zatrzymał się. Przynajmniej trochę jej się boi. Na tę myśl obudziła się w Simsie iskierka pewności. Wiedziała, że ma on w pasie zagraniczny nóż. bo prawo portowe nie zezwalało na posiadanie żadnej innej broni. Niech użyje go przeciw jej szponom, przeciw zorsalom, o ile te doszły na tyle do siebie, by słuchać jej sygnałów. Rzuciła Zass na pokład i usłyszała gardłowy, bojowy okrzyk, będący reakcją na targające nią emocje, które zwierzę doskonale wyczuwało. Młode zorsale uniosły skrzydła i przesunęły się bokiem po brzegu kosza gotowe wzbić się do lotu, zaatakować...

— Wiesz, że to nasza jedyna szansa — odezwał się spokojnie, jakby rozmawiali o interesach.

Palce dziewczyny zagięły się, a Zass zaskrzeczała przeraźliwie. Simsa spróbowała rzucić się naprzód jednym ze swych wypraktykowanych skoków, lecz osłabione ciało odmówiło posłuszeństwa. Musiała wyciągnąć rękę, żeby nie walnąć twarzą wprost o pokład.

— Ty do tego doprowadziłeś... — Uniosła nieco głowę i mówiła dalej z nienawiścią — Daj mi chociaż przyzwoitą śmierć... masz środki — ruchem głowy wskazała nóż, którego nie pofatygował się nawet wyciągnąć. — Nigdy nie prosiłam, nigdy nie planowałam...

Nie próbował podejść bliżej. Wydała cichy, podobny do cmoknięcia odgłos, powstrzymujący zorsale przed atakiem.

Pomyślała, że jeśli go zabije, nie będzie miała nic, nie pozostanie jej żadna nadzieja. Czy w ogóle istniała jeszcze jakaś nadzieja? Chyba tak. Całe tłące się w niej jeszcze życie także lgnęło do nadziei, nawet kiedy ta wydawała się nierealna.

Nawet nie próbując stanąć na nogach odczołgała się od słoików z wodą, żeby

mógł je zabrać. Nakazywała mu gestem pójście w ich kierunku, lecz on zamiast tego podszedł do niej. Nie, tak długo, jak zdoła, będzie się poruszała o własnych siłach. Kiedy to już nie będzie możliwe... cóż, muszą być przecież jakieś sposoby zakończenia tej męczarni. Nie będzie się teraz uzależniała od tego zwariowanego kosmity, nie chce zaciągać wobec niego długów za jakąkolwiek pomoc.

Przyjęła jednak podane przez niego jedzenie, kiedy ostatnie promienie słońca znikwały wraz z kolorami z powierzchni morza. Wypiła nie więcej niż swój przydział, z którego trochę oddała Zass. Kiedy Thom na powrót udał się do skonstruowanego przez siebie „pojazdu”, rozluźniła przód kaftana i zrobiła za pazuchą miejsce dla zorsala. Dwa pozostałe pofrunęły już do dziwacznej konstrukcji i usadowiły się na przywiązanych koszach.

Simsa poszła za nimi. Od strony morza powiewał teraz chłodny wiaterek. A już nie wierzyła, że znów poczuje chłód. Jego dotyk docierał do jej wnętrza i rozjaśniał myśli, dodawał ciału energii. Nie ugasił jednak płonącego w niej gniewu.

Czy ten wariat postanowił sam ciągnąć zbudowaną przez siebie maszynę? A może zaprzęgnie do niej ich oboje i każe jej szarpać, dopóki nie padną z upału i wyczerpania?

Jeśli tak sobie zaplanował, to wkrótce się przekona, że ona nie zamierza się wymigiwać — będzie mu dotrzymywać kroku jak długo zdoła, gdyż w przeciwnym razie on doprowadzi ich do zagłady. Tak więc podeszła do niego i poszukała wzrokiem lin do ciągnięcia tego czegoś. Okazało się, iż była tylko jedna — pojedynczy kawałek sznura. Nie wierzyła, iż on sam zdoła uciągnąć ciężar zbudowanej przez niego konstrukcji.

Nie poprosił o pomoc, lecz stanął twarzą do przedniej części wyładowanej platformy i przez chwilę dotykał ręką pasa. Potem, ku jej zdumieniu, na jej oczach stało się coś niemożliwego. Konstrukcja drgnęła, po czym uniosła się z kamienistego podłoża i zawisła w powietrzu — dokładnie na wysokości jej kolan. Thom podniósł linę holowniczą i ruszył wzdłuż wąskiej plaży, a skonstruowana rzecz płynęła za nim niczym ogromny, bezskrzydły zorsal, tak posłuszna jego woli, jak jej wytresowane zwierzęta.

Przez drugą chwilę po prostu gapiła się na to i nadal nie mogła uwierzyć. Potem wystartowała w pośpiechu, żeby nie stracić go z oczu. Nie była w stanie odgadnąć, jakie jeszcze cuda Thom trzyma w zanadrzu, żeby ułatwić tę podróż, lecz teraz skłonna była uwierzyć we wszystkie dziwne historie opowiadane o ludziach z

gwiazd i o tym, czego potrafią dokonać. Nawet jeśli nigdy dotąd nie słyszała, żeby demonstrowali takie sztuczki w jej świecie.

Przepełniająca ją złość przeobraziła się w pragnienie, żeby dowiedzieć się, jak to możliwe. Zapomniawszy o nadwreżonych siłach, Simsa potykając się i ślizgając parła naprzód, aż zrównała się z Thomem. Szedł równym krokiem przed siebie, ciągnąc linę, na której końcu unosiła się w powietrzu platforma.

— Co robisz? — wydyszała, łapiąc rozpaczliwie oddech. — Co sprawia, że to wisi w powietrzu?

W odpowiedzi usłyszała stłumiony chichot, a po chwili spojrział na nią z szelmowskim uśmieszkiem.

— Gdybyś opowiedziała ludziom w kosmicznym porcie o tym, co teraz widzisz, odesłaliby mnie z powrotem do mojego rodzimego świata i skazali na dożywotnie przebywanie poza kosmosem — zaczął poważnie, choć wydawał się niezmiernie rozbawiony faktem, że może jej wyjaśnić coś, co wśród jego ludu traktowano jako przestępstwo. — Aby rozwiązać ten problem posłużyłem się jedynie czymś powszechnie stosowanym na innych planetach, bardziej rozwiniętych niż wasza. A to, zgodnie z prawami, jakim my podlegamy, jest śmiertelną zbrodnią. W tyle, z prawej strony wmontowałem mały mechanizm — wskazał kciukiem ponad ramieniem nie odwracając głowy — który redukuje grawitację do niewielkich rozmiarów.

— Redukuje grawitację — powtórzyła, usiłując nadać obcym słowom takie samo brzmienie, jak u niego. — Nie wiem... niektórzy ludzie wierzą także w duchy i demony, ale Ferwar określała ich mianem bojaźliwych i uważała, iż sami wymyślają to ze strachu. Mówiła też, że można uwierzyć w każdy zły sen lub rzecz, jeśli bardzo się na tym skoncentruje. Ale to, co widzę nie jest ani duchem, ani demonem.

— Nie, tym niepojętym jest po prostu to. — Znajdowali się właśnie u wejścia do wąwozu. Wiejący z tyłu wiatr od morza czynił tę trasę zupełnie znośną. Za dnia nigdy nie uwierzyłyby, że może być tutaj tak przyjemnie. Kiedy teraz przystanęła na moment, ciągle nie było zbyt ciemno, żeby zobaczyć przedmiot, który pokazywał powtarzając — To jest to.

„To” okazało się czarnym pudełkiem, tak małym, że można by je zakryć rozpostartą dłonią. Spoczywało dokładnie pośrodku ciągniętego przez niego przenośnika. Teraz zauważyła też, iż ładunek na platformie został rozmieszczony w taki sposób, że jego ciężar rozkładał się równomiernie na całej długości. Tylko jedno

miejsce było puste — na środku, gdzie umieszczono pudełko.

— Rzucisz kamień w powietrze i spada — powiedział. — To grawitacja ściąga go w dół. Grawitacja, czyli przyciąganie ziemskie. Lecz gdyby to przyciąganie mogło zostać skutecznie przełamane, twój kamień zawisłby w powietrzu. W moim świecie nosimy pasy z przyrządami dającymi nam indywidualną moc latania, kiedy połączy się je z inną siłą. Możemy też bez kłopotu przemieszczać o wiele cięższe przedmioty, niż ten transporter. Niestety, nie udało mi się przemycić przez strażę lądowiska tak dużego niwelatora, jakiego pragnąłem. Ten ma ograniczoną moc; sama widzisz, że ciężar utrzymuje się nisko nad ziemią. Jednakże jest on zasilany energią słoneczną, a tu, na szczęście, słońca jest pod dostatkiem, więc można go doładować. Przynajmniej na tak długo, jak będziemy go potrzebować. Simsa rozumiała jego słowa bez większych trudności. Jednakże kryjący się za nimi koncept był tak odległy od wszystkiego, co znała, że jego wywód przypominał straszną opowieść z podróży. Czasami rzeczni handlarze odstraszała w ten sposób łatwowiernych kupców od swych własnych, prywatnych portów handlowych, co jak wiadomo było powszechnie praktykowane. Pomyślała, że z takim przedmiotem przyczepionym do pasa, mogłaby dzielić niebo z zorsalami, a ponadto do jakich celów można by zastosować takie zdolności.

— Gildia Złodziei — wyraziła głośno swoje myśli. — Czegóż by oni nie zrobili za coś takiego? Nie... — dreszcz,

który nią wstrząsnął nie był spowodowany chłodnym wiatrem — nie, oni potrafiliby za to zabić! Czy to właśnie dla tego czegoś Lord Arfellen poluje na ciebie?

Nie mogła zrozumieć, jakie znaczenie czarne pudełko mogłoby mieć dla Wysokiego Lorda Gildii.

— Nie — odparł Thom. — Już ci mówiłem. Arfellen chciał, i z pewnością nadal chce, tego, co dopiero zamierzamy znaleźć.

Dla Simsy najbardziej liczył się fakt, że to kosmiczne cudeńko znacznie zwiększało ich szansę. I nie chodziło o to, że szło się łatwiej, bo w gruncie rzeczy wcale tak nie było. Miejscami wąwóz był niemal zabarykadowany osuniętymi skałami, tak, że Thom musiał manewrować swoim, jak go określił, „transporterem”, ostrożnie wokół głazów, gdyż ten nie miał dostatecznej mocy, by się nad nie wznieść. Pokrzepiona faktem posiadania tego ułatwiającego ich wędrówkę cuda, Simsa spieszyła mu z pomocą, podtrzymując, popychając lub przesuwając transporter w przód i w tył, żeby o coś nie zaczepił.

Thom nie narzucał szybkiego tempa. Co jakiś czas zatrzymywał się na odpoczynek. Simsa domyślała się, choć nie chciała się do tego przyznać nawet przed samą sobą, że robił to bardziej ze względu na nią, niż z własnej potrzeby. W ciemności zorsałe całkowicie wróciły do życia. Młodsze nawet co jakiś czas wzlatywały w powietrze. Niedługo okazało się, że pustynia mimo wszystko ma mieszkańców, gdyż jedno ze zwierząt Simsy wzbilo się wysoko wydając myśliwski okrzyk. Chwilę później zanurkowało w dół, by dokonać mordu między skałami, a po nim to samo uczynił jego brat.

Simsa przywołała je gwizdem. Przybysz rozpiął kolejną zapinkę na swoim pasie cudów i drogę oświetlił strumień bladego światła. Wkrótce w jasnej smudze pojawił się młodszy z zorsali, trzymając w przednich łapach coś, co wyglądało na opancerzony ogon. Simsa posadziła Zass na balansującym transporterze, a syn podał matce świeżo upolowany łup. Pożarła go łapczywie z chrzęstem czegoś, co mogło być albo łuską, albo kośćmi.

Podczas jednego z postojów Thom pokazał dziewczynie, jak chłód kamienia skrapla wilgoć niesioną przez morski wiatr, który ciągle wpychał się do szczeliny, jakby wciągany do środka siłą samej pustyni. Przyłożyła poranioną rękę do tej wilgotnej powierzchni zastanawiając się, czy nie ma jakiegoś sposobu na zebranie tych cennych kropelek i dołączenie ich do zapasów wody. Co prawda napili się już, choć bardzo oszczędnie, z jednego ze słoików i zjedli skromny posiłek. Składały się na niego małe placuszki z mąki i suszonej ryby. Tłuszcz, który wiązał składniki był zjełczały, lecz rybacy żywili się tym na morzu tygodniami, a poza tym to nie była kraina dla wybrednych.

Simsa nie miała pojęcia, jak daleko zaszli. Jej nogi w miejscach, gdzie nie bolały były zupełnie zdrętwiałe, a szmaty, którymi je obwiązała, podarte na strzępy. Była zbyt skupiona na wypatrywaniu przeszkód, które mogłyby zagrozić ich transporterowi. Być może jutro przybysz planuje wykorzystać jakiś inny zdumiewający przedmiot, by ułatwić im podróż. Dopiero kiedy stanął, uświadomiła sobie, że niebo blednie,

— Nie możemy ryzykować wędrówki za dnia. Spójrz tam, do przodu. Widzisz te osunięte głazy? Możemy oprzeć na nich transporter i zrobić sobie daszek, który da nam trochę cienia. Tylko musimy zdjąć z niego wodę i żywność zanim wzejdzie słońce.

Simsa znalazła jeszcze tyle siły, aby mu w tym pomóc. Starannie podpierała

każdy słoje z wodą kamykami, by go unieruchomić i zabezpieczyć przed rozlaniem. Zass pierwsza usadowiła się na odciążonej platformie, która, kiedy usunięto z niej cały ładunek, strzeliła w górę, aż Simsa krzyknęła. Triom ściągnął platformę w dół i przywiązał. Zdjął z niej pudełko i z taką samą pieczołowitością, z jaką ona ustawiała w cieniu słoje z wodą, umieścił je na płaskim kamieniu, w miejscu, gdzie będzie wystawione na działanie słońca.

Następnie dotknął ramienia Simsy i delikatnym pchnięciem skierował do zaimprovizowanego namiotu.

— Ja idę na górę — wskazał na najbliższy klif. — Zanim zrobi się za gorąco chcę sprawdzić swoją orientację w terenie i zobaczyć, jak daleko jeszcze do Wzgórz.

Skwapliwie przy stała na jego plan, pozostawiając mu wspinaczkę. Sama nie miała ochoty tracić więcej energii. Usiadła pod zadaszeniem, oparła się plecami o jeden z głązów podtrzymujących transporter i zaczęła odwijać obolałe stopy. Jakże była głupia, nie zabierając ze sobą paczki leczniczych ziół Ferwar, które teraz by jej pomogły. Nie zostało już nic tłuszczu. Jednak pod strzępami przytrzymujących je na stopach szmat, sandały były w zupełnie dobrym stanie, tak więc nie będzie szła boso — jeszcze nie.

Przywołała cmoknięciem zorsale, wybrała płaski kamień, zdjęła swój turban i udrapowała go w kształcie gniazda. Umościły się w nim popiskując sennie, z czułkami zwiniętymi w spirale. Wydawały się bardziej znużone niż na wybrzeżu, choć spiekota dnia była dopiero przed nimi. Była głodna i spragniona, lecz nie będzie jadła, ani piła, dopóki Thom nie wróci. Żywotność gwiazdowego człowieka wprawiała ją w zdumienie. Pracował w skwarze minionego dnia, żeby zbudować transporter; z tego co widziała, wcale nie odpoczywał. Mimo to maszerował dziarsko przez całą noc, a teraz zafundował sobie dodatkowo wspinaczkę na szczyt wąwozu.

Z czego przybysze z innego świata zostali zrobieni? Czy z równie niezniszczalnego materiału jak ich potężne kosmiczne statki?

Nie wierzyła, by nawet pustynni jeźdźcy z przeszłości radzili sobie tak dobrze, jak tego dnia, tej nocy, poradził sobie Thom.

Rozległ się odgłos spadających kamieni, a w chwilę później, w coraz jaśniejszym świetle dnia pojawił się jej towarzysz. Wylądował zręcznie zaledwie kilka kroków od dziewczyny, zeskoczywszy widocznie z krawędzi wąwozu, i podszedł do niej. Sięgnęła po kubek z wodą. Na jego twarzy widniały smugi kurzu, który zmieszany z potem zmieniał się w błoto.

Pił powoli, choć była przekonana, że gdyby nie przezorność, przełknąłby wszystko w mgnieniu oka. Poczekała, aż wysączy ostatnią kroplę i spytała:

— Jak daleko?

— Nie jestem pewien... — przynajmniej jej nie okłamywał i Simsa poczuła się dumna, że tego nie robi. — Trudno jest szacować odległości na oko.

Powiedziałbym, że jeszcze jedna noc podróży i będziemy blisko, jeśli nie na miejscu.

Zjadł łączywie podaną mu połowę placuszka, a potem bez słowa skulił długie ciało tak, że pozostawił jej wystarczająco dużo miejsca. Zmieścił się całkowicie pod daszkiem z transportera i natychmiast zasnął, jakby również to potrafił robić wyłącznie siłą woli.

Rozdział siódmy

Simsa leżała, dysząc ciężko z powodu upału. Świejące w szczelinę słońce zamieniło ich azyl w garnek umieszczony nad ogniem. Rozpięła kaftan i koszulę oraz poluzowała ze—sztywniały od potu materiał ściskający jej piersi. Było zbyt gorąco, aby się poruszać, lub o czymkolwiek myśleć. Dziewczyna wędrowała po koszmarnym łądzie półświadomości, wstając dwukrotnie, żeby zająć się zorsalami, kiedy zdawało się jej, że słyszy ich dyszenie. Jeśli nawet ponad krawędzią wąwozu, w którym spoczywali jakiś wiatr przesypywał piasek bądź unosił wirujące słupy roztańczonego żwiru, to nie docierał on do dna wąwozu, gdzie leżeli uwięzieni.

Spod obrzmiałych powiek Simsa zerknęła na przybysza. Górną część obcisłego uniformu miał rozpiętą. Widocznie szarpnął ją, gdy ona trwała w stanie nieświadomości, ponieważ nie zauważyła żadnego ruchu. Leżał na plecach, dlatego widziała wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową pokrytą bladą skórą. Chyba spał. Widocznie trudy ostatnich godzin, znużyły go tak potwornie, że nawet skwar nie był w stanie go obudzić.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Chwilami dziewczyna miała wrażenie, iż leży tu od zawsze i że nie będzie końca tej udręki. Odmówiła sobie wody na rzecz zorsali, pojąc je oszczędnymi racjami z napoczętego poprzedniej nocy słoja.

Musiała zasnąć, gdyż większość dnia wypełniły jej senne majaki. Raz wydawało się jej, że leży i obserwuje Ferwar zakutaną w wiele warstw połatanych do granic możliwości ubrań, schodzącą w dół obok głazu, na którym Thom umieścił swoją latającą, magiczną skrzynkę. Była to młodsza Ferwar, z plecami jeszcze nie wygiętymi w pałąk, z laską, na której się nie wspierała. Minęła ich schronienie różnym krokiem osoby mającej do spełnienia określone zadanie w określonym czasie. Wargi Simsy ułożyły się w kształcie imienia tej złudnej wędrowniczki, lecz nie wypowiedziały go głośno. Jednak obszarpana postać jakby usłyszała pozdrowienie, ponieważ zatrzymała się obok skały, gdzie Thom złożył swój skarb. Spod gęstych, krzaczastych brwi popatrzyła prosto na dziewczynę. Potem z rozmysłem uniosła laskę, na której jeszcze nie musiała się wspierać, zamachnęła się nią i zmiotła z kamienia kosmiczny przedmiot. Następnie końcem laski wskazała na wąwóz. Jej usta poruszyły się, wypowiadając słowa, których Simsa nie usłyszała. Starucha jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądała się badawczo ich żalosnemu obozowisku, po czym

odwróciła się i poszła.

Oczywiście to był sen lub jakaś wizja wywołana gorączką i miejscem, gdzie leżała. Mimo to Simsa uniosła się z wysiłkiem na łokciach i patrzyła za odchodzącą, dopóki ta nagle nie zniknęła.

Simsa była zbyt zaabsorbowana swoimi cielesnymi katuszami, by odczuć strach. Zdecydowała, iż istniał tylko jeden powód, dla którego Stara się pojawiła. Nieżyjąca już od dawna Ferwar poprowadzi ich naprzód tak długo, aż oni również do niej dołączą. Jednak niewiele ją to obchodziło. Opadła z powrotem na ziemię i skuliła się z ręką pod policzkiem. Kojący chłód dotknął jej rozpalonego ciała, niczym drogocenna kropla wody tryskającej z fontanny...

Nieskończenie powolnym ruchem uniosła rękę i popatrzyła na pierścień. Już dawno zrobił się za duży dla jej wychudzonych palców, a mimo to nie zdjęła go i nie schowała. Zabezpieczyła się natomiast przed jego zgubieniem owijając obrączkę strzępem materiału oddartego od płótna, w które zawijała stopy. Jego warstwa była na tyle gruba, że przylegał ciasno do kciuka i nie zsuwał się. Kiedy teraz popatrzyła na chmurny, mieniący się klejnot tworzący dach twierdzy, odniosła wrażenie, że spogląda... tak, że spogląda w sadzawkę z wodą.

Czary...? A właściwie, co to są czary? Istniała nauka o roślinach wykorzystywanych do leczenia ciała, którą Ferwar zgłębiła i trochę tej wiedzy przekazała Simsie. Trochę, ponieważ w istocie stara kobieta była zazdrosna o własne umiejętności i nieskora do dzielenia się wiedzą. Istniały także niezwykle rzeczy, znane przybyszowi z innej planety i wykorzystywane przez niego. Lecz to były tylko przedmioty zbudowane przez ludzi na bazie ich wykształcenia i wysiłków — namacalne przedmioty, które można było wziąć do ręki.

Istniały opowieści o dziwnych mocach. Jednak nikt ze znanych Simsie osób tak naprawdę ich nie widział. Zawsze widywano je w innym miejscu, w innym czasie, a dziewczyna traktowała je jak zwykłe bajeczki. Wiedzę można zdobyć, potem stracić i znów zdobyć. Ci, którzy żyli przedtem, byli mądrzejsi od ludzi, którzy przychodzili po nich, jeśli w międzyczasie zdarzało się coś, co przerywało przepływ mądrości z jednego pokolenia na następne.

Ten pierścień i pozostałe okazy jubilerskiej roboty będące w jej posiadaniu, były piękniejsze od wszystkich, jakie widywała w sklepach górnej części miasta. Niekiedy zdobywała się na odwagę, by pójść i popatrzeć na bogactwa, nie mając przy tym nawet najmniejszej nadziei na choćby ich dotknięcie. To nie oznaczało, że były

zaczarowane, a jedynie bardzo stare, stanowiące owoc pracy od dawna nieruchomych i wysuszonych do kości lub nawet obróconych w proch rak.

A jednak kiedy teraz leżała gapiąc się na sadzawkę z szaroniebieskiego klejnotu...

Wokół niej wyrosły mury. Nie było słońca, mimo to było gorąco. Jęzory płonącego ognia sięgały coraz bliżej, aby ją spalić. Do uszu dochodziły nawoływania, dzikie krzyki i wrzawa innych odgłosów, jakich nigdy przedtem nie słyszała. U jej stóp była sadzawka, której granice wytyczały iskrzące się bloki niebieskozielonego kamienia. Balansowała na jej krawędzi bojąc się skoczyć, bojąc się zostać i stawić czoła szalejącemu, coraz bliżej piekłu.

Ciemność nieba rozdzierały ogromne błyskawice żywego ognia. Widziała, jak ogień liże wieżę, a wieża kołysze się i wreszcie pada na ziemię. Krzyknęła i skoczyła do stojącej wody. Ta jednak była zbyt gorąca, parzyła. To śmierć. Lecz śmierć ciągle nie zaciskała do końca swoich szczęk, raczej bawiła się nią używając tortur, podobnie jak zorsal używa pazurów, gdy mając pełen żołądek bawi się świeżo złapaną ofiarą. Cały świat był ogniem, a ona została złapana w środek jego płomieni...

— ...obudź się... obudź!

Wrząca woda przelewała się przez jej ciało. Próbowwała walczyć, lecz śmierć już ją miała, pozbawiła jej całej siły. Mimo to nie przestawała się z nią bawić.

— Zbudź się!

Simsa zobaczyła nad sobą twarz — okrągłą i wielką jak księżyc — z dwoma ciemnymi szparami oczu, z ustami, które przybyły, aby wyssać ją z tej wody. A jednak w tych ustach nie znajdzie azylu... tylko kolejny rodzaj tortury...

— Obudź się wreszcie!

Ogromna twarz zmniejszyła się, stała się twarzą, którą sobie mgliście przypominała. Zamrugała, gdyż woda sprawiła, że nie widziała wyraźnie. Ona...

Żadnego snu... żadnego ognia... Na jej ramionach spoczywały dłonie potrzęsającego nią przybysza z innego świata. Przez chwilę patrzyła na niego z otwartymi ustami, potem wyswobodziła się z jego rąk.

— Musiałaś mieć jakiś wyjątkowo koszmarny sen — skomentował, przysiadając na piętach. — Proszę, weź to — podał jej kubek, którego ostatnio używała do pojenia zorsali. — Bierz! — rozkazał ostrzejszym tonem, kiedy nie uniosła ręki.

Wokół niej była nadal ta sama dolina i ten sam skwar. Lecz było też coś

dziwnego. Miała wrażenie, że od czasu do czasu widzi jedną rzecz na przemian z drugą — dolina wyraźna, potem przesłonięta spiczastą wieżą i sadzawką, do której pchał ją strach. Wszędzie jednak czyhała na nią śmierć, zarówno z przodu, jak i z tyłu oraz wszędzie dookoła.

— Pij! — pochylił się nad nią, podłożył rękę pod plecy i wsparł mocno na swym ramieniu, dając jej oparcie przeciwko pojawiającym się jak w kalejdoskopie chorym urojeniom. Dotyk przytkniętego do ust brzegu kubka sprawił jej ból, lecz to właśnie Thom, bardziej niż jego słowa, pozwolił jej otrząsnąć się z resztek tego koszmaru.

Nie zaprotestowała, widząc, że pojemnik jest prawie pełen. Woda była ciepła i nieco gorzkawa, wypła ją jednak łapczywie, pozwalając mu trzymać kubek, dopóki nie wysączy ostatniej kropli.

Oparł jej ramiona z powrotem o kosz, z którego dochodziło dyszenie zorsali. Trzeba się o nie zatroszczyć, lecz jej głowa była tak dziwnie lekka, że nie mogła się zmusić do ruchu. Jeszcze nie.

Na wół leżąc, obserwowała niezrozumiałe dla niej poczynania Thoma. Widziała, jak podniósł z kamienia przy kolanie małą fiolkę i odmierzył z niej trzy krople do niewielkiej porcji wody. Następnie zakorkował fiolkę, odłożył ją do torebki w pasku i uniósł kubek w jej kierunku gestem kogoś, kto pije za zdrowie spotkanego w gospodzie przyjaciela. Potem wysączył powoli przygotowaną mieszankę. Trzymając kubek przy ustach, przypatrywał się jej bacznie ponad jego krawędzią, że w końcu zaczęła się wiercić, czując jego przenikliwe i badawcze spojrzenie.

— Rzeczywiście miałam zły sen — odezwała się, jakby chcąc się usprawiedliwić ze wszystkiego, co przyciągnęło jego uwagę. On... ten sen... był w pewnym sensie... związany z tym.

Uniosła wysoko rękę, prezentując pierścień w kształcie wieży.

— Ogień na niebie i padająca wieża... A ja wskoczyłam do sadzawki, lecz woda... była gotująca.

— Lady Simso — cały czas zachowywał ten dworski styl, który tak ją irytował. Nie da mu jednak satysfakcji i nie zaprotestuje przeciwko temu, co musi być subtelną formą ironii. Czy słyszałaś kiedykolwiek o dziwnych zdolnościach, jakie mogą posiadać niektórzy ludzie? Czy znasz kogoś wśród twoich pobratymców, kto może wziąć do ręki jakiś przedmiot i wyczytać z niego przyszłość? A może słyszałaś o kimś takim?

Z bliżej nieokreślonego powodu zaczynała czuć się silniejsza, bardziej czujna, niż w ostatnich dniach. Oderwała plecy od kosza służącego jej za oparcie i odwróciła się za siebie, by zająć się leżącymi w nim zorsalami. Cały czas myślała o tym, co powiedział Thom. Czy takie rzeczy w ogóle się zdarzają? Czy istnieją tacy ludzie? Nie, nie pozwoli, żeby testował ją za pomocą nowych głupot, które dla niego mogły być prawdą — oczywiście w innym świecie.

— Nie — odparła krótko. Ta rozmowa wcale jej się nie podobała. Całe życie była napiętnowana odmiennym kolorem skóry, odmiennym pochodzeniem, różniącym ją od wszystkich w Ziemiach, także od tych, których spotykała w Kuxortal. Zrobiła, co w jej mocy, aby ukryć tę odmienność, która tkwiła w jej ciele. A teraz on mówi o jeszcze gorszych różnicach. .. Gdyż dla niej ta rozmowa była bardziej zdradliwa, niż własne odbicie w lustrze.

— To są znane sprawy. Ludzie posiadający taki dar są w mojej społeczności powszechnie szanowani. Szkoli się ich, aby potrafili go dobrze wykorzystać...

— Nie mam takiego daru! — Dar! I co jeszcze? Uznano by to za kolejną rzecz pogłębiającą jej odmienność. — Jeśli już z tym skończyłeś — skinęła na kubek — to trzeba napić zorsale.

Nagle, uprzytomniła sobie ze strachem, że on może uznać zwierzaki za bezużyteczny bagaż i zakazać jej marnowania dla nich wody. Przecież przybysz może użyć argumentu, że lepiej będzie spożytkować ją dla podtrzymania ich własnej egzystencji.

Jednak nie zaprotestował. Co więcej, zauważyła, iż porcja nalana przez niego do kubka była bezsprzecznie większa od tej, jaką wydzielił dla siebie. Wyjmowała po kolei bezwładne, omdlewające stworzenia z prowizorycznego gniazda, nakłaniała do picia i odkładała ostrożnie na pokrywę kosza. One zaś poddawały się pokornie jej zabiegom z podkulonymi stopami i ze skrzydłami przygladzionymi na grzbietach.

Robiąc to uświadomiła sobie, że jej energia stale wzrasta. Pomimo nie słabnącego żaru, znajdowała w sobie jakąś rezerwę dającą jej większą moc działania. Nie zaznała niczego podobnego od czasu, gdy opuścili morski brzeg. Klif rzucał teraz cień, co oznaczało, iż dzień ma się ku końcowi. Thom zabrał się za przygotowania do dalszej podróży. Niezwykłe pieczołowicie umieścił magiczne pudełko pośrodku transportera, który natychmiast podskoczył i zawisł w powietrzu, na poziomie jego ramienia. Ściągnął go niżej, nakazując Simsie usiąść na jego krawędzi i podawać mu kosze oraz pozostałe rzeczy. Osobiście rozmieszczał ładunek na platformie, dbając o

to, by każdy przedmiot znajdował się na właściwym miejscu, chociaż Simsa nie rozumiała rzeczywistego celu tych zabiegów.

Po posiłku zorsale trzepocząc skrzydłami wzbiły się w powietrze, krążąc nad ich głowami i pohukując. Kiedy Thom zawiązał ostatni sznur, Simsa posadziła Zass na ramię, gotowa do drogi. I tak raz jeszcze rozpoczęli wędrówkę wzdłuż tej niekończącej się rozpadliny, której ściany i podłoże niczym nie różniły się od tego, co mijali poprzedniej nocy.

Wyruszyli z nadejściem mroku. Thom znów prowadził, a Simsa szła z tyłu pilnując transportera i nie dopuszczając do jego zetknięcia ze skałami. Zdawało jej się, że leci nieco wyżej nad ziemią niż pierwszej nocy ich wędrówki. Być może dlatego, że teraz było na nim trochę mniej jedzenia i wody.

Był to bardzo nużący marsz, lecz pocieszał ją fakt, iż po długim dniu spiekoty jest w tak doskonałej kondycji. Kroczyła raźnie i uwijała się żwawo, gdy zachodziła konieczność uchronienia transportera przed zderzeniem z przeszkodami. Zorsale, które wzleciały w powietrze wraz z zachodem słońca, krążyły w poszukiwaniu łupu. Zass krzyczała za nimi przeraźliwie, jakby chcąc im przypomnieć, że ona również jest upoważniona do otrzymania porcji żeru, jakiego mógł dostarczyć ten boleśnie ogołocony łąd.

Podobnie jak pierwszej nocy, zatrzymywali się co jakiś czas, a podczas drugiego postoju Thom spytał zniecka: — Jak się czujesz?

W jego głosie była nuta, która zaalarmowała dziewczynę. Brzmiało to tak, jakby oczekiwał, iż w odpowiedzi zrelacjonuje mu swoje problemy. Czyżby z powodu jej snu? Płoszyły ją jego pytania na temat dziwnego „daru”, jak to określił, w który wierzyli przybysze z innego świata.

— Jestem w stanie pójść tam, dokąd nas poprowadzisz — odparła szorstko. — Wszyscy mają sny, o których chcieliby zapomnieć i nie lubią do nich powracać. Chyba, że twój lud jest tak odmienny, iż nie nękają go koszmary?

— Nie chodzi o twój sen. — Oddzielała ich tak gęsta kurtyna ciemności, że nie widziała jego twarzy. Na tle mroku zdolna była zauważyć tylko jaśniejszą plamę, dzięki przytroczonemu do jego pasa światłu. Wskazywało ono drogę, a kiedy siedział i jadł było skierowane na lekko kołyszący się transporter. — Muszę ci powiedzieć, co zrobiłem, ponieważ może nadejść czas, kiedy okaże się konieczne, abys ty również wiedziała, co robić. Mam tu płyn — poklepał torebkę. — Widziałaś, jak dolewałem go do wody przed wypiciem. To stymulator, destylat kilku, jakbyś je nazwała, leków

wzmacniających ciało i rozjaśniających umysł. Nie można go używać w nadmiarze, ani za często. Ma on pomóc człowiekowi w pokonywaniu takich szlaków, z jakim my się zetknęliśmy. Nie wiedziałem, czy tobie pomoże. Musiałem zaryzykować. Byłaś... byłaś już daleko. Traciłem cię.

Przeżuwała tę informację wraz z kawałkiem twardej żywności, starając się nie wachać tego, co jadła.

— Mogłeś mnie tym zabić. — Miała nadzieję, że jej głos brzmi tak spokojnie, jak tego pragnęła.

— Tak, mogłem cię zabić.

Simsa zastanowiła się nad tym. Ten przybysz z innego świata zawsze mówi prawdę. W pierwszej chwili zapalała gniewem, lecz nie mogła pozwolić, by zmaćcił on jej myśli tak straszliwie, jak te niby—wizje oglądane po przebudzeniu. Cóż. zaryzykował i udało się. Zdawała sobie sprawę, że jest silniejsza, bardziej czujna, w pełni zdolna iść dalej. Wróciła myślami do skwaru i udręki minionego dnia. Była przekonana, iż bez takiego wsparcia nie zdołałaby, nawet przy najlepszych chęciach, zebrać sił do dalszej wędrówki.

— Ale nie zabiłeś. — Pozwoli mu myśleć, że jest jej to zupełnie obojętne. W końcu nic dla siebie nie znaczyli. Podobnie jak ona nie znaczyła nic dla nikogo od śmierci Ferwar. Przez ułamek sekundy jakaś część jej samej poczuła się zaskoczona tą przelotną myślą — Simsa nie potrzebuje nikogo, prócz siebie samej!

— Simso — po raz pierwszy nie dodał do jej imienia „lady”, lecz mówił, jakby stanowiła z nim jedność. Dał jej odczuć, iż na równi z nim była częścią tego samego ryzykownego przedsięwzięcia — w czyim Domu przysłaś na świat?

— Dom?—zaśmiała się pogardliwie, a Zass zawtórowała jej głośnym chrząkaniem. — Od kiedy to Grzebacz ma „Dom”, którym mógłby się pochwalić? Zwykle znamy nasze matki, niektórzy również ojców, lecz poza tym... — wzruszyła ramionami, choć on nie mógł widzieć tego gestu. — Nie. nie mamy większych aspiracji.

— A twoja matka? — nalegał wbrew wszelkim dobrym obyczajom, choć sądziła, że przynajmniej tyle jest jej winien.

Mogła powiedzieć cokolwiek — nawet, że była porzuconym dzieckiem jakiejś kobiety z Gildii, a on nie mógłby nazwać jej kłamczuchą. Tylko po co miałyby to robić? Prościej było powiedzieć prawdę,

— Wiem tyle, co ty. Pamiętam raczkowanie w brudzie ziemianki Ferwar, a

wcześniej... nic. Wiem jednak na pewno, że nie byłam owocem jej ciała. Gdy się urodziłam, była już za stara, żeby ją zapłodnić. — Celowo używała dosadnych określeń Grzebaczy, unikając pięknych zwrotów, do jakich przybysz był zapewne przyzwyczajony. — Być może byłam dzieckiem z hałdy.

— Dzieckiem z hałdy?

— Wyrzuconym na hałdy odpadków i pozostawionym dla śmieciarzy. — W dalszym ciągu umniejszała własną rangę, klasyfikując się tak nisko, jak nisko cenił ją ten świat. Z niezrozumiałych powodów czerpała z tego perwersyjną przyjemność. — Możliwe, że Ferwar właśnie stamtąd mnie zgarnęła. Zawsze lubiła ciekawostki i zносиła do domu przeróżne dziwne rzeczy. Ot, stara dziwaczka. Przecież nawet teraz masz przy sobie kilka jej znalezisk. Nie jestem może tak znacząca, jak przedmioty tej twojej... X-Arth, ale możliwe, że dla Staruchy stanowiłam jakąś wartość.

Zamyśliła się na chwilę, po czym znowu zaczęła mówić.

— W każdym razie, przydałam się jej na starość. Nękały ją okrutne bóle w stawach i zrobiła się tak zniedołężniała, że trudno jej było samej się poruszać. Nie mogła już grzebać w ziemi, ani przeczesywać śmietników. Byłam za mała, żeby dźwigać duże przedmioty, ale ona zawsze mówiła, że mam dobre oczy. Poza tym jestem szczęściarą, a raczej nią byłam... — Pomyślała, że trudno uznać za szczęśliwą sytuację, w jakiej się obecnie znajdowała. — To ja znalazłam kilka z ciekawszych eksponatów Staruchy. Mam też Zass, a przecież nikt inny nie pomyślał nigdy o próbie oswojenia zorsala i wynajmowaniu go do różnych zadań.

— Racja.

Żałowała, iż nie widzi wyrazu jego twarzy. Przyznał jej rację jednym, jedynym słowem. Dziwnie pragnęła, by okazał jej więcej podziwu. Z drugiej jednak strony, skąd przybysz z innego świata miałby wiedzieć, co znaczy żyć w Ziemiakach? Egzystować dzięki temu, co szacowni obywatele Kuxortal wyrzucali, gubili lub chowali, a potem zapominali, na długo przedtem, zanim się przyszło na świat?

— Nie było tam nikogo podobnego do ciebie? Z twoimi włosami, twoją skórą?

— Nikogo! — Nie wiedziała, czy to powód do dumy, lecz sprawiła, że jej odpowiedź zabrzmiała dumnie. — Nazywali mnie Cieniem, ponieważ wystarczyło, że obwiązałam włosy i wysmarowałam sadzą z garnka brwi i rzęsy, a stawałam się częścią samej nocy. Ponadto Ferwar ostrzegęła mnie, że bym była ostrożna. Mawiała, że są tacy, którzy mogą wykorzystać moją odmienność dla celów handlowych i

potraktować jak towar na sprzedaż. Nauczyłam się ukrywać prawdziwą tożsamość. To mi się wielokrotnie przydało. — Zaśmiała się cicho, lecz nie słyszała, aby on jej zawtórował.

— Więc nikt nie wiedział, jak w rzeczywistości wyglądasz, toteż nie robił uwag na temat twojej odmienności. A ta twoja Starucha uważała, że wygląd może ściągnąć na ciebie nieszczęście...

Simsa nie pojmowała, dlaczego on w kółko gędzi o jej wyglądzie. Była inna — lecz w Ziemiakach żyło wielu osobników będących efektem pospiesznego, niekiedy wręcz

zapomnianego spółkowania pomiędzy obcymi sobie ludźmi. Kiedyś była zazdrosna o Lanwora, którego wykupiono od „ojca” (o ile Qualt był jego ojcem) ze względu na nadzwyczaj długie ramiona. Został zabrany do Gildii Złodziei, co było niesłychanym awansem w ich świecie. Czasami zastanawiała się, czy Ferwar także otrzymywała podobne oferty — małe dziecko, potrafiące rozpląnąć się w ciemności i stać się jej częścią również powinno być w cenie. A może właśnie dlatego Starucha nieustannie przypominała jej o ukrywaniu się? Kiedy Ferwar umarła, Simsa była już zbyt niezależna, za dojrzała, żeby dać się wytresować i podporządkować ich ostrym i nieugiętym regułom.

— Faktycznie niewiele osób mnie widziało, kiedy podrosłam — wracając myślami w przeszłość stwierdzała, że to była prawda. — Nie taką, jaką byłam rzeczywiście. Starucha, nie wiem czemu, nie chciała ogolić mi głowy. Kazała nosić kaptur, gdy wychodziłam na poszukiwania. Prościej było chodzić w kapturze, niż zmywać sadzę w rzece. Potem zaczęła mnie wysyłać głównie nocą i nauczyła, jak się poruszać niezauważenie. Prowadziła interesy w dziwnych miejscach i z dziwnymi ludźmi. Nigdy nie rozumiałam jakiego rodzaju to były interesy i dlaczego. Znosiłam im potajemnie różne rzeczy i w zamian przynosiłam inne pakunki.

Wydawało się, że wyczerpał mu się zasób pytań, gdyż zajął się słojem z wodą i wydzielaniem racji. Wypiwszy do dna mdły, ciepławy płyn, z kolei ona zadała pytanie.

— A co z twoim Domem, gwiazdny wędrowcze? Czy jesteś synem lorda, że wolno ci przelatywać ze świata do świata, jak synowie Zass przelatują z jednej skały na drugą? Jak wielkie są twoje pałace i ilu ludzi się gromadzi, by o zmierzchu wzniesć okrzyk z nazwą twojego klanu?

Teraz się roześmiał.

— Nasze zwyczaje różnią się od zwyczajów panujących w Kuxortal. Nie tworzymy wspólnych domów dla wszystkich krewnych. Tylko najbliższa rodzina mieszka razem. Moi rodzice zmarli dawno temu. Brat był starszy, więc on był głową Domu. Jak byś to nazwała. Mamy jedną siostrę. Poślubiła gwiazdnego kapitana i ciągle podróżuje. Podoba się jej takie życie, lecz nie widziałem jej od wielu lat. Mój brat jest człowiekiem szanowanym przez ludzi nauki, a ja częściowo dzielam jego zainteresowania i gusta. Kiedy zniknął, byliśmy zaangażowani w rozliczne projekty. Wtedy zrozumiałem, że muszę przyjechać i go odszukać. Poszedłem więc do mojego szefa, samego Głównego Technika Historii, Zashiona, i powiedziałem o swoich zamiarach. Dał mi urlop i przyleciałem pierwszym statkiem, który miał tu wylądować. Po drodze dowiedziałem się z taśm, czego brat szukał i co może mnie czekać. Dlatego zaopatrzyłem się w takie przyrządy, jak niwelator grawitacji, choć to nielegalne. Jednak kiedy już tu przybyłem, nie mogłem zrozumieć, dlaczego moje pytania wywoływały taki niepokój, wręcz popłoch u ludzi, którzy w pierwszej kolejności powinni udzielić mi pełnej pomocy. Ostatecznie pomoc Technika Historii Ligi wysłaby im na dobre. Nie musieli się obawiać, że jesteśmy złodziejami starożytnych skarbów, gdyż mieli nasze listy polecające i gwarancję samej Ligi, że nie jesteśmy nikim w tym rodzaju.

— Ta twoja Liga... — Simsa, nie słysząc myśliwskich okrzyków młodych zorsali, dzieliła się z Zass swoim placuszkiem — Gdzie jest jej miasto?

— Miasto? Nie ma jednego miasta. Liga jest związkiem światów, wielu światów, jak wasz związek Mistrzów Gildii w Kuxortal.

— Lecz ona nie ma — zauważyła triumfalnie — strażników Gildii, tak jak tu? Jak możesz myśleć, że któryś z Lordów Gildii potraktuje poważnie słowo człowieka, którego strażników nie widzi na co dzień, który nie pokazuje jawnie odznaki swojego Domu? Twoja Liga jest daleko, oni zaś są tutaj.

Zrobią, co im się spodoba i nie będą widzieli powodu, dla którego miałyby być inaczej.

Wydawało jej się, że westchnął, lecz nie była pewna. Nadal milczał. Jej lęk przed nim powoli ustępował. Posiadał takie narzędzia, jak skrzynka sprawiająca, że ładunek tracił ciężar czy światło, które płonęło nie zużywając żadnego paliwa. Jednak w sprawach ludzi orientował się mniej, niż byle dziecko z Ziemiaków podczas pierwszej wyprawy na wysypisko.

Zorsale upolowały coś i ponownie przyniosły porcję matce. Potem wzleciały i

powirowały w dal, nim Simsa zdążyła wydać jakąkolwiek komendę. Noc była bezksiężycowa i nie zauważyła, w jakim kierunku poleciały. Miała jedynie nadzieję, że wrócą przed wschodem bezlitosnego słońca.

Niebo szarzało, kiedy Simsa uświadomiła sobie po raz pierwszy, że podłoże wąwozu zmienia się, pogłębia. Poza tym było bardziej równe. Leżało tu mniej osuniętych głazów torujących drogę transporterowi. Wówczas też usłyszała okrzyk swego towarzysza. Zatrzymał się tak gwałtownie, że transporter siłą rozpędu uderzył go w biodro. Simsa przesunęła się w bok, żeby lepiej widzieć.

Z całą pewnością doszli do końca rozpadliny. Przed nimi, groźny i ponury, niczym mur otaczający warowną twierdzę, piął się wysoko w górę klif. Zobaczyła, jak Thom odczepia od paska przyrząd dający światło i ustawia go pod takim kątem, aby jego strumień oświetlał niemal pionową skałę. Wyglądało na to, że światło nie zdołało dotrzeć do wierzchołka, o ile ta ściana miała w ogóle jakiś wierzchołek. Niewątpliwie musi być ze dwa razy wyższa, niż klify znajdujące się po obu stronach podczas ich całej wędrówki od morskiego brzegu.

— Sądzę — powiedział Thom tak spokojnie, jakby nie widział tego, że dla dziewczyny oznaczało to totalną katastrofę — iż dotarliśmy do celu. To musi być początek Srogich Wzgórz.

Simsa osunęła się na ziemię. Widocznie podtrzymująca ją w ciągu nocy energia wypłynęła z niej dokładnie w momencie, kiedy uzmysłowiła sobie znaczenie jego słów.

— Nie damy rady na to wejść. — W ścianie były co prawda szczeliny i dziury, co dostrzegą w świetle, lecz nie odważą się próbować takiego wyczynu, dopóki dzień nie sprawi, że wszystko będzie wyraźnie widoczne. A wraz z dniem nadejdzie słońce, które spali ich na popiół w trakcie tych zmagania.

— Znajdziemy zatem inny sposób...

Gdyby miała pod ręką kamień, rzuciłaby w niego, lecz tu nie było nic prócz żwiru. Był taki opanowany, zawsze tak bardzo pewny, że nie ma problemu, którego by nie rozwiązał.

— Twoja latająca skrzynka może unieść Zass — powiedziała, hamując wybuch irytacji — ale nie dwoje dorosłych ludzi.

Wyraźnie puścił jej komentarz mimo uszu, ponieważ zadał pytanie z zupełnie innej beczki.

— W jakim stopniu potrafisz komunikować się z tymi swoimi zorsalami?

Wiem, że przybywają na twoje wezwanie i że zdołałaś je umieścić w magazynie Gathara, żeby tępiły szkodniki. Czy możesz im narzucić również inne zadanie?

— Jakie zadanie? — Gładziła futerko Zass. Czułki na głowie zorsala były nie tylko całkowicie rozwinięte, lecz drżąc lekko pochylały się w kierunku przybysza, co, jak wiedziała, oznaczało, iż zwierzę się koncentruje. Czy to możliwe, by Zass uchwyciła sens jego wypowiedzi w takim stopniu, że wiedziała, iż mówi o niej i jej synach?

— Dolecieć do szczytu — przesunął światłem w górę i w dół po powierzchni klifu tak daleko, jak jego strumień zdołał sięgnąć. — Będziemy potrzebowali linę. To akurat mamy, albo będziemy mieć, kiedy odwiążę pakunki z transportera. Czy możliwe jest nakazanie zorsalom, żeby zaniósły ją na górę, zahaczyły o jakiś wystający kamień i wróciły z jej końcem do nas albo...

Jego propozycja utonęła w dochodzącym z nieba wrzasku wściekłości. W strumieniu światła leciał w dół jeden z zorsali, a za nim coś jeszcze, co zdaniem Simsy mogło być sennym koszmarem.

Ten potwór sam w sobie wyglądał jak długa, cienka lina i zdawało się, że jego drugi koniec jest gdzieś bezpiecznie zamocowany, ponieważ widzieli zaledwie przednią część łba z rozwartymi szczękami i spiczastymi zębami, która miotała się usiłując dosięgnąć zorsala. W strumień światła, umożliwiającą dokładną obserwację tego zajścia, wleciał drugi zorsal, który jednym rzutem dopadł ciskającego się łba tuż za szczękami. Trzy, uzbrojone w długie szpony, pazury znalazły zakotwiczenie i trzymały głowę, czwarty orał pracowicie ogromne, najwyraźniej pozbawione powiek, oczy potwora.

Widząc, co się dzieje, pierwszy zorsal zawrócił w mgnieniu oka i zaczął latać w tę i z powrotem przed nosem potwora. Ten był już tak oszalały z wściekłości, że stracił orientację i kłapiąc szczękami usiłował chapnąć zorsala, pozostawiając drugiemu napastnikowi swobodę w zadawaniu mu cierpień.

Oba ślepie były już krwawymi dziurami, a wyrzucony błyskawicznym ruchem pazur oderwał kawał długiego, miotającego się jęczora. Simsa zawsze wiedziała, że zorsale to mordercy i że z zabijania czerpią pewną przyjemność, poza przypadkami, gdy zabijały szybko, dla samego tylko pożywienia. Nigdy jednak nie przypuszczała, że zaborą się za tak dużą ofiarę i że są tak sprytne, by ją pokonać. Lecz w tej sytuacji był to dla nich jedyny możliwy sposób na przeżycie.

Rozdział ósmy

Siedząca na ramieniu Simsy Zass podniosła straszliwy wrzask. Trzepotała zdrowym skrzydłem i klapała bezskutecznie drugim, jakby usiłowała wzbic się w powietrze i wziąć udział w walce. Uczepiony łba potwora zorsal nie przestawał orać go zajadle pazurami. Teraz do ofiary dopadł jego brat i zatopił obie łapy oraz zęby w okrytym łuskami gardle. Osaczone zwierzę potrząsało dziko łbem, próbując strząsnąć z siebie oprawcę. Na jego ciele otworzyła się głęboka rana, z której trysnął strumień żółtawej krwi. Pyskał na skałę i wylatywał wielkimi kroplami w powietrze. Stojący w dole Simsa i Thom odskoczyli gwałtownie, żeby uniknąć nieprzyjemnego prysznica.

Zorsale nie przestawały atakować i wkrótce ogromny, uzębiony łeb oklapł tak bezwładnie, że Simsa pomyślała, iż szyja została chyba przegryziona na wylot. Zmagania zmieniły się w drgawki drugiego, dyndającego cielska. Tymczasem zorsale usadowione na łbie już wydierały kawały mięsa, rozpoczynając ucztę.

Thom zwrócił się do Simsy.

— Co to jest?

Bez słowa potrząsnęła głową. Choć nigdy nie uważała się za osobę szczególnie wrażliwą (jak na Grzebaczkę), okrucieństwo zorsali i zagrożenie, jakie stanowił sam ogromny stwór, tak nią wstrząsnęły, że zrobiło się jej słabo. Musiała wyciągnąć rękę i oprzeć się o transporter. Ten zakołysał się pod jej ciężarem i omal nie upadła.

Thom podszedł do klifu i skierował światło do góry, zatrzymując jego promień na stworze i żerujących zorsalach. Simsa oderwała lamentującą Zass od ramienia, ułożyła ją na transporterze i starając się omijać ściekającą w dalszym ciągu krew, dołączyła do niego. Jeden z łowców bijąc skrzydłami upuścił ociekający kawałek pokrytego łuską mięsa w prezencie dla matki, której krzyki przybrały na sile.

Simsie zaparło dech. Światło ukazywało podłużne, nadal wijące się cielsko, o wiele dłuższe niż ona i Thom razem wzięci. Mimo to, choć promień sięgał teraz wierzchołka ściany, ciągle nie widzieli jego końca. Widocznie ciało było jeszcze dłuższe, a to, które właśnie oglądali, zwisało nad krawędzią jak lina.

W gruncie rzeczy nie potrzebowali już światła, żeby je zobaczyć. W nadciągającym brzasku wyróżniało się wyraźnie na tle skały. Lina, do której Simsa pierwotnie porównała je w myślach... Tylko, że ten stwór z krwi i kości był gruby,

jak cały pęk skręconych razem lin. Thom wyłączył swoją dziwną lampę i cofnął się o kilka kroków.

— Znaleźliśmy drogę... — powiedział powoli. Zorsale zakończyły makabryczną biesiadę. Ten, który pierwszy zaatakował potwora, opadł na transporter obok Zass i zaczął pieczołowicie wylizywać swoje futerko, po czym zajął się wysysaniem pazurów. W tym czasie jego brat wyszarpnął kolejny kęs i zniósł go na dół, by się nim w spokoju delectować. Ze skały zwisała teraz niemal całkowicie ogołocona czaszka.

— Co zamierzasz zrobić? — Simsa obserwowała, jak Thom odwiązuje linę od transportera i wiąże na jej końcu pętlę.

— Drabinę dla nas. — Machnął ręką w stronę dyndającego, martwego stwora. — Zakładając, że to coś jest dobrze zaczepione, moglibyśmy, tam u góry. Zobaczmy.

Trzymając mocno koniec sznura, zakręcił pętlą nad głową.

Trzy zasupłane przed nią węzły okrążyły oskubaną czaszkę, a on zdecydowanym szarpnięciem zacieśnił linę na miejscu, jakby już wielokrotnie stosował tę sztuczkę.

— A teraz — ciągnąc mocno, zrobił kilka kroków w tył — sprawdźmy.

Widząc, jak napinają się jego ramiona zrozumiała, ile siły wymaga ta czynność. Pochyliła się i chwyciła luźny kawałek sznura, chcąc mu pomóc w tym sprawdzianie.

Lina obsunęła się trochę na pokaleczonym cielsku, potem załapała i choć ciągnęli oboje z całych sił, zdawała się tak zamocowana, jakby obwiązano ją wokół wystającej skały.

— Pójdę pierwszy — oświadczył. — Kiedy dotrę na szczyt, zrzucę ci sznur. Przewiąż się w pasie i ruszaj za mną, ale zabierz także to — wskazał ręką na transporter.

Ponownie zajął się wiązaniem, dodając długi kawałek do liny, na której holował transporter. Sprawdziwszy węzły stanął nad swoim magicznym pudełkiem, żeby wprowadzić kilka drobnych poprawek. Transporter skoczył gwałtownie w górę zrzucając Zass, która wpadła z głośnym wrzaskiem na Simsę. Dwa pozostałe zorsale poszybowały w powietrze. Teraz ich bagaże unosiły się na wysokości ramienia Thoma.

— To powoduje większe zużycie energii — nie wiedziała, czy mówi do niej, czy jedynie głośno myśli — ale tak będzie lepiej.

Rzucił jej przedłużony hol transportera, a sam stanął twarzą do klifu i przewiązał się mocno w pasie sznurem do wspinaczki. Jego twarz pokrywała maska determinacji. Simsa obserwowała go uważnie. Choć trzymał się rękoma liny, a naprężone ramiona mówiły o wysiłku, jaki w to wkłada, korzystał także z wszelkich występow w ścianie, o które mógł oprzeć czubki stóp.

Szybko robiło się jasno. Thom dotarł do zakrwawionego łba potwora i uchwycił się jego ciała. Młode zorsale frunęły za nim wrzeszcząc wniebogłosy. Simsa odwróciła się szybko do Zass i wepchnęła podniecone, parszające zwierzę w obszerne zanadrze kaftana.

Nie chciała patrzeć na Thoma wspinającego się po zwisającym cielsku. Walczyła z nudnościami odsuwając od siebie myśl, że za chwilę sama będzie musiała to zrobić. Tylko że... musiała widzieć!

Zdawało się, że w ciągu tych kilku sekund, kiedy się odwróciła, Thom pokonał nieprawdopodobny dystans. Jedno ramię trzymał uniesione wysoko w górze, natomiast dłoń zaciskał na krawędzi klifu. Wisiał tak przez dłuższą chwilę, która wydała się jej wiecznością. Potem podciągnął się na rękach, a głowa i ramiona zniknęły. Teraz musiał się ślizgać na brzuchu... Już! Wszedł!

Simsa zamknęła oczy i dopiero po chwili je otworzyła. Uświadomiła sobie, że przez cały czas tak mocno ścisnęła linę transportera, którą obwiązała się w pasie, aż rozboleły ją palce. Przełykając z trudem ślinę zmusiła się do spojrzenia w górę. Przybysz leżał płasko na brzuchu na krawędzi klifu i patrzył na nią.

— To... wokół siebie... — rzucił jej kolejny sznur. Czuła w głowie zamęt, lecz rozumiała, że musi mu zaufać.

Podskoczyła i złapała zwisający koniec, ściągnęła go trochę w dół i przewiązała w pasie obok tego, do którego przymocowany był transporter. Lina napięła się. Simsa zdawała sobie sprawę, że przybysz nieźle się napoci, żeby ją udźwignąć.

Zastosowała te same manewry, jakie zaobserwowała podczas jego wspinaczki. Opierała pozawijane stopy wszędzie, gdzie zdołała odkryć jakąś szparę, czy występ i odpychała się ku górze chcąc mu ułatwić zadanie. Jej najgorsze obawy nie spełniły się, ponieważ trzymała się liny i nie musiała wspinać się po zakrwawionym łbie stwora. Jednak, kiedy minęła już ten punkt, raz po raz wyciągała rękę, żeby podeprzeć się o pokryte haską ciało. Czując, jak jego szorstka powierzchnia ociera jej dłonie nabierała większej pewności, że wbrew wcześniejszym lękom, lina nie wyslizgnie się

z jej rąk.

Odnosiła wrażenie, że zmagania ze stromą ścianą nigdy się nie skończą. Skwar dnia już dawał się we znaki jej plecocom. Dwukrotnie musiała odpychać się od skały, by nie zmiażdżyć Zass. Potem usłyszała nad sobą głos.

— Ręka... podaj mi rękę!

Wyciągnęła w górę rękę, macając nią na oślep. Wtedy poczuła jego palce obejmujące jej dłoń. Po chwili krzyknęła:

— Zaczekaj, tu jest jeszcze Zass...

Lecz zorsal już przystąpił do działania na własną rękę. Wydostał się zza pazuchy i gramolił w górę po rękach Simsy, żeby samodzielnie ucześcić się liny. Po chwili był na szczycie. Zaraz potem do zwierzęcia dołączyła dziewczyna, wciągnięta przez silne ramiona mężczyzny. Zapłaciła za to paroma zadrapaniami i nagłym atakiem kaszlu, gdyż pociągnął ją tak gwałtownie, że przekoziółkowała na powierzchnię wzbijając tumany piachu. Zanim zdążyła wstać, poczuła w pasie jego ręce szarpiące linę.

— Do góry z tym...

Na wpół świadoma, wiedząc tylko, że musi to zrobić, podniosła się na kolana, uchwyciła rozhuśtaną linę transportera i zaczęła ciągnąć. Przybysz już się podniósł i stał teraz obok niej. Na jego twarzy malowało się skupienie i wysiłek, jaki musiał włożyć w przyciąganie ciężkiego ładunku.

Po chwili transporter ze sterującym nim magicznym pudełkiem znalazł się na ich poziomie. Wspólnym wysiłkiem podciągnęli go na szczyt, cofając się przy tym, żeby zrobić miejsce z dala od krawędzi klifu. Thom natychmiast zajął się pudełkiem, a Simsa nareszcie mogła się rozejrzeć i stwierdzić, dokąd przy wiodła ich ta znojna wędrówka.

Tuż przed nią leżała reszta cielska potwora. Jego koniec ginął w oddalonym spory kawałek labiryncie skał i rozsianej po całym terenie ciernistej, uschniętej i zbielejącej do koloru kości roślinności. W tym fragmencie było ono co najmniej dziesięć razy grubsze niż długa szyja. Nie było śladu nóg, a dalej ciało zwężało się ku końcowi. Część schowana w kryjówce, z jakiej musiał wypełznąć ów stwór, była cieniutka jak ogonek jednego z tych małych stworzeń, którymi zorsale żywiły się podczas nocnych wypraw. Nie potrafiła dojść do tego, w jaki sposób przyłgnął tak mocno do skały, że mogli wspinać się po nim jak po drabinie, nie ściągając całego cielska na siebie.

Widocznie ta zagadka zaintrygowała również Thoma, ponieważ po upewnieniu się, że transporter jest nienaruszony, a ładunek w najlepszym porządku, podszedł do potwora i usiłował go odwrócić. Ten jednak tak silnie przylegał do skały, jakby rzeczywiście zapuścił w niej korzenie. W końcu udało mu się podważyć mały odcinek podłużnym kamieniem i Simsa zdążyła zobaczyć blade podbrzusze. Zaraz potem musiał go spuścić, bo nie był w stanie utrzymać jego ciężaru.

— Myślę, że to przysawki — skomentował. — Jak ten stwór się nazywa?
Zakłopotana potrząsnęła głową.

— Nie mam pojęcia. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

— Cóż — odwrócił się twarzą na wschód, z rękoma na biodrach, z uniesioną głową. — Oto Srogie Wzgórze! Miejmy nadzieję, że takich potworów nie spotyka się tu na każdym kroku — trącił padlinę czubkiem buta.

Simsa popatrzyła przed siebie. Myślała, że klif, na który wdrapali się z takim trudem był już ostatnią barierą. Tymczasem z tego, co teraz zobaczyła — to był dopiero początek. Wzgórze? Nie — te były sięgającymi chmur potworami z ziemi i kamienia. Mimo to dawały taką samą nadzieję każdemu, kto pokonał morderczą pustynię — miejscami ich podłoże było przystosowane do wegetacji. To prawda, że teraz roślinność była przywiedła i zbrązowiała od słońca, niemniej jednak żyła. A tam, gdzie jest życie, musi być woda, a może nawet zwierzyna.

Pokrzepiona tą myślą Simsa podniosła się z klęczek. Nadal byli narażeni na bezlitosne działanie słońca. Lecz w tym górzystym terenie, jaki się przed nimi rozciągał, z pewnością znajdą schronienie na czas skwaru w ciągu dnia, a może i coś jeszcze. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Thomem, a on pokiwał głową.

— Czekają nas jeszcze trochę wspinaczki, ale masz rację, tam gdzie są rośliny, musi być woda. Co więcej, sądzę, iż pomimo swojej złej nazwy, to miejsce będzie bardziej gościnne niż pustynia. Lecz najpierw musimy rozbić gdzieś obóz, i to szybko.

Wciąż znajdowali się w obniżeniu pomiędzy kruszejącymi zwałami spieczonej słońcem ziemi a dawno wymarłymi zaroślami. Thom spekulował, że ścieżka, którą podążają jest kontynuacją tamtego wyschniętego cieką wodnego i że klif, na który weszli, był niegdyś wodospadem. Narzucili sobie szybkie tempo, choć szło im się trudno. Było tu pełno piachu, na którym ślizgali się i zapadali niekiedy po kostki, jednocześnie obserwując pilnie drogę, w nadziei na znalezienie schronienia przed wyczerpującą ich doszczętnie gorączką dnia.

Wyschnięte koryto rzeki skręcało łagodnie w lewo, a na jednym brzegu

widniało usypisko z na wpół podmytych głazów, z których kilka się osunęło, tworząc bezładny stos niemal barykadujący drogę. Thom zbliżył się do nich, a Simsa pilnująca jak zwykle tyłu transportera, podreptała za nim. Z bliska spostrzegła, że to nie są kamienie zwalone chaotycznie przez siły natury. Wszystkie były obciosane i ułożone z rozmysłem według określonego projektu, choć czas, wiatr i piasek przyczyniły się do tego, że obecnie prezentowały formę anonimowego kopca.

Między tymi zwalonymi blokami ciemniała dziura, nadal osłaniana przez połowę sklepionego wejścia. W środku były stopnie prowadzące w dół. Thom ponownie włączył światło.

Panował tu przyjemny, chłodny półmrok. Zorsale krzyknęły i powirowały naprzód swoim typowym, spiralnym lotem. Simsa złapała przybysza za rękaw.

— Zaczekaj... Pozwól im przeszukać. Jeśli tam w dole jest jakieś żywe stworzenie... — nie mogła pozbyć się myśli o martwym potworze i o tym, że właśnie taka dziura może być domem podobnego stwora.

Zatrzymał się i uniósł głowę. Wiedziała, że tak jak i ona, nasłuchuje. Z dołu dobiegały wołania zorsali, dziwnie dudniące i wzmocnione, jakby same dźwięki zmieniły się w swoistego rodzaju potwory. Siedząca na transporterze Zass wypchnęła łepkę do przodu i wysunęła czułki. Jej cienkie wargi były niemal niewidoczne spod wyszczerzonych, spiczastych zębów.

Simsa pociągnęła nosem, próbując wciągnąć w płuca napływające z dołu powietrze i na jego podstawie osądzić, na co mogą się tam natknąć. Powietrze to nie miało w sobie nic z zapachu Ziemiaków, stęchlizny stłoczonego i niezbyt czystego życia. Kiedy zorsale nie wróciły z informacją o niebezpieczeństwie, skinęła na towarzysza.

— Sadzę, że nic tam na nas nie czyha... przynajmniej nic żywego.

Choć zwał ociosanych kamieni na poły tarasował przejście, zdołali wspólnym wysiłkiem, zręcznością i cierpliwością przepchnąć transporter. Natomiast prowadzące w dół schody nie sprawiały już takich problemów. Były szerokie, z niższymi stopniami, więc schodziło się dość łatwo. Pomijając fakt, że szli i szli, jakby stopniom nie było końca. Odnosiła dziwne wrażenie, że ten od dawna opuszczony budynek został wzniesiony na podwalinach dawno zapomnianych przodków, podobnie jak Kuxortal.

Odczuwali ulgę, że im niżej schodzili, tym stawało się chłodniej. Zass wciąż wyciągała łeb nasłuchując. Simsie wydawało się, że z bardzo daleka nadal dobiegają

pokrzykiwania pozostałych zorsali. W ciemnościach zawsze zwykli pohukiwać i krzyżeć, gdyż, jak odkryła, coś we własnym głosie ułatwiało im omijanie przeszkód, których nawet ich przeszywające ciemność oczy mogły nie zauważyć.

Thom ponownie włączył światło przy pasku. Kiedy dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała przez ramię w górę, spostrzegła, że otwór, przez który weszli, był już bardzo mały. Mimo to stopnie biegły dalej.

Po jakimś czasie zrobili krótki postój. Wypili po kilka kropel wody i posilili się nieco, siedząc ramię w ramię na jednym ze stopni. Simsa przejrzała zapasy. Mogli iść naprzód tak długo, dopóki mieli wodę, lecz brak żywności oznaczał ich koniec. A gdzie tu, na tej wysuszonej ziemi uzupełnią zapasy? Te pokryte łuską stwory, którymi raczyły się zorsale? Zadrzała na wspomnienie ogromnego martwego potwora, wiszącego nad krawędzią klifu, który nazbyt wyraźnie stanął jej przed oczyma. W przeszłości jadała wiele rzeczy, których żaden mieszkaniec górnej części miasta nawet by nie tknął, ale nie to!

— Dokąd idziemy? — spytała, choć wiedziała, że on nie jest w stanie udzielić jej lepszej odpowiedzi, niż przypuszczenia, jakie jej samej także przychodziły do głowy.

— To mogą być pozostałości jakiejś wysuniętej wojskowej placówki. Jeśli tak jest, to może też istnieć połączenie przez podziemne korytarze z inną, większą fortyfikacją położoną gdzieś dalej. Podczas wojny takimi przejściami dostarczano zaopatrzenie.

— Dlaczego tak głęboko? — Znów się odwróciła. Tamten otwór, teraz już strasznie daleko za nimi, zrobił się tak mały, że unosząc rękę mogła go zakryć kciukiem. Mimo to schody ciągnęły się dalej w dół, ponieważ kiedy Thom skierował światło w przód, jego promień nie ujawnił nic poza niekończącymi się kamiennymi stopniami.

Bolały ją nogi. Wędrowali już przez całą noc i część dnia. Jak dużą część, tego nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała, iż należy im się odpoczynek, a w głębi serca miała nadzieję, że nastąpi to niebawem.

Przybysz chyba wyjął jej tę myśl z głowy, gdyż zaproponował:

— Zejdźmy jeszcze pięćdziesiąt stopni. Jeśli tam nie będzie końca, odpoczniemy.

Simsa podzwignęła się z westchnieniem. Szmaty zabezpieczające stopy były w strzępach. Prędzej, czy później będzie musiała użyć przypiętego do paska noża i

odciąć kawałki z płaszcza, żeby je wymienić. Jedynym plusem tej sytuacji był fakt, że nie dokuczały im palące promienie słońca. W gruncie rzeczy...

Podniosła głowę. Raz jeszcze, najgłębiej jak potrafiła, wciągnęła w płuca powietrze.

— Wilgoć! — wrzasnęła tak przeraźliwie, jak jej zorsale. Słowo odbiło się dudniącym echem w ciemnościach i wróciło do niej, jakby przekazywane z ust do ust przez cały rząd Sims ustawionych wzdłuż schodów.

Niewyraźna plama, jaką była w blasku lampy twarz Thoma, zwróciła się w jej kierunku.

— Owszem — przytaknął.

— Woda? — Jej zmęczenie zeszło na drugi plan. więc ochoczo stanęła na nogi. Podczas posiłku czułki Zass zwinęły się lekko, a ona sama pałaszowała część racji żywnościowej Simsy, protestując chrząkaniem przeciwko tak skąpej porcji. Teraz zwierzę przesunęło się ku przodowi transportera, a oba organy zmysłu wyprostowały się maksymalnie. Z głębi długiego, kudłatego gardła dochodził świergot zniecierpliwienia.

Schodzili coraz niżej. Po przejściu pięćdziesięciu stopni jakie wyznaczył Thom, zatrzymali się. Mężczyzna przesunął słupem światła po ścianach. Widniały na nich plamy wilgoci, stanowiące pożywkę dla dziwacznych, białawych roślin, uformowanych w niezupełnie regularne kule. Wypuszczały one podobne do nitki włókienka, które przyczepiały się do każdego mokrego fragmentu ściany.

Simsie nie podobał się ich wygląd, dlatego, gdy wyciągała rękę, żeby się podeprzeć, uważała by nie dotknąć żadnej z nich.

Jej ciało było jednym wielkim bólem, nie mogła jednak zostać w takim miejscu, które w ogromnym stopniu oddziaływało na jej wrodzony instynkt samozachowawczy.

Thom nie potrzebował ponaglać. Pokonali może z pięć szerokich, niskich stopni, kiedy krzyknął.

Błysnęło światło. Jego blask oświetlił biegnącą poziomo drogę. Nareszcie koniec schodów! Wyczuwało się tu intensywniejszą wilgoć, lecz samo powietrze nie było cuchnące, ani zastałe. Simsa gwizdnęła, a z niewielkiej odległości nadeszła odpowiedź. Zaraz potem jeden z zorsali wpłynął na skrzydłach w strumień światła i zaczął krążyć nad jej głową.

— Spójrz! — Ponad wszelką wątpliwość futerko na jego przednich

kończynach lśniło od wody. Zwierzę widocznie odkryło właśnie jej źródło i to na tyle duże, aby się zamoczyć. Zorsale czyniły tak zwykle podczas upałów w porze suchej, godzinami leżąc nieruchomo w miskach z wodą, udostępnianych im przez ludzi, którzy je cenili.

Widok zorsala wyrażającego cichymi pokrzykiwaniami coś, co Simsa odczytała jako zadowolenie, podziałał na nich dopingujące. Pomimo ogromnego zmęczenia ruszyli truchtem, potykając się co chwila na prostej drodze. Wrzaskliwe pretensje Zass odbijały się donośnym echem, zagłuszającym niemal dudnienie ich kroków.

Choć ściany w dalszym ciągu upstrzone były wilgocią i nieprzyjemną roślinnością, podłoże pozostawało suche. Dziewczyna zauważyła, że u podstawy każdej ściany biegł wąski rowek, który prawdopodobnie miał za zadanie odprowadzać wszelką wodę, jakiej rośliny nie zdołały wchłonąć.

Promień światła gwałtownie zgasł. Simsa krzyknęła cicho i natychmiast zawstydziała się tego. Okazanie przybyszowi lęku przed ciemnością było dla niej upokarzające. Wkrótce zrozumiała powód, dla którego wyłączył światło. Niedaleko z przodu widać było świetlistą mgiełkę, nie tak jasną, jak blask jego lampy, lecz wystarczającą, by wskazywać drogę.

Gdy zbliżyli się do tego miejsca dziewczyna zauważyła, że źródło tej jasności leży prawdopodobnie po lewej stronie, gdzie była ona o wiele intensywniejsza. Później doszli do punktu, w którym korytarz nagle kończył się bramą usytuowaną w ścianie na lewo. Przez tą właśnie bramę wpływała owa mgiełka.

Tak, to była dokładnie mgiełka, a nie wyraźny promień jakiejś pochodni czy lampy. Wchodzenie w nią przypominało wstępowanie w opary małych cząsteczek przyćmionego światła, które napływało, gromadziło się, a potem znów rozpraszało. Krążący nad jej głową zorsal wydał ostrzegawczy pisk i pofrunął wprost w mglistą kurtynę, która zamknęła się wokół niego, tak, że słychać było jedynie stłumione pohukiwania.

— Ostrożnie... patrz pod nogi...

Uwaga Thoma była absolutnie zbędna. Simsa już wcześniej zwolniła bieg i przeszła w marsz. To dziwne, podobne do mgły zjawisko było wilgotne jak morska piana, jednak bez posmaku soli. Otoczyła ją tak szczelnie, że wyczuwała obecność Thoma jedynie poprzez przesuwający się we mgle duży obiekt. Na jej skórze zaczęła się gromadzić gruba warstwa wilgoci. Podobnego wrażenia doświadczyła zaledwie

dwukrotnie w życiu, kiedy udało jej się odłożyć dość srebrnych łamańców, by odwiedzić jedną z łaźni dla biedoty w Kuxortal.

Jednakże te opary nie były przesycone silnym zapachem perfum, stanowiących nieodłączny atrybut miejskich łaźni. Zresztą Simsa zupełnie o to nie dbała. Czuła jednak, że jej wysuszona i pozbawiona od wielu dni dotyku wody skóra, staje się delikatniejsza, a jej ciało, bardziej niż usta, wchłania to, czego od tak dawna łaknęło.

Rozpięła kaftan i rozchyliła szeroko jego poły, żeby pieszczota tej mgły, tak miękka i tak uzdrawiająca (taką jej się zdawała) docierała do wszystkich zakątków skóry, jakie mogła obnażyć.

Nie potrafiła powiedzieć, skąd wypływały te ożywcze opary, gdyż nie było już widać żadnych ścian, tylko chodnik pod stopami, zarys sylwetki Thoma, a za nim transporter, którym nie musiała dłużej kierować, żeby utrzymać go w ruchu i na właściwej wysokości. Na nim, brzuchem do góry, z wyciągniętą na całej długości szyją, rozłożyła się Zass. Ona również wystawiała się maksymalnie na działanie wilgoci. Po spiekocie pustyni było to jak wystawianie się na pierwsze opady pory deszczowej, kiedy krople spadały powoli, delikatnie i nie dął jeszcze porywisty wiatr.

Potem mgiełka zaczęła rzednąć. Zbijała się w gęstsze obłoczki, które tu i ówdzie pojawiały się i wirowały na ich drodze. Po chwili jednak znikwały, jakby sama mgła miała poczucie istnienia i nie chciała utrudniać im przejścia. W ten sposób wyszli z ostatniej chmury na całkowicie otwartą przestrzeń.

Simsa cichutko westchnęła. Kolana ugięły się pod nią i upadła, zapadając się dłońmi w syпки piasek, bądź ziemię. Cokolwiek to było, było tak miękkie, że zamortyzowało wstrząs spowodowany upadkiem. Nie mogąc znaleźć stabilnego punktu oparcia osuwała się coraz niżej, aż wreszcie zupełnie oklapła. Leżała z policzkiem złożonym na zgiętym ramieniu, obserwując niewielkie fragmenty tego miejsca, znajdujące się w zasięgu jej wzroku.

Od pierwszego wejrzenia siało się dla niej oczywiste, iż różni się całkowicie od miejsc opisywanych przez zapuszczających się najdalej handlarzy. Nie było o nim wzmianki nawet w legendach. Była to przestrzeń rozległa niczym plac targowy w górnej części miasta. Miała kształt okrągłego zagłębienia. dzięki czemu Simsa odnosiła wrażenie, jakby złapano ich do filizanki odstawionej niedbale przez jakiegoś wyrosniętego ponad ludzkie pojęcie giganta.

Zewnętrzne ściany tworzyła nieustannie poruszająca się mgła. Gęstniała, rzedła, lecz nigdy nie pozwalała dostrzec wyraźnie, co znajduje się za nią. Natomiast

piasek, w którym spoczywała czując, że cała energia wycieka z niej na zawsze. nie był białoszary jak mgła, ale miał raczej połysk prawdziwego srebra. —Przypominał jej ten najcenniejszy z metali (przynajmniej w pojęciu Grzebaczy), ponadto wydawał się tyle razy mielony i na nowo topiony, aż nie stał się miałki jak mąka, z której górna część miasta piekła świąteczny chleb. Simsa przesypywała ten proszek między palcami i. choć nie było słońca, które zbudziłoby w nim skrzący blask, była przekonana, iż ma do czynienia z prawdziwie cenną rzeczą.

Ów srebrny piasek otaczał sadzawkę o regularnych kształtach. Woda w niej (o ile była wodą) srebrzyła się i bielila chmurną bladością, którą już gdzieś widziała. Wzrok dziewczyny padł na pierścień. Powoli, ponieważ jej umysł otumaniony był falami spływającego na nią zmęczenia, dokonała porównania. Sadzawka miała dokładnie taki sam odcień jak kamień w pierścieniu.

Simsa leżała nieruchomo. Zobaczyła Zass zeskakującą z transportera. Jak zwykle w przypadkach, gdy zaistniała taka konieczność, użyła zdrowego skrzydła jako podpórki. Wpychając jego obciążony samą skórą koniec głęboko w piasek, wspierała się na nim i brnęła wytrwale w kierunku wody, która nęciła i zapraszała niczym niezmaconą, gładką jak klejnot powierzchnią.

Czy mogła polegać na instynkcie zorsala. przewyższającym o wiele instynkt przedstawicieli jej własnego gatunku i uznać tę nieprzezroczystą ciecz za nieszkodliwą? Dziewczyna usiłowała usiąść i zawołać, jednak z jej gardła wydobył się ledwie słyszalny pomruk. Zass nie zważała na nią. Szurając skrzydłami parła do jasno wytyczonego celu, aż wreszcie dobrnęła do brzegu wody.

Krocząc cicho wykonała ostatni podskok i wpadła do sadzawki. Nie zanurzyła się, lecz unosiła na jej powierzchni, jakby woda była tak gęsta, że utrzymywała jej małe ciało. Zdrowe skrzydło było szeroko rozpostarte, drugie zgięte w stopniu, do jakiego mogła to zrobić. Uniosła łepkę, okręciła długą szyję i złożyła podbródek na skraju zdrowego skrzydła. Duże oczy zamknęły się, co wskazywało, że jest spokojna, doświadczając jednej z największych przyjemności dostępnych jej gatunkowi.

Simsa wyczuła obok siebie jakiś ruch. Była za słaba, żeby odwrócić głowę. Potem w jej polu widzenia pojawił się Thom zdejmujący z siebie ubranie. Simsa z łatwością odgadła cel jego poczynań. Ponownie usiłowała zaprotestować, lecz przegrała z własną słabością.

Jego ciało było bielsze od okalającej ich mgły. Wyglądał na większego, bardziej imponującego niż w ubraniu. Przekroczył wąską kładkę z piasku i wszedł do

sadzawki, odsuwając się w bok, żeby nie przeszkadzać Zass. Ruch, jaki wykonał przypominał raczej upadek niż zanurkowanie, jakby targnął się w ostatnim zrywie energii. Z wolna jego ciało odwróciło się, lecz podobnie jak Zass, spoczęło na wodzie, nie zanurzając się. Twarz miał zwróconą ku górze. Jego oczy powoli zamykały się, a pierś falowała oddechem pogrążonego we śnie człowieka.

Simsa obserwowała to z narastającym uczuciem tęsknoty. Cokolwiek jej dwoje towarzyszy tam znalazło, ona też musi dostać. Z żalu, że nie może do nich dołączyć, zaczęła cichutko popłakiwać. Z tych łez i rozpaczki pogrążyła się w ciemność, która otoczyła ją szczelnym kręgiem.

Rozdział dziewiąty

Leżała na łóżku, o jakiego istnieniu nawet jej się nie śniło. Dostosowywało się chłodną miękkością do każdej kosteczki i mięśnia jej drobnego ciała, kojąc ból i zachęcając do snu. Mimo to gdzieś głęboko w niej tkwiła uporczywa potrzeba działania, doświadczenia czegoś więcej, niż tego zdradliwego, rozleniwiającego komfortu, coś, co ponaglało ją, by wróciła do świata.

Simsa otworzyła oczy. Nad sobą zobaczyła coś falującego, stale się zmieniającego, coś co mogło być chmurą. Nigdy w życiu nie czuła się tak zadowolona, tak nieświadoma własnego ciała, jakby zostało ono ukołysane do spokojnego snu, w którym zginął cały ból i zmęczenie. Uniosła wolno jedno ramię. Wolno, gdyż zdawało się jej, że usidlona w tę rozkoszną ociążałość nie może i nie musi wykonywać szybkich gestów. W momencie, gdy ręka znalazła się w polu widzenia, jej ciało zakołysało się. Czymkolwiek było to, na czym leżała, z pewnością nie było stabilne.

Leniwa ospałość zniknęła. Simsa zatrzepotała rękoma, żeby utrzymać równowagę, lecz jej ciało przeturlało się na brzuch i twarz znalazła się w wodzie. W wodzie... ? Przerażona, wyprężyła się ze strachu i próbowała się podnieść, walczyć z tym, co ją trzymało.

— Zaczekaj... Leż spokojnie.

Spanikowana do granic możliwości zaczęła mocniej bić rękoma. Raptem odciągnięto jej głowę do tyłu brutalnym szarpnięciem za włosy. Przeturlała się ponownie, tak, że twarz miała zwróconą ku górze i mogła swobodnie oddychać. Ten, kto ją trzymał, nie rozluźnił uścisku, lecz zaczął ją ciągnąć przez ciecz, która była o wiele bardziej gęsta, aniżeli normalna woda. Umknęła gdzieś cała słodka błogość wcześniejszych chwil. Otworzyła usta i krzyknęła.

Później jej głowę opuszczono i złożono na twardym podłożu, ponad powierzchnią wody. Wyciągnęła rękę i odkryła, że teraz tylko jej nogi leżą w sadzawce, a ktoś wlecze ją na brzeg. Przy pomocy ramion i dłoni zdołała podciągnąć się do góry, do miejsca, gdzie miałki piasek był niemal tak miękką poduszką, jak zawartość sadzawki.

Simsa usiadła. Jej ciało stanowiło uderzający kontrast dla srebra piasku i matowej jasności sadzawki. Ciemna skóra nie była mokra, lecz jedynie wilgotna w

miejscach, które wcześniej wystawiła na działanie ożywczej mgły. Zdawało się jednak, że albo ta wilgoć była z niej natychmiast odessana, albo równie szybko osuszało ją powietrze. Nawet gąszcz włosów, kiedy uniosła rękę, aby odgarnąć je z oczu i odrzucić do tyłu na ramiona, był o wiele mniej wilgotny niż wtedy, gdy wracała nad ranem z poszukiwań w mokrych od rosy krzakach porastających brzegi rzeki w pobliżu Kuxortal.

Nawet jeśli woda nie była mokra, to dokonała cudu — uzdrowiła jej pokiereszowane ciało i znękaną duszę. Powróciło owo poczucie błogości, którego omal nie utraciła przy brutalnym przebudzeniu. Skóra była naprężona i czysta jak nigdy dotąd. Teraz poruszyła stopami. Uwolnione od niezgrabnych onuc i zdartych sandałów nie miały śladu siniaków, ani żadnych bolących miejsc od zadrapań, czy urazów. Jej ciało było odnowione, wolne i zdrowe, a ona sama czuła, iż znów tworzy harmonijną całość.

Zaczęła wolno przesuwać dłońmi po małych, sterczących piersiach, po wąskiej talii, szczupłych, ledwo zaokrąglonych biodrach. Dotyk własnych palców podziałał na nią jak czyjaś miłosa pieśczoła. Odczuła tak ogromną rozkosz, że podświadomie zareagowała jęklwym, gardłowym mrużeniem, zupełnie jak Zass, kiedy drapało się ją delikatnie po pyszczku lub u podstawy czulek.

Cały głód i pragnienie, z jakim tu przyszła, stały się mglistym wspomnieniem. Podróż przez pustynię była czymś, co przydarzyło się komuś innemu. Dziewczyna w rozmarzeniu przyglądała się swojej ręce. Pierścień na kciuku obrócił się; obrączka znajdowała się pod spodem, a wieża stała wysoka i dumna. Nie myliła się — nieprzezroczysty nieznaną kamień miał ten sam odcień, co ciecz, z której właśnie wyszła. Roześmiała się głośno. Czuła się tak dobrze, jakby pociągnęła spory łyk mocnego wina. Kiedyś jeden z Grzebaczy, chcąc przypodobać się zmożonej chorobą Ferwar, przyniósł butelkę wina. Po skosztowaniu trunku kobieta chichotała.

Ferwar wydzielala sobie jej zawartość małymi porcjami. Kiedy zasnęła, Simsa zebrała się na odwagę i wypila to co zostało po ostatnim rozlaniu Staruchy. Wino było chłodne, lecz rozgrzewało od środka. Przez krótki czas czuła się wolna jak zorsal, przepełniona odczuciem, że gdyby tylko zechciała, mogłaby przypiąć skrzydła i szybować gdzieś wysoko. Ta sama wolność była w niej teraz. Rozrzuciła szeroko ramiona i śpiewnym tonem przywołała swoje zwierzaki.

Przybyły i torując sobie skrzydłami drogę przez mgłę, wirowały wokół jej głowy. Odwróciła się, żeby na nie popatrzeć i wtedy uświadomiła sobie, że jej włosy

unoszą się samorzutnie ku górze. Przepelniająca ją żywotność dawała również wolność wilgotnym puklom. Zawołała po raz drugi, a wtedy, kołysząc się lekko na powierzchni sadzawki, pojawiła się Zass.

Z tym, że zorsal był jakiś dziwny. Nie zanurzając się spoczywał na wodzie, a zdrowe skrzydło było szeroko rozpostarte. Zdrowe skrzydło...? Simsa przestała skupiać się na własnych doznaniach, wytrzeszczyła oczy i gapiła się wstrząśnięta. Skrzydło, które do tej pory było złożone, zamrożone w wygiętą linię, nagle rozprostowało się. Nie było w pełni takie, jak przed urazem, nie tak szeroko rozłożone, jak to drugie, ale nie było też zgięte w sposób, w jaki się zrosło, wbrew wszelkim zabiegom Simsy.

Zass podpłynęła do brzegu sadzawki i wyskoczyła z niej, unosząc oba skrzydła jakby do lotu, a kalekie niewiele ustępowało zdrowemu. Rozpoczęła szaleńczy taniec, podskakując wokół Simsy na wszystkich czterech łapach, trzepocząc skrzydłami i krzycząc na cały głos. W oczywisty sposób domagała się, by dziewczyna dostrzegła to cudowne ozdrowienie, które tak nagle na nią spłynęło.

I wówczas Simsa całkowicie odzyskała pamięć. Nie była przecież sama! Nie przypominała też sobie, aby kiedykolwiek wchodziła do tej dziwnej sadzawki, ani żeby ściągała z siebie zniszczone w trakcie podróży, sztywne od potu ubranie. Gdzie on jest?

Kłęcząc, pospiesznie rozejrzała się dookoła. Nadal miała nieodparte wrażenie, że znajduje się w jakiejś filizance czy misce. Mgła nie przerzedziła się. Przeciwnie, wydawała się bardziej gęsta. Na srebrnym kurzu nie było żadnych śladów — nie mogło być. Wystarczyło się poruszyć, a natychmiast opadał na miejsce tak, że nie zostawał nawet żaden odcisk jej ciała. Kawałek dalej leżało rzucone niedbale jej ubranie.

Simsa stanęła i ogarnęła wzrokiem obwód sadzawki. Wewnątrz ścian z mgły nie było nikogo, prócz niej. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała było to, że przybysz się rozbierał. Rzuciła szybko spojrzenie w tamtym kierunku, żeby sprawdzić, czy nie leży tam jego porzucony uniform. Jednak nic nie leżało. Co się właściwie stało?

To chyba on musiał ją rozebrać i wpakować do sadzawki. Kilkoma krokami dotarła do kupki ubrań. Opadła na kolana, chcąc sprawdzić, czy są tam jeszcze dwie sztuki starej biżuterii i sakiewka ze srebrem ciężąca jej w rękawie przez całą podróż.

Krzywiąc z odrazy nos rozkładała bryczesy, elementy postrzępionej bielizny, kaftan z ciężkimi rękawami. Dotykanie tych rzeczy sprawiało, że czuła się brudna.

Nie wyobrażała sobie, aby mogła je ponownie na siebie włożyć. Jednak wszystko było na swoim miejscu — gałganek z naszyjnikiem i drugie zawiniątko zawierające bransoletę.

W obszarze srebrnego i mlecznoksiężycowego promieniowania Simsa odwinęła swoje skarby. Włożyła bransoletę na szczupły nadgarstek. Można się było domyśleć, iż nie była zrobiona dla takiej, jak ona: przedmiot był zbyt masywny i za szeroki. Naszyjnik z bladozielonymi kamieniami... Wyciągnęła kawałek łamanego srebra i skręciła z niego drucik, którym połączyła rozerwane ogniwa. Następnie zreperowany skarb włożyła na szyję. Rozłożył się na jej ramionach, a ona czuła jego chłodny dotyk. Zielone kamienie opadły między jej piersi tak, że wisior sięgał niemal talii. Dobrze się w nim czuła, jakby ten metal był dla niej odpowiedni. Podobnie, jak w przypadku pierścienia, włożenie tego na siebie wzbudziło w niej przekonanie, iż jest dla niej przeznaczony.

Rozwiązała sakiewkę ze srebrem. On musiał widzieć jej skarby, kiedy zdejmował z niej ubranie. Nie zabrał ich jednak.

On...

Lecz gdzie on jest?

Srebrny naszyjnik ślizgał się po jej ciele, kiedy odwróciła się ponownie, by przyrzeć się dokładnie sadzawce. Dwa pozostałe zorsale wróciły do wody i unosiły się na niej tak jak Zass, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy.

Lecz nie było tam drugiego, bladego ciała. Nie było też ubrań na srebrnym piasku. Ani... Usiłowała sobie przypomnieć, czy przyciągnęli transporter do tego miejsca. Mglisto kojarzyła, że tak. Lecz transporter zniknął. Zaciśnęła palce w pięść i tak mocno ścisnęła ją drugą ręką, że wieża z pierścienia wbiła się boleśnie w ciało. Była sama i nie miała najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku musi iść, aby się stąd wydostać.

Nie wiedziała nawet z jakiego kierunku przyszli. Nie miała odwagi zapuścić się w tę mgłę.

Poczucie błogości i zadowolenia, jakie ogarnęło ją, gdy przebudziła się na wodzie, minęło bezpowrotnie. Schyliła się i zaczęła ubierać, choć dotyk brudnego, sztywnego od potu ubrania napawał ją obrzydzeniem. Zorsale... Czy gdyby zdołała nakłonić je do opuszczenia sadzawki, wskazałyby drogę wyjścia? Co skłoniło przybysza do pozostawienia jej tu samej? Obwiązując się pasem cmoknęła, wabiąc zwierzaki. Przez kilka długich chwil myślała, że nie uda się jej wyciągnąć ich z

sadzawki. Jednak Zass, pomagając sobie skrzydłami, zaczęła wiosłować wszystkimi czterema kończynami w kierunku brzegu, a młode podążyły za nią.

Wyszły na srebrny pył i przydreptały całą gromadką do jej stóp. Przycupnęły spokojnie i patrzyły na nią w górę ogromnymi oczyskami, otoczonymi ciemniejszymi obwódkami futra, które zdawały się nadawać im inteligentny i rozumny wyraz, Simsa machnęła ręką w taki sposób, iż zorsale zrozumiały, że muszą zareagować. Oznaczało to, że mają się udać na zwiady. Nie omieszkła wydać przy tym okrzyku nawołującego do czujności.

Dwa młodsze uniosły się posłusznie, wzbijając ruchem skrzydeł tumany srebrnego kurzu. Kiedy zaczęły oblatywać sadzawkę, czułki rozwinęły się z cichym trzaskiem, lecz ich pyszczki zwrócone były w innym kierunku — w kierunku kłębiącej się mgły.

Dziewczyna złapała Zass i usadziła ją sobie na ramieniu. Ukłucie pazurów dużych, zadnich łap, przebijających się przez materiał kaftana do jej ciała, dało jej dziwne poczucie komfortu psychicznego.

Simsa uniosła głowę i uważnie nasłuchiwała. Było tak cicho, że słyszała łopot zorsalich skrzydeł. Raz omal nie podniosła ręki do ust, żeby zrobić z niej tubę i zawołać Thorna. Ostatecznie nie zdecydowała się jednak na ten okrzyk.

Zamiast tego zaczęła krążyć dookoła krawędzi stawu. Nie wiedziała, czy to były jakieś czary, czy wzrok splątał jej figła, gdyż w rzeczywistości sadzawka była o wiele większa, niż wyglądała. Szła i szła, a ciągle nie mogła dotrzeć do drugiego końca tej „filiżanki”. W którymś momencie najmłodszy zorsal śmignął nad jej głową prosto w mgłę, sygnalizując bratu, żeby poszedł w jego ślady.

Czulki Zass zeszywniały jak druty nastawiając się na ten sam kierunek. Simsa wzięła głęboki oddech. Nie miała pewności, czy zwierzaki rzeczywiście odnalazły trop Thoma, lecz ich poczynania dowodziły niezbicie, iż jest tam coś godnego zainteresowania.

Dziwnie niechętnie opuszczała to miejsce, gdzie zaznała takiego spokoju i radości. Jednocześnie wiedziała, że nie może tu siedzieć bez końca. Fakt, że zniknął transporter świadczył, iż Thom zamierzał odejść na dobre. Ale dlaczego ją porzucił...

Ściana mgły zamknęła się. Zdjęła delikatnie Zass z ramienia i trzymała przed sobą, żeby móc obserwować sygnały jej zmieniających kierunek czułek. Pragnęła iść według ich wskazań. Kilka kroków na prawo, jeden, czy dwa na lewo. Jej zdaniem było wysoce prawdopodobne, iż nadal krążą wokół sadzawki, z tym, że na innym

poziomie, jednak nie miała innego przewodnika.

Pod stopami nie wyczuwała już piasku, tylko litą skałę. Sandały i szmaty, którymi obwiązywała stopy były tak potwornie zdarte, że nie mogła ich ponownie włożyć. Musiała więc iść bosą i cieszyć się, że podeszwy jej stóp tak stwardniały przez lata chodzenia na bosaka. Wiedziała, iż dopóki podłożem była wilgotna skała, mogła stąpać po nim pewnie.

Czułki Zass, cała jej głowa, nagle szarpnęły się gwałtownie w prawo. Dziewczyna posłusznie skręciła w tym kierunku. Wydawało się jej, że mgła zrzędnęła, a chwilę później znalazło to potwierdzenie, gdyż wyszła z niej do szarego, posępnego leja przechodzącego w węższy korytarz. Z całą pewnością nie była to droga, którą przyszli — ta biegła poziomo i nie było widać żadnych schodów.

Chodnik pozostawał gładki i była przekonana, że jest to zasługą ludzkich rąk. Jednak ściany były bardziej chropowate, przypominały kamień jaskini leżącej w sercu wzgórza od zarania dziejów.

Przeprawa przez mgłę nie odarła jej do końca z dobrego samopoczucia, towarzyszącego jej w chwili, gdy wyciągnięto ją z sadzawki. (Dlaczego to zrobił, skoro później nie zaczekał na nią?) Nie odczuwała lęku — jeszcze nie. Kierował nią raczej gniew wynikający z faktu, iż pozostawiono ją na pastwę losu. Cały czas zastanawiała się, dlaczego przybysz z innej planety odszedł i zostawił ją samą — z tego, co wiedziała, być może na śmierć.

Złość mieszała się z konsternacją. Nie rozumiała powodu jego postępowania. Chyba, że... Jej oczy zwężyły się nieco. Chyba, że wiedział o wiele więcej o wartości skarbu, jaki kryły w sobie Srogie Wzgórza i nie chciał się z nikim dzielić swoim znaleziskiem. Tylko jeśli tak było, po co ciągnął ją z sobą tak daleko? Równie dobrze mógł ją porzucić gdzieś na szlaku i w ten sposób zyskać pewność, że umrze. Po co ta mozolna wspinaczka po potworze zwisającym z klifu? Dlaczego po tym, kiedy jej siły w końcu zawiodły, zostawił ją na pół zanurzoną w czymś, co jej zdaniem było rodzajem leczniczej wody? Czy robiłby to wszystko, gdyby pragnął jej śmierci? Simsa nie potrafiła dopasować do siebie elementów tej układanki. Nic nie rozumiała.

Światło wypływające z mgły bledło w miarę, jak posuwała się korytarzem. Jednakże z przodu promieniował inny blask, jaśniejszy — być może blask samego dnia. Przyspieszyła kroku, pragnąc nagle bardziej, niż czegokolwiek powrócić do zewnętrznego świata. Był to świat, który rozumiała, nawet jeśli będzie się to wiązało z koniecznością ponownego stawienia czoła pustyni i to samotnie, bez zapasów wody i

żywności.

Miejsce, w którym wyszła na powierzchnię nie było jednak pustynią, choć na niebie świeciło bezlitosne słońce. Otaczał ją wzniesiony na bazie kwadratu kamienny mur. Na dobrą sprawę mogła to być komnata wyrębana częściowo w naturalnym kamieniu. W górze widniała szachownica dziur, w których niegdyś mogły być umocowane belki wspierające wyższe piętra. Zorsale fruwały tam i z powrotem, nawołując ją niecierpliwie. Mimo to wspinała się ostrożnie, sprawdzając dokładnie każde oparcie dla rąk i stóp. Nie było tu schodów, ani niczego, co wskazywałoby na ich obecność. Być może kiedy istniały piętra, na dolne poziomy schodzono za pomocą drzwi zapadowych i drabin. Wdrapując się po ścianie, najpierw z litej skały, później z ociosanych, dopasowanych do siebie kamieni, dostrzegła ślady ognia. Większość z nich została zatarta przez działanie czynników atmosferycznych, lecz gdzieniegdzie w osłoniętych miejscach widniały wciąż czarne, straszne dowody pożogi.

Dotarła do pierwszej dużej szczeliny w murze. Wcisnęła się w nią cała i rozpoczęła lustrację otoczenia. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowała się albo w ogromnej, dawnej fortecy, większej od wszystkich pałaców Lordów Gildii razem wziętych, albo nawet w małym mieście.

Mury były w przeważającej części wyjątkowo dobrze zachowane, jednak wszędzie panoszyła się zieleń. Obecność tak bujnie krzewiącej się roślinności w miejscu, gdzie spodziewała się zobaczyć ogołocony ład, zaskoczyła ją ogromnie. Początkowo myślała, że to miraż ukazujący się ludziom, którzy zapuszczają się zbyt daleko w zakazany ład. Zaczęła mrugać oczyma, jednak zieleń nie znikwała.

Kompleks otaczających ją ścian był do tego stopnia porośnięty winoroślą, że tylko gdzieniegdzie wychylał się rzeźbiony kamień. Kamienie te zdawały się tworzyć pewną serię, ponieważ każdy był głową, co najmniej dwukrotnie większą od jej własnej, z czego każda była inna. Niektóre były głowami zwierząt — pierwsza należała bezsprzecznie do zorsala, pomimo iż czułki zostały odłamane tuż przy czaszce. Pozostałe przedstawiały niewątpliwie ludzi, choć różniły się między sobą. Możliwe, że byli to dawni mieszkańcy tych ruin.

Simsa mogła z łatwością opuścić się z miejsca, gdzie stała, na szczyt kolejnej ściany, która z pewnością była szersza od alei w Kuxortal, lecz coś ją zatrzymało. Otóż zbadawszy ją dokładnie znalazła pierwszy dowód na to, że zorsale prowadzą ją tropem przybysza. Zobaczyła masę rozgniecionych winogron, świadcząca o tym, że przez jakiś czas spoczywało na nich coś wielkości transportera. Dalej zauważyła

drzewo, któremu brakowało jednej gałęzi, a liście na niższych i wyższych gałęziach były nadpalone i zwędłe,

Wyglądało na to, że z jakiejś przyczyny Thom uznał za konieczne przejść tędy i prawdopodobnie bardzo się spieszył, torując sobie drogę przez wszystko, co mogłoby to opóźnić. Simsa nie obawiała się, że wpadnie na niego niespodziewanie — zorsale tego dopilnują. Nie mniej jednak postanowiła pójść za nim, choćby po to, żeby się dowiedzieć dlaczego odszedł. Ścieżka biegnąca szczytem muru wciąż wskazywała ślady pospiesznego przejścia. Simsa szła dalej, a jej skrzydlaci towarzysze krążyli nad jej głową. Nie wiedziała, czy to dobrze, gdyż ich widok sygnalizował każdemu postronnemu obserwatorowi jej obecność.

Mijając nadpalone drzewo zatrzymała się, aby je zbadać. Wszyscy dobrze wiedzą, że ludzie z gwiazd dysponują przerażającą bronią. Mogą spalić na popiół swych wrogów lub ofiary. Równocześnie rygorystycznie przestrzegali jednego z obowiązków, zakazującego im noszenia podobnej broni przy sobie, gdy przyjeżdżali do świata takiego jak jej. Z drugiej jednak strony prawo zabraniało im również przywozu takich przyrządów, jak pudełko unoszące transporter. Skoro Thom złamał jedno prawo swojego ludu, co mogło go powstrzymać przed złamaniem kolejnego?

Nie podobały jej się te ślady spalenizny, więc na wszelki wypadek przeszła obok drzewa o wiele wolniejszym krokiem. Ostatecznie kto wie, czego można się spodziewać po człowieku z innego świata? Ich obyczaje i sposoby zachowania są do tego stopnia odmienne, że trudno je zrozumieć ludziom z innej planety. Thomem kierowała wielka żądza, ponieważ inaczej nie zapuściłby się na pustynię, nigdy nie zaszedłby tak daleko. Wyrosła przed nią następna ściana. Wystający z niej kamień, po którym zamierzała wejść na jej szczyt był rzeźbioną głową z twarzą tak przerażającą, że wstrząsnął nią dreszcz. Istniały demony i złe moce, którymi straszono dzieci i które mogły się przyśnić. Wpatrując się w tę rzeźbę miała wrażenie, iż jest uosobieniem czystego zła i od samego patrzenia na nią przechodziły ją ciarki.

Złapała się na tym, że bezwiednie wykonuje palcami gest, jakim Grzebacz przyzywali Fortunę (niezwykle kapryśną towarzyszkę w ich życia). Najgorsze w tym wizerunku było nie to, że nosił maskę ciemności i nienawiści (miał raczej dziwne piękno, które przyciągało i zatrzymywało oko), lecz fakt, że w przerażający sposób emanowały z niego okrucieństwo, lubieżność i fałszywa mądrość.

Żeby wejść na szczyt ściany, musi oprzeć stopę na tej głowie. Smugi zmiażdżonej winorośli dowodziły, iż ten, którego ściga, właśnie tak zrobił. Mimo to

miała wrażenie, że jeśli postawi na niej nogę, nie poczuje kamienia, lecz ciało, zimne trupie ciało!

Zacisnęła zęby. Nie może pozwolić, żeby podobne bzdury hamowały jej działania. Wywodzi się z Grzebaczy i przeszła twardą lekcję życia. Nieraz musiała borykać się z trudnościami zgotowanymi przez ludzi i jak dotąd nie dała się złapać w żadną wymyśloną przez nich pułapkę.

Wyciągnęła ręce i szybko wskoczyła na głowę. Odepchnęła się od niej stopami i uchwyciwszy rękoma krawędź ściany wciągnęła się pospiesznie na górę. Podświadomie pragnęła oddalić się jak najszybciej od tej szkaradnej gęby. Była tak prawdziwa, jak autentyczny portret, a nie fantazja jakiegoś perwersyjnego artysty. Możliwe, że jego pierwowzór był niegdyś tutejszym władcą. Jeśli rzeczywiście tak było, to ta twierdza — bądź miasto — musi mieć straszliwą historię.

Miejsce, w którym się znalazła okazało się dachem, a nie kolejnym szczytem muru. Przycupnęła na nim mając doskonały widok na niesłychanie duży dziedziniec, może nawet plac targowy, tonący w zieleni wybujałej roślinności, której wzrostu już od dawna nikt nie kontrolował. Winorośl przeplatała się między drzewami, a martwe krzaki stały ciasno oplecione swymi żywymi następcami lub bardziej osobliwymi gatunkami, które je zdławiły. Tuż pod nią ciągnął się pas gołego chodnika dorównującego szerokością szczytowi ściany.

Na chodniku stał nadal załadowany transporter, natomiast ani jeden węzeł nie był rozwiązany. Po przybytku nie było śladu. Dziewczyna skinęła na kołujące zorsale, nakazując im ruchem ręki, by spenetrowały panoszący się w dole busz. Zwierzęta nie wykazywały zbytnej ochoty na spełnienie jej polecenia. Zataczały pętle, opuszczały się nieco w dół, przysiadając na chwilę na górnych gałęziach, po czym znów wzbijały się w powietrze. Ich czułki wiły się konwulsyjnie wskazując na ziemię. Jak większość zwierząt, dla których naturalnym środowiskiem życia jest otwarta przestrzeń, a latanie środkiem obronnym, niechętnie zapuszczały się w gęste zarośla. Jednakże zmysły skupione w ich czułkach były w stanie odebrać wszelkie bodźce wysyłane przez jakąkolwiek żyjącą istotę. Zatem gdyby Thom usiłował penetrować ten nieprzebyty gąszcz, dałyby jej znać. Przez chwilę Simsa została więc roztropnie na miejscu i obserwowała uważnie zachowanie zorsali, rzucając od czasu do czasu okiem na ruiny kruszejącego budynku bądź kompleksu budynków.

Daleko za najbardziej oddaloną ścianą (żałowała, że nie ma szkielec do patrzenia na odległość, jakimi posługiwał się przybysz) majaczyła kolejna góra, wznosząca się

ponad tym straconym miejscem, jak klif nad równiną pustyni. Być może góra ta leżała na płaskowyżu lub nawet stanowiła część doliny z prawdziwymi początkami Wzgórz ciągnących się za nią.

Zorsale nie przekazały jej nic istotnego. Stało się jasne, że pozostawanie tu nic nie da. W dodatku po raz pierwszy od chwili przebudzenia w sadzawce, Simsa poczuła głód. Na transporterze wciąż była żywność i woda, widziała pojemniki, z których żaden nie był odwiązany. Gdyby Thom udał się stąd na jakiś dłuższy szlak, z całą pewnością zaopatrzyłby się w zapasy.

Zsunęła się ostrożnie po obdartych już z liści pędach winorośli. Tą samą drogą musiał zatem dotrzeć do ziemi Thom. Gdy wreszcie stanęła przy transporterze dostrzegła coś, co nie było widoczne z góry. W ścianach przy obu końcach chodnika, na którym stał ich mizerny dobytek, znajdowały się otwory przechodzące w wejścia. Celowo były umieszczone tak głęboko pod skalnymi nawisami, że można je było odkryć jedynie z poziomu gruntu. A w obu wejściach stali...

Simsa obróciła się na pięcie i oparła plecami o transporter. Jej ręka zmierzała ku pochwie noża, który był o wiele za słabą bronią, żeby odeprzeć atak dwóch napastników! Po raz pierwszy zorsale ją zawiodły. Dlaczego nie odnotowały tego zagrożenia?

Zaczęła wycofywać się w kierunku winorośli, po której tak szybko i nierozważnie zjechała przed chwilą w dół. Po drodze brutalnie wpychała Zass dalej za pazuchę, żeby zyskać swobodę ruchów w trakcie wspinaczki ku bezpieczeństwu.

Jednakże w wejściach nic się nie działo. Żadnego poruszenia, żadnego natarcia. Dwaj obserwatorzy nadal trwali w bezruchu. Ich oczy spoczywały na niej, lecz nic w nich nie wskazywało, aby uznali ją za intruza lub wroga. Zatrzymała się, po czym zerknęła na Zass. Zorsal lamentował nad własną niewygodą, ale nie skierował czułeków ku żadnej z dwóch rzeczy kryjących się w cieniu głębokich wejść.

Simsa przywarła plecami do ściany z jedną ręką na winorośli i czekała. Ci dwaj strażnicy mogli być przykuci łańcuchami. Czyżby oczekiwali, aż do nich podejdzie? Czy tak właśnie postąpił Thom — udał się rym sposobem na spotkanie ze śmiercią?

Żadne z trojga jej kudłatych przyjaciół nawet na nich nie spojrzało. Musieli zastosować jakieś nadzwyczajne środki, skoro uśpili wyostrzone zmysły zorsali. Dziewczyna przygarnęła Zass bliżej siebie i odwróciła ją wprost na postać po lewej stronie.

Na pewno nie było to zwierzę. Stało na dwóch nogach jak ona oraz miało dwie nieco wysunięte ręce. Mimo to...

Zass rozwinęła wreszcie czułki, nastawiła je na oczekującego strażnika, a potem popatrzyła na Simsę wydając lekko gardłowy, pytający dźwięk. Żadnego życia? Nic prócz wyrzeźbionej figury?

Dziewczyna przeniosła zorsala na ramię i powoli ruszyła przed siebie, zatrzymując się z wahaniem co kilka kroków, żeby przyrzeć się temu czemuś. Pod skalnym nawisem panował półmrok. Jednak jej oczy Grzebaczki. nawykłe do nocnych wypraw i poszukiwań w ciemnościach, wychwyciły te cechy milczącego strażnika, których nie mogły zauważyć, gdy oślepiało je słoneczne światło. Był to posąg, nie z kamienia — żaden kamień nie ma takiego połysku. Z kolei jeśli to metal, jakim cudem jest taki błyszczący, nietknięty przez czas?

Bez wątplenia stoi tu już od dawna, bo jego nogi toną prawie po kolana w naniesionych wiatrem zeschniętych liściach z poprzednich pór i innych śmieciach pochodzących z tego wybujałego gąszczu. Cóż, ukształtowany z grubsza jak jej własny rodzaj, lecz absolutnie nie z krwi i kości!

Simsa ruszyła pewnie naprzód, nie obawiając się już ataku ze strony jego towarzysza przy drugim wejściu. Była przekonana, że jest to identyczny egzemplarz. Po chwili stanęła przed nim zadzierając głowę, ponieważ był wysoki — może nawet wyższy od przybysza z innego świata. Rzeczywiście była to figura z jakiegoś metalu — ciemnej substancji mieniającej się bardzo nikielowym kolorem, nie układającym się w żaden wzór. Głowa była ogromną, kulą, której przód wykonano z innego typu materiału — przezroczystego...

Wspięła się na palce, żeby zerknąć do środka i natychmiast krzyknęła z przerażenia, w tej samej chwili, odskakując jak oparzona. Martwe, zasuszone szkielety na plaży były szkaradne, lecz ta pomarszczona, zaschnięta rzecz, która gapiła się na nią oczyma, które nie były już oczyma... To było obrzydlistwo, którego widoku nie mogła znieść!

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do transportera. Zass skrzeczała przeraźliwie, natomiast dwa młode zorsale trzepotały w górze wtórując jej pełnymi przerażenia pohukiwaniami. Simsa potknęła się i omal nie upadła. Uczepiła się oburącz transportera i przyłgnęła do niego, tak chora i wstrząśnięta, że nie mogła nawet myśleć. Zawsze wierzyła, że potrafi stawić czoła najgorszym okropieństwom — życie w Ziemiakach przecież nie było dla bojaźliwych — lecz ta... ta śmierć

kogoś zamkniętego w metalowej powłoce, tak pozostawionego...

Kto umieścił te szkaradne trupy jako strażników w zdewastowanym mieście? I dlaczego? Widać było, iż są tu od dawna. Czy moc, która ich tam postawiła nadal istnieje? Wciąż trzymała się transportera oddychając głęboko i starając się odzyskać kontrolę nad emocjami. Martwi nie mogą się ruszać, nie mogą skrzywdzić. Nie musi więc...

Wtem krzyknęła ponownie. Tam coś się rusza! Ten truposz... on idzie po nią! Miała wrażenie, że nogi wrosły jej w ziemię, zupełnie jak krzewiące się za jej plecami rośliny. Nie mogła nawet krzyknąć, bo gardło dławił jej strach. Jedna z metalowych łap zwisająca z boku strażnika mogła w każdej chwili sięgnąć i przerwać jej oddech.

Rozdział dziesiąty

Zorsale zareagowały na jej strach, kołując spiralami w dół i miotając się jak opętane nad jej głową. Ich krzyki przeobraziły się we wściekły skrzek. Zass trzepotała szaleńczo skrzydłami, unosząc chore prawie tak wysoko, jak zdrowe i zadzierając do góry łepkę wrzeszczała co sił w małych płucach. Z tym wrzaskiem, odbijającym się echem od skał podbiegła skrajem transportera do Simsy, aby wspólnie z nią stawić czoła figurze wyłaniającej się na światło dnia z cienia za martwym strażnikiem.

Gdyby nie transporter stanowiący jej oparcie, Simsa byłaby upadła: Thom!

Okrzyknął zakutą w metal postać i stanął w pełnym słońcu. W rękę trzymał dziwny kij, którego nigdy przedtem u niego nie widziała. Obserwowała go lękliwie. Fakt, że ją porzucił... A może stali się wrogami z powodu, którego jeszcze nie rozumiała?

Jednak w jego twarzy nie było wrogości, emanowała z niej raczej troska. Może nie była to troska o nią, lecz wynikająca z tego, że zdołała go wytropić?

Kiedy ruszył naprzód, zaczęła się cofać. Przesuwała się wzdłuż krawędzi transportera, ponieważ nie miała pewności, czy uginające się nogi utrzymają ją bez wsparcia. Nie odzyskała jeszcze sił po szoku, jakiego doznała kilka chwil wcześniej.

— Wszystko w porządku.

Ledwie dosłyszała jego słowa, wciąż się cofając. Dotarła wreszcie do końca transportera i stanęła za nim tak, że tworzył między nimi barierę. Pomimo, iż był umocowany, wznosił się wyżej niż w czasie podróży przez pustynię. Kiedy go chwyciła, zakołysał się i przesunął.

— Wszystko w porządku! — powtórzył i przystanął. Zachowywał się tak, jakby Simsa była przestraszonym zorsalem, do którego należy przemawiać powoli i cierpliwie, aż nie umilknie w nim wewnętrzny alarm, i będzie można do niego podejść, ukoić go dotykiem i głosem.

Natomiast same zorsale uspokajały się. Sądziła, że dopingowane jej przerażeniem mogą na niego napaść, jednak one usadowiły się na transporterze obok matki, cały czas zwrócone w jego stronę, z wyciągniętymi i drgającymi czułkami.

Simsa dochodziła do siebie. Na szczęście to nie był ten koszmarny truposz. Niezależnie od tego, jak zaskakujące mogły być moce z innych światów, Thom był żywą istotą, którą można było zranić, pokonać lub zabić. Nie był przecież

niezwyciężony, a ona znała dużo sztuczek. Przestała się wycofywać, choć nadal przytrzymywała się transportera. Postanowiła pchnąć go na niego z całej siły, gdyby spróbował ją zaatakować.

Zachowanie zorsali nadal pozostawało dla niej zagadką. Przynajmniej w odniesieniu do Zass, która od wielu sezonów była bronią swej pani, gotową zaatakować na skinienie. Teraz jednak postępowała tak, jakby przybysz był przyjacielem.

Simsa była rozkojarzona, wytrącona ze zwykłej czujności, z nadszarpniętą jawnym okazaniem strachu dumą i wiarą we własne siły. Prawdopodobnie dlatego wymknęły się jej ostatnie słowa, jakie naprawdę chciała wypowiedzieć.

— Zostawiłeś mnie. — Ledwie to powiedziała, a już oddałaby wszystko, co posiada, aby nigdy nie przerywać panującego między nimi milczenia.

Nadal nie podchodził bliżej. Przedmiot, który trzymał...

To musiała być broń. Nie miał jednak ostrza, ani żadnego szpikulca, niczego co Simsa rozpoznałaby jako zagrożenie. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w prawo. Może zdoła odskoczyć w tę płataninę zieleni i zgubić go.

— Tak.

Jego potwierdzenie znów wyprowadziło ją z równowagi. Oczekiwała kłamstwa, mętnych wyjaśnień, a nawet oznak wstydu, bądź zapewnień, że to wszystko nie było tak, jak myślała. Przez moment nie wiedziała, jak zareagować i po prostu gapiła się na niego.

Być może Thom uznają za skończoną idiotkę, ale ona musi się dowiedzieć, dlaczego tak postąpił. Widocznie nie miał nic do dodania, bo nadal milczał. Nie mogła dłużej znieść niepewności.

— Dlaczego?

Przybysz nie odłożył broni. Co prawda zachowanie zorsali pozwalało sądzić, iż nie jest wrogo usposobiony i nie chce jej skrzywdzić, lecz to jedno krótkie „tak” było dla niej potwierdzeniem, że nie dbał o nią, że nie miał oporów, aby ją wydać na pastwę losu.

— Tu była śmierć. — Trzymał teraz broń w lewej ręce, prawą zaś dotykał jednego z rozlicznych przedmiotów wiszących u pasa. Był to wąski, ciemny pasek, wyglądający jak... Oczywiście, jak metal, w którym zamknięto martwych strażników!

— Tu nadal jest śmierć — odzyskała wystarczająco dużo pewności siebie, by skinąć głową w kierunku nieruchomej figury z a jego plecami, jakby to była zwykła,

kamienna rzeźba.

— Nie to miałem na myśli — odparł. Mówiłem o tym — odczepił kawałek metalu od pasa i uniósł w górę. Jej wyostrzony wzrok uchwycił na nim grę kolorów. — To miernik promieniowania. Mój lud jest na nie w dużym stopniu uodporniony. To część naszej historii. Kiedyś w moim świecie toczyła się wojna, wojna, jakiej — rozejrzał się wokół siebie, jakby szukając inspiracji, czegoś, co mógłby wykorzystać, żeby jej to najlepiej wyjaśnić — jakiej ta planeta na szczęście nigdy nie widziała. Choć z pewnością kryje w sobie wiele niespodzianek. Używano broni, która zabijała... Simsa przypomniała sobie spalone drzewo.

— Strzelając ogniem? — dokończyła za niego. — Coś takiego, jak to? — Puściła transporter i wskazała na nietypowy kij. — Widziałam... Spalone liście, usychanie...

— To jedynie mały, bardzo mały egzemplarz takiej broni. Zauważyła, że nie wyjaśnił, jak ją zdobył. Wiedziała z całą pewnością, że nie niósł jej ze sobą przez pustynię. Była zbyt duża, aby ukryć ją gdzieś między pakunkami. Nim zdążyła o to zapytać, mówił dalej.

— Tamte były miotaczami ognia, zdolnymi spalić całe Kuxortal w ułamku sekundy. W ten sposób wymarła większość mojego świata. Pozostały zaledwie małe zbiorowiska, w których zachowało się życie. A ci nieliczni, którzy przeżyli... Oni się zmienili, lub zmieniły się ich dzieci. Niektórzy zmarli, ponieważ zmienili się w potwory, które nie mogły żyć. Kilku, bardzo niewielu, zachowało ludzką postać. Tylko, że rodzili się teraz uzbrojeni przeciwko sile broni, która zabiła ich świat. Nie byli jedynie uodpornieni na bezpośrednie działanie ognia. Przekleństwem takiej wojny jest fakt, że zatrzuwa powietrze. Ci, którzy nim oddychali lub zapuszczali się w skażone miejsca, umierali. Nie szybko, jak w ogniu, lecz powoli, w ogromnych męczarniach. Pamiętasz tamtą sadzawkę?

— Ona zabija? — spytała lekko spanikowana. Nie czuła przecież żadnego bólu, ale było możliwe, że jeszcze się pojawi. Nie dopuszczała myśli, że mogłaby się upodobnić do tych pokurczonych, spieczonych słońcem trupów na brzegu morza. Lub, co gorsza, stać się tym, co widziała w metalowej skorupie.

— Nie, myślę, że nie, — Wyglądał na prawdziwie zakłopotanego. — Powiedz mi, jak się czułaś, gdy wyszłaś z wody, zakładając, że to była woda?

— Świetnie. A Zass jeszcze lepiej — Simsa nie chciała uwierzyć, że ciecz, w której się kąpała, mogłaby ją uśmiercić. — Dzięki tej wodzie może prawie całkowicie

rozłożyć chore skrzydło. Może znowu latać.

— Tak, ta sadzawka regeneruje. Natomiast tu, w pobliżu, znajduje się coś o wręcz przeciwnych właściwościach. Coś, co zabija!

Po raz pierwszy od początku rozmowy zrobił kilka kroków w jej kierunku, a Simsa nie cofnęła się. Wyciągnął do niej rękę z metalowym paskiem zachęcając, aby się przyjrzała.

— Znalazłem ten przedmiot po wyjściu z sadzawki. Po tym, jak cię do niej zaniósłem, bo byłaś nieprzytomna, niezdolna sobie pomóc. Później wyciągnąłem cię częściowo na brzeg i udałem się na rekonesans. Powodem było to, co tu odczytałem. Z tego samego powodu nie zabrałem cię ze sobą.

Thom odłożył broń na chodnik i przeciągnął palcem wzdłuż paska. Biegła tam wyraźna, czerwona linia.

— To zapowiedź niebezpieczeństwa, jakie mój naród dobrze zna z własnej przeszłości. Ta czerwona linia może oznaczać śmierć. Nie dla mnie, lecz dla ciebie i twoich zwierzaków. Musiałem znaleźć źródło tego zła, dowiedzieć się, czy to promieniowanie jest śmiertelne.

— Zabrałeś transporter — zauważyła Simsa. Znowu pokiwał głową.

— Gdyby stopień promieniowania był rzeczywiście taki, jak wskazuje miernik, to jedzenie i woda już mogły być dla ciebie trujące. Musiałem mieć pewność, że niczego nie zjesz, ani nie wypijesz przed opuszczeniem komnaty z sadzawką, a nie było mnie tam, żeby cię ostrzec.

— I rzeczywiście są zatrute? — Zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę, że jego opowiadanie nie trzyma się kupy. Gdyby opowiedział ją ktoś inny, roześmiałyby się w głos, jednakże nie mogła mierzyć przybysza z innego świata tą samą miarką, co ludzi z Kuxortal. On był inny — i prawdopodobnie była po stokroć głupia, że mu kiedykolwiek zaufała.

— Nie. Źródło kłopotów leży tam — wykonał półobrót i wskazał strażnika, a może korytarz za nieruchomą figurą. Korytarz, z którego wyszedł.

— A to skąd wzięłeś? — Teraz z kolei Simsa wyciągnęła palec w kierunku leżącej na ziemi broni.

— Znalazłem, kiedy wydostałem się z tamtej mgły. Po prostu tam leżała...

— Ale ona nie pochodzi z tego miasta — ponagliła go, gdy się zawahał. — Jakim cudem broń z gwiazd... i ci — skinęła w kierunku strażników — znaleźli się tutaj? Czy przybyli z twoim bratem? A może byli na tamtym statku, który, jak

opowiadałeś, wylądował bez niczyjej wiedzy? Myślałam, że obowiązuje was prawo zabraniające przywozu takiej broni do świata, gdzie jest nieznana. Czyż ci nieżywi ludzie nie mają na sobie stroju z gwiazdnego statku? Słyszałam o ubraniach, które pozwalają poruszać się w tych światach, gdzie nie można oddychać powietrzem lub żyć bez zabezpieczenia. Kto zatem tutaj przybył?

— Ci, których widzisz, nie mają nic wspólnego z T'sengiem. Przebywają tu o wiele dłużej, a nasi ludzie nic o nich nie wiedzieli. Znalazłem nieduży pojazd, nie taki do podróży międzyplanetarnych, ale próbnik, jakiego używamy do badania nowych światów. Jest tam, z tyłu — powtórnie skinął w kierunku korytarza — gdzie się rozbił. Dawno temu miała tu miejsce walka. Możliwe, że pomiędzy wyjętymi spod prawa a Patrolem. — Pochylił się, żeby podnieść broń. — Jest tylko w połowie załadowana, a właściwie mniej niż w połowie, ponieważ ją wypróbowałem. Ponadto jest to broń bardzo starego typu, już nie używana.

Miał odpowiedź na wszystko. Jednak ta myśl w najmniejszym stopniu nie uspokajała Simsy. Cudowne wrażenie dobrego samopoczucia nieco już osłabło, ponadto nie było tak kojące i nie absorbowało całkowicie jej umysłu. Na powrót stawała się Grzebaczką, a dla ludzi tego pokroju zaufanie było luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić.

— Czy właśnie tego — zgadywała teraz, lecz myśl, która nagle ją naszła, zdawała się mieć sens — szukał tu twój brat?

— Oczywiście, że nie! — Wskutek zniecierpliwienia jego odpowiedź zabrzmiała jak szczenięcie. — Lecz... — jego dziwnie ukształtowane oczy zmieniły się w sposób nadający im spekulujący, prawie chciwy wyraz. Przypominał jej Zass, wyczuwającą w pobliżu szczura. — Lecz może to wyjaśni lepiej, dlaczego mój brat nie wrócił!

— Został zamordowany przez trupy?

— To! — Udawał, że nie dosłyszał jej zgryźliwości, wyciągnął natomiast na całą długość rękę z bronią i studiował ją, jakby faktycznie odgrzebał skarb, który może mu zapewnić dobrobyt rzecznego kapitana po całym sezonie korzystnego handlowania. — Powiedz mi, Simso, co dałby wasz Lord Gildii za broń, która może zabić na odległość, nie narażając posługujących się nią ludzi na niebezpieczeństwo, za to doszczętnie niszcząc wroga?

— Mówiłeś o ogniu, o miastach przez niego strawionych — zauważyła. — Jaką korzyść przyniosłoby zniszczenie wszystkiego, czym można handlować? Żaden

lord nie wysyłałby swoich straży, gdyby nie dostał w zamian łupu. Nawet żaden pirat z północy nie byłby taki głupi. A oni ryzykują bardziej niż zwyczajni handlarze. Lordowie żyją dla handlu, nie dla jego niszczenia.

— Tylko że ta broń nie zrównuje miast z ziemią. Jej zasięg jest bardzo ograniczony. Ustawiona na maksymalną moc nie mogłaby zniszczyć więcej, niż znajduje się na tym transporterze.

Simsa przeniosła spojrzenie ze smukłej pałki na transporter. Widziała zniszczenie na górnej ścianie, lecz cóż tak naprawdę byle Grzebacz mógł wiedzieć o niesnaskach wśród Lordów Gildii czy przywódców złodziei? Ludzie ginęli w formalnych pojedynkach, w wojnach między klanami. Od zawsze miały miejsce najazdy rzecznych konwojów, piratów na północnych morzach.

Taka broń umożliwiłaby obronę przed najazdem wroga bez uszczerbku dla jej użytkowników i pozwoliłaby przejąć, powiedzmy, flotę z Saux, najbogatszą zdobycz, jaka kiedykolwiek zarzuciła kotwicę w Kuxortal. Całe zajście wyglądałoby tak, jakby stado zorsali spotkało się ze stadem szczurów na otwartym terenie, bez dziur, do których mogłyby uciec.

— Zaczynasz rozumieć? Tak, przy odpowiedniej ambicji, pazerności, żądzy władzy...

— Myślisz o Lordzie Arfellenie! — Było to bardziej stwierdzenie, niż pytanie. — Ludzie zaczęli gadać o nim za plecami. Rzeczny handlarz Yu-i-pul przywiózł w ostatnim sezonie taki ładunek jedwabiu, że zadziwił większość miasta. Nie wystawił go zgodnie ze zwyczajem na aukcję, lecz zatrzymał, a przechowywał w magazynie Gathara. (To mogła być ważna wiadomość o dużym znaczeniu.) — Ależ tak... opowieść Basltera... Opowieść Basltera!

To było jak układanie w całość kawałków starej rzeźby i natknięcie się nagle na fragment, który dopasowany we właściwym miejscu nadawał znaczenie całemu znalezisku.

— O co chodzi z tym Baslterem? Simsa zmarszczyła nos.

— Baslter jest wielkim gadułą, więc ludzie się go boją. Nie potrafi dochować tajemnicy, rozpowiada o wszystkim, co wie i co mu ślina na język przyniesie. Niewielu jednak go słucha, nie wiedząc, iż w jego paplaninie jest zawsze ziarno prawdy. Twierdził, że jeden ze strażników Yu-i-pula upił się do nieprzytomności zepsutym winem w Shorehawl. Opowiadał, że sprawy się skomplikowały, gdyż Yu-i-pul wiedział, iż aukcja nie będzie korzystna ze względu na jakieś machlojki i dlatego

poczeka osobiście na przyłot kosmicznych handlarzy. Tak też zrobił, choć całe miasto wiedziało, że Lord Arfellen jest wściekły. Podobno zabił człowieka, który przyniósł mu wiadomość w tej sprawie. Ładunek, pomimo protestów Lordów Gildii, był do przyłotu statku w magazynie Gathara, a po transakcji Yu-i-pul zabrał do domu więcej towarów, niż jakikolwiek flisak holował kiedykolwiek w górę rzeki. Było tego pięć barek, a jego ludzie byli uzbrojeni w doskonałe szpady i włócznie, które kazał dla nich ukuć pod nadzorem własnych kapitanów. To było sezon temu. Tylko że tego, co zrobił Yu-i-pul, może spróbować kolejny rzeczny handlarz. Jeśli pójdzie tak dalej, aukcje staną się coraz mniej popularne, a Lordowie Gildii odczują dotkliwe straty na własnej skórze.

Mówiła o sprawach, które nic nie znaczyły dla Grzebaczy. Nie znaczyłyby też nic dla niej, gdyby nie fakt, że towar Yu-i-pula był pierwszym wyjątkowo delikatnym ładunkiem, jaki trafił do magazynu Gathara, a to zmusiło go do wynajęcia od niej zorsali (jedwabny materiał posiadał smak i zapach przyciągający szczury, tak jak słodka żywica potrafiła przyciągnąć insekty w Ziemiankach), zorsale zaś potrafiły odpowiednio rozprawić się ze szkodnikami.

— Czy transporty płynące w dół rzeki były kiedykolwiek napadane?

— Próbowano tego wielokrotnie. Zdarzało się, że przechodziły w inne ręce, a ci, którzy przybywali z nimi do Kuxortal obmywali w strumieniu ostrza umazane we krwi handlarzy. Lecz handlarze z rzecznych szlaków nie są słabeuszami. Tacy jak Yu-i-pul mają ludzi zaprzysiężonych sobie i swojej rodzinie, którzy służą im z ojca na syna. Ludzie ci są finansowo zaangażowani w sprzedaż, więc broniąc ładunku walczą częściowo również o własny zysk. W minionych sezonach Yu-i-pul odparł kilka ataków. Teraz już znają go i jego ludzi na tyle dobrze, że pozwalają jego proporcjom z Czerwonym i Złotym Wężem przepływać wszystkie przewężenia bez zacepki. Dlatego mógł nie zgodzić się na aukcję. Gildia nie chciała walki wzdłuż nabrzeży, a tego nie dałoby się uniknąć, gdybyś zagroził jednemu rzecznemu handlarzowi w mieście. Wszyscy pozostali natychmiast odpowiedzieliby na dźwięk jego wzywającego do wojny rogu, nawet jeśli następnego dnia mieliby go zadźgać na śmierć w jakichś własnych, wewnątrzklanowych zatargach.

— A więc to tak wygląda — przybysz opadł na chodnik, kładąc sobie broń na kolanach. Nie patrzył już na nią, lecz na zieleń za jej plecami.

Choć niesnaski i zatargi w górnej części miasta były jej zupełnie obojętne, to jednak im więcej Simsa mówiła, tym bardziej jej myśli przeskakiwały z jednego

znanego faktu na nowe przypuszczenie. Podobnie jak on odprężyła się i usiadła, popychając lekko transporter, który odpłynął kawałek dalej i nie stanowił już między nimi bariery.

— Uważasz zatem, że gdyby Lord Arfellen wiedział, że można tu coś takiego — wskazała na broń — znaleźć, to przysłałby ludzi na poszukiwania, a potem uzbroił swoje strażę i wyekspediował w górę rzeki, żeby czekali na Yu-i-pula? Ja też tak sądzę. On nie jest człowiekiem łatwo przełykającym zniewagi, a Yu-i-pul uczynił go małym w oczach tych, którzy go znają najlepiej. Oczywiście zakładając, że opowieść Basltera była prawdziwa. Ponadto mógłby się obawiać, że twój brat natknie się przypadkiem na tę broń. A może już ją zabrał i kazał ukryć?

— Nie zdołałby ukryć tego, co tam leży. Każdy człowiek z obcej planety znajdując coś takiego ma obowiązek zameldować o tym Patrolowi. Oni przysła własną ekipę, żeby to uprzętnęła. Członkowie tej ekipy mają też za zadanie upewnić się, że nic z kosmicznego uzbrojenia nie wpadło w ręce takich ludzi jak Lord Arfellen. Nie wiem, dlaczego pierwszy statek, jaki wylądował na tych wzgórzach nie zebrał raportów o promieniowaniu. A może zebrał, ale ich nie opublikowano... — zadumał się. — Wówczas może się za tym kryć więcej, niż początkowo sądziłem.

W jego twarzy, która oczom Simsy nigdy nie wydawała się otwarta, zaszła widoczna zmiana. Usta ściągnęły się, powieki opadły maskując ogień płonący w oczach. Było w nim coś twardszego, silniejszego, zamkniętego i jeszcze bardziej zawziętego, jakby pewne wewnętrzne doznania wytyczyły mu nowy, istotniejszy cel.

— Wierzysz, że twój brat nie żyje? — spytała cicho. Nadal nie patrzył na nią.

— Zamierzam się o tym przekonać.

Nie była to przysięga przypieczętowana kroplą krwi ani wspólnym wychyleniem bratniego pucharu, jednak była pewna, że dotrzyma tych słów. Obserwując go teraz stwierdziła, że nie chciałaby być na miejscu tego, komu rzuci wyzwanie do walki.

— Sądzisz, że oni mogą tu być i że przysłał ich Lord Arfellen? Lecz skąd by o tym wiedzieli? — To pytanie uderzyło ją z nagłą siłą.

Gdyby znaleziono rozbity gwiazdny statek, lub nawet jego fragment, nie dałoby się tego zatuszować. W Kuxortal istniało zbyt duże zainteresowanie kosmitami i wszystkim, co ich dotyczyło.

— Mogli nie wiedzieć... z początku. Lecz od dawna już krążą opowieści o skarbach, jakie kryją Srogie Wzgórza. Więc kiedy mój brat, przybysz z innego świata,

przyjechał ich szukać, mogli nie uwierzyć, że pragnie znaleźć jedynie źródło staroci. Mogli nabrać podejrzeń, że chodzi o coś więcej i ruszyć za nim.

Wrodzona przebiegłość Grzebaczki kazała Simesie zaakceptować to wyjaśnienie. Naturalnie przybysz z innego świata zjawiający się, by spenetrować Srogie Wzgórza, zostałby uznany przez ludzi Gildii za osobę polującą na coś więcej, niż połamane kawałki kamienia, bez względu na to, co mogłoby być na nich wyryte. Ona sama, co prawda, przejawiała żywe zainteresowanie w tej dziedzinie wynikające z nawyków Ferwar i z faktu, że ludzie z gwiazd stanowili rynek zbytu na starocie. Nigdy jednak nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś przemierzy kosmos, a potem pustynię, szukając wyłącznie tego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Chyba że jest ofiarą jakiegoś szaleństwa.

Miała na ręku pierścień. Zacisnęła palce w pięść, wpatrując się w niewzruszoną i dumną wieżę z dachem z klejnotu. Ponadto miała jeszcze naszyjnik, którego blade kamienie spływały jak łzy płaczącego drzewa między jej piersi oraz bransoletę...

Wymacała bransoletę w kieszeni rękawa i wyjęła. W pełnym słońcu przedmiot nabrał życia. Nie lśnił, lecz promieniował równomiernym blaskiem. Jednocześnie jednym szarpnięciem rozpięła kaftan, żeby pokazać klejnoty spoczywające na ciemnej skórze.

— Tu mogą być również skarby. — Z premedytacją rzuciła bransoletę w powietrze i patrzyła, jak wyrwany z zadumy łapie ją zręcznym chwytem.

— To były najlepsze rzeczy Ferwar. Nie wierzę, by pochodziły z Kuxortal. Nie mają w sobie nic, co łączyłoby je z tym miastem. A osadzone tutaj kamienie — uniosła drugi, wąski wisiołek i przytrzymała go w słońcu — też nie przypominają żadnych przywożonych zza mór. czy z dołu rzeki. Starucha robiła interesy z ludźmi bez twarzy, którzy przychodzili i odchodzili niezauważeni. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło. Może znaleźli je właśnie ludzie pustyni, którzy jeszcze parę sezonów temu przynosili na handel swoje drobiazgi. Potem przestali przychodzić, a w ich miejsce pojawiła się opowieść o zarazie, która błyskawicznie zabija...

Zauważyła, że to zdanie zrobiło na nim ogromne wrażenie. Przestał zajmować się bransoletą, pochylił się do przodu i wpatrywał w nią szeroko otwartymi oczami, co było u niego rzadkością, a rysy napiętej twarzy emanowały zachłanną ciekawością.

— Zaraza, która błyskawicznie zabija! — powtórzył. — Znasz jakieś szczegóły?

Jej myśli ponownie wykonały gwałtowny przeskok. Zupełnie, jakby jej cały umysł potrafił od czasu do czasu wyczuć, co leżało w jego umyśle. Opuściła wisior z powrotem na piersi i machnęła ręką bez pierścienia w stronę makabrycznego strażnika.

— Chodzi ci o powietrze, które, jak mówiłeś, może zawierać truciznę w miejscach, gdzie użyto waszej broni... Zaraza!

— Tak! — Jednym płynnym ruchem stanął na nogi. Potem zwrócił się do niej i spytał natarczywie:

— Ta zaraza... Kiedy to było?

Grzebacz nie liczą czasu, nie mają ku temu powodu. Po porze suchej następowała pora deszczowa. I tak w kółko. Mówiło się, że to czy tamto wydarzyło się w roku, kiedy rzeka wezbrała i Hamel oraz jego kobieta utonęli, lub w sezonie, kiedy Złodzieje wzięli Roso jako wspinacza. To był sposób, w jaki Grzebacz zapamiętywali wydarzenia w czasie. Być może członkowie Gildii numerowali swoje lata, ale Simsa zupełnie się na tym nie znała i nie potrafiła operować ich kategoriami czasu. Próbowwała jednak wrócić myślami do ostatniej wizyty wychudzonego jak szkielet człowieka, który dostarczał Ferwar najwięcej i najlepszych eksponatów do jej prywatnej kolekcji.

Był rzeczonym handlarzem najniższej kategorii, zarabiającym w trakcie jednego rejsu, i to przy dużym szczęściu, ledwie tyle, by wykarmić siebie i dwóch chłopaków stanowiących jego załogę, równie wygłodzonych i chudych jak on sam. Zaczęła liczyć na palcach.

— Dwanaście sezonów temu... Przyszedł Thrag. Znalazł nad rzeką konającego człowieka pustyni. Począł, aż umrze, a potem zabrał wszystko, co tamten miał. Ale — zmarszczyła brwi — Starucha stwierdziła, że to jest przeklęte. Zapłaciła mu, lecz zabroniła przynosić więcej. Zawinęła to w kupę szmat i kazała mi pogrzebać pod kamieniami. To był jakiś słoik. Pamiętam, jak spytała Thraga na co umarł człowiek z pustyni, a później była zła i powiedziała mu, że to był diabeł, który niewątpliwie dotknął również jego. Thrag uciekł. I rzeczywiście nigdy więcej nie przyszedł.

Starusze nie zadawało się pytań. Simsa nauczyła się tego i przestrzegła jak pierwszej i najważniejszej reguły w swoim życiu tak wcześnie, że nie pamiętała czasów, gdy jej jeszcze nie znała. Kiedy teraz myślała o tym, co się wówczas zdarzyło, wszystko zaczynało się układać w jedną logiczną całość. Thrag, martwy

mężczyzna z pustyni, fakt, że w następnych sezonach ludzie komentowali zniknięcie mieszkańców pustyni...

— Dwanaście sezonów temu, to sześć waszych lat — Thom ponownie wypowiadał na głos własne myśli. — Możliwe, że ci ludzie z pustym natknęli się na radioaktywny wrak, splądrowali go...

— Czyżby to była zaraza z rodzaju tych, które dawniej zabijały twój naród? Ale przecież tu nie było wojny.

— Nie było wojny takiej, jak wy ją rozumiecie, to prawda. Lecz dwóch wrogów, dwa polujące na siebie nawzajem statki, na tyle oszalałe ze strachu lub żądne zemsty, by stracić ostatnią broń... Katastrofa... To pasuje! Na Mędrców Dziewiątego Kręgu, to naprawdę pasuje!

— Przecież mówiłeś, że to, co znalazłeś, nie było kosmicznym statkiem — przypomniała mu.

— Nie, ale mogło pochodzić z takiego statku. Może ci, co przeżyli i byli ścigani wykorzystali ten pojazd do ucieczki.

— A ci, co to za jedni? — Wskazała kolejno na strażników. — I dlaczego tak stoją? Myślałam, że to straż. Skoro umarli od zarazy albo pozabijali się nawzajem, to dlaczego ciągle tu sterczą, po jednym z każdej strony drogi? Tak samo ustawiają się strażnicy Gildii przed drzwiami, którymi mogą wchodzić tylko wysoko postawieni.

Thom odwrócił głowę i przyjrzał się najpierw jednej, potem drugiej nieruchomej, zakutej niby w zbroję postaci.

— Masz rację — powiedział w zadumie. — Sposób, w jaki ich ustawiono, czy to w charakterze strażników czy z innego powodu, nie jest przypadkowy.

— Czy oni... — przypomniawszy sobie, co zobaczyła wewnątrz podobnego do bańki hełmu, przełknęła z trudem ślinę, po czym kontynuowała z całym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć. — Czy oni należą do twojego ludu? Czy potrafisz to rozpoznać?

— To nie są ludzie z mojego świata — odpowiedział Thom zdecydowanie. — Ci tutaj byli wojownikami. Po zagładzie, jaka dotknęła mojego narodu nasz styl życia uległ zmianie. Poszliśmy inną drogą, a ta nie prowadziła do wojny. Jeśli zabijemy... — zobaczyła, że drży i na jej oczach jego twarz zrobiła się natychmiast posepna, jakby starsza. — Jeśli odbierzemy życie świadomie i bez oporów, za wyjątkiem ratowania siebie lub innych, wówczas zaczyna w nas działać coś, co kontroluje nasze umysły i umieramy. Nie jesteśmy już ludźmi!

Nie była pewna, co miał na myśli, ale wiedziała, że to okropne. Wiedziała też, że nie powinna mu pozwolić na roztrząsanie tego, co nieopatrznie sprowokowała swoim pytaniem.

— A zatem to nie twoi współpracownicy. Lecz znasz inne światy. Czy potrafisz powiedzieć, z którego pochodzą?

— Dowiem się! — Pochylił się w przód i odłożył broń na transporter. Siedzące na nim niczym na grzędzie zorsale zaczęły się od niej odsuwać, jakby wyczuwały, że to przedmiot ciemnej mocy.

— Tak, naprawdę zamierzam się dowiedzieć!

Rozdział jedenasty

— A więc — Simsa też wstała — gdzie zaczynamy szukać? Zorsale nam pomogą. Potrafią wykryć żyjące obiekty. A martwi ludzie zakuci w martwy metal nam nie zaszkodzą.

Dwaj skrzydlaci łowcy już oderwali się od transportera i pływali wolno w powietrzu nad zielonym gąszczem. Simsa podejrzewała, że zorsale zgłodniały i ruszyły na poszukiwanie żeru, pomimo pełni dnia. Możliwe, że dzięki skupisku gęstej zieleni upał i blask słońca nie były tu tak intensywne. A może, podobnie jak w jej przypadku, relaks w sadzawce tak zregenerował ich siły, że mogły znieść o wiele więcej dziennego światła.

— My? — zaczął Thom i już zgadywała, że zamierza wykluczyć ją ze swych dalszych poczynań. Jednak Simsa nie miała zamiaru ani pozostać tutaj pod okiem trupów niewiadomego pochodzenia, ani siedzieć beczynn timer w żadnym innym wyznaczonym przez przybysza miejscu, podczas gdy on sam ruszy na poszukiwania.

— My! — powtórzyła stanowczo. — Mówiłeś, że znalazłeś zniszczony próbnik. Nawet jeśli nie jest przeznaczony do gwiazdnych podróży, to na pewno pochodzi z innego świata. Jeśli przyleciał z powietrza, to jak można wysledzić jego macierzysty port? Szansę na to są równie nikłe, jak szansę na wysledzenie morskich statków nie pozostawiających śladów na falach.

Kiedy nie odpowiedział, poczuła mały przebłysk triumfu.

Niech on sobie nie myśli, że jest jedynym, który potrafi logicznie rozumować i trafnie argumentować.

— Wygląda na to, że sposób, w jaki ich ustawiono — raz jeszcze wskazała gestem ukrytych w metalowych kokonach nieboszczyków — ma znaczenie. Oni z całą pewnością nie są tak starzy, jak to miejsce. Myślę, że opuszczono je na długo przedtem, zanim nadlecieli z nieba. To jest... — Po raz pierwszy zepchnęła martwych nieznajomych do zakamarków umysłu, a pomyślała o twarzach pedantycznie wyrzeźbionych wzdłuż ścian. Szczególnie o tej, która wywarła na niej tak niesamowite wrażenie i pozostawiła uczucie przerażenia, czy bliżej nieokreślonego zbrukania.

— To jest — kontynuowała po chwili wahania wskazując na pierścień — miejsce z tego świata. A sadzawka... — ledwie świadoma tego, co robi, dotknęła

pierścienia i potarła kamień, tak bardzo przypominający kolor srebrnej „wody”. Mój lud, my z Ziemianek, nie przysięgamy na żadnych bogów ani moce za wyjątkiem Fortuny. Ponieważ prawdą jest, jak sędzę, że nie ma ani bogów, ani mocy przejmujących się nami i naszym losem. A jednak ta sadzawka daje życie. — Mówiła, jakby coś podpowiadało jej słowa, mimo to wypowiadając je miała świadomość, że to co mówi, jest prawdą. — Nie wiem, kim byli ludzie ze Srogich Wzgórz. Jednakże jest oczywiste, że mieli swoje tajemnice, równie zabójcze dla nas, jak śmiertelne płomienie dla tych z twojej krwi. Jak się czułeś po wyjściu z wody?

— Niewątpliwie emanuje pewną formą promieniowania — ponownie posłużył się jednym ze swych naukowych terminów. — Niestety taką, której nie mogę zmierzyć. Jeśli chodzi o moje samopoczucie, czułem się... odnowiony. Tak, to chyba właściwe słowo. — Trzymał bransoletę w jednym ręku, jak przedmiot małej wagi lub zupełnie bez znaczenia. Nagle zauważyła, jak wsuwa w nią dłoń, ściskając mocno palce, żeby przeszła. Włożywszy ją, stał wpatrując się w metalową opaskę, która pomarszczyła nieco rękaw kosmicznego ubrania.

— Dlaczego to zrobiłem? — Wydawał się kompletnie otumaniony, zdumiony własnym postępowaniem. Zupełnie jakby wkładając bransoletę działał pod wpływem czyjegoś podszeptu, wykonując zadanie, którego absolutnie nie rozumiał. — Wiesz, czuję się w niej dziwnie dobrze, ale... — wyciągnął przyozdobioną rękę po broń, lecz natychmiast z okrzykiem bólu i szoku szarpnął ją w tył.

— Ja... to zabrania mi ją wziąć! To jakieś szaleństwo! Słońce.. .Musiałem dostać udaru słonecznego...

Simsa uśmiechnęła się do siebie. Okazało się, że zaskakiwanie magicznymi sztuczkami to nie tylko jego specjalność. Oto również ona jest w posiadaniu czegoś, co zdumiało i przeraziło tego mądralę rozprawiającego o zniszczeniu światów oraz o wojnach o takim zasięgu, że ogarniały całe legiony gwiazd.

— Być może istnieje także broń, której działania nie rozumieją ludzie twojego pokroju — dotknęła naszyjnika na piersiach, po czym okręciła pierścień wystawiając go na pełne słońce. — Polujesz tu, przybyszu z gwiazd, na jedną tajemnicę, a mogą być jeszcze inne.

W dalszym ciągu gapił się na bransoletę, choć zaniechał bezskutecznych wysiłków, by się jej pozbyć. Nie próbował też sięgać ponownie po broń. Simsa wyprostowała rękę, żeby Zass mogła wgramolić się po niej jak po kładce na swoje zwykłe miejsce na jej ramieniu. Wiatr wzmagął się, szeleszcząc gałęziami i liśćmi.

Dziewczyna nie mogła zrozumieć, w jaki sposób podmuchy lekkiej bryzy wdzierają się w ten nieprzenikniony, zielony gąszcz, by niepokoić drzemiące w nim cienie. Zerknęła na niebo. Na północy gromadziły się chmury. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek ujrzy taki widok nad pustynią, w dodatku na samym początku pory deszczowej. Chociaż z drugiej strony narastająca ciemność nie była niespodzianką dla kogoś, kto znał kaprysy tej pory roku.

Odwróciła się twarzą do strażnika strzegącego drugiego końca chodnika.

— Tam już pada — pokazała na chmury. — Co prawda burze o tej porze rzadko się zdarzają, ale dobrze będzie, jeśli poszukamy schronienia. Mówisz, że w uszkodzonym pojeździe czyha niebezpieczeństwo, więc może lepiej chodźmy tą drugą drogą.

Nagle uderzył w nich gwałtowny podmuch wiatru, którego powiew przywiął krzyczące ze złości, a prawdopodobnie również ze strachu, zorsale. Zwierzęta uczepiły się sznurów na transporterze i szczerząc zęby demonstrowały, co myślą o takim wybryku natury.

Dziewczyna schyliła się i złapała linę holowniczą. Dotychczas szła zawsze za transporterem, więc teraz ciągnięcie go i odczuwanie, że przedmiot reaguje, były zupełnie nowym doświadczeniem. Z zapasem sił wyniesionych z sadzawki bez trudu dawała sobie radę, a fakt, że obejmuje przewodnictwo w podróży, sprawiał jej niekłamaną przyjemność.

Nie było jej jednak dane nacieszyć się tym prowadzeniem, ponieważ Thom dopadł do niej dwoma susami i wyrwał jej linę. Widocznie otrząsnął się z oszołomienia i głębokiej zadumy, w jaką wprawiło go działanie bransolety. Wszystko wróciło do normy i teraz ruszył na czele miniaturowej karawany, z twarzą przewodnika naznaczoną dawnym autorytetem i pewnością siebie.

Drugi podmuch powietrza cisnął im w twarze i oczy piaskiem, niosąc kawałki gałęzi i postrzępione liście. Odnosiło się wrażenie, że coś w tej otwartej przestrzeni dawno wymarłej twierdzy czy miasta przyciąga kumulującą się siłę burzy. Simsa, mając w pamięci opowieści handlarzy o skałach, szczytach, nawet odsłoniętych rafach morskich, które naprawdę przyciągały furię nawałnicy, pragnęła się czym prędzej ukryć.

Zakuty w metal nieboszczyk wciąż tarasował wejście. Przestrzeń po jego bokach była zbyt wąska dla transportera. Thom nie zastanawiał się długo. Rzucił linę holowniczą z powrotem w ręce dziewczyny, kilkoma zdecydowanymi krokami

podszedł do figury i chwycił ją za ramiona. Simsa zauważyła z satysfakcją, że wyęzając siły (a najwyraźniej potrzebował wszystkich sił, gdyż mięśnie w widoczny sposób napinały się pod obcisłym uniformem) i starając się przesunąć strażnika na jedną stronę, odwraca wzrok od tego, co kryło się za przezroczystym fragmentem hełmu.

Czy to z powodu nierówności w podłożu czy wskutek nieostrożnego ruchu Thoma, postać zakołysała się gwałtownie. Simsa krzyknęła, a echo jej wrzasku zagłuszyło pohukiwania zorsali. Thom odskoczył w bok. W tej samej chwili nieżywy strażnik runął na chodnik. Leżał równie sztywny i nieugięty w nowej pozycji, jak wówczas, kiedy bronił wstępu do ciągnącego się za nim korytarza.

Simsa ruszyła, szarpiąc energicznie transporter. Przesunęła się bokiem wzdłuż przewróconej figury, starając się zachować jak największą odległość. Thom stał nad plecami strażnika z takim wyrazem twarzy, jakby oczekiwał, że sztywno zakute ramiona uniosą się, nogi poruszą, a nieboszczyk powstanie i rzuci się do walki.

Spód transportera zazgrzytał o bańkowaty hełm i trącił przybysza z innego świata. Ten drgnął i jednym wielkim krokiem przeszedł nad leżącym, jakby się lękał, że trup wyciągnie rękę i chwyci za jeden z jego zdartych butów. Po chwili oboje mieli go już za sobą, oddalając się pospiesznie od blednącego w szybkim tempie dziennego światła i skłębionych burzowych chmur w głąb korytarza.

Chociaż w przejściu robiło się z każdym krokiem mroczniej, Thom nie zapalił lampy przy pasku, a Simsa nie chciała prośbą o to zakłócać panującej wokół ciszy. Owa cisza zapadła zaraz po tym, jak minęli martwego strażnika i zorsale przestały krzyczeć.

Pod stopami leżał aksamitny pokład nagromadzonego latami kurzu, równie miękki jak srebrzyste piaski okalające sadzawkę. Idąc spoglądała co jakiś czas pod nogi, lecz było już zbyt ciemno, by dostrzec, czy odbiły się w nim ślady kogoś, kto mógł przechodzić tędy przed nimi.

Z zewnątrz dochodził ryk rozszalałej na dobre burzy. Jej dźwięki przypominały obrażony krzyk polującego zwierza, któremu szczęśliwie umknęli z łap. To przerażające echo podążało za nimi korytarzem. Widać też było błyskawice — pioruny zostały spuszczone z uwięzi.

Thom nie zwracał na to uwagi. Szedł teraz obok Simsy, z ręką na linii holowniczej, tuż przy jej dłoni, pozwalając dziewczynie dzielić obowiązek. Po każdym błysku pioruna Zass płaszczyła się na ramieniu Simsy, sycząc do jej ucha.

Teraz w korytarzu zrobiło się nieco jaśniej, ponieważ z przodu pojawił się bliżej nieokreślony blask. W świetle dwóch następujących po sobie błyskawic Simsa dostrzegła przez ułamek sekundy coś, co postawiło ją w stan gotowości. Szarpnęła się gwałtownie w bok, tylko po to, by uzmysłwić sobie, że są to prawie naturalnych rozmiarów postacie, umieszczone w regularnych odstępach przy ścianie. Jej pierwszą myślą było, że to kolejne trupy.

Możliwe, że identyczna myśl wyrwała z zadumy Thoma, gdyż zapalił na moment światło, które ujawniło, że nie są to figury z metalu, jak tamci strażnicy, tylko z kamienia. Niemniej jednak miały ludzkie kształty, a Simsa po ostatnich przejściach miała zdecydowanie dość podobnych widoków.

Skupiła więc wzrok na jaśniejszym punkcie z przodu, stanowiącym zapowiedź większego światła. Niewątpliwie Thom miał istotny powód, że tak oszczędnie korzystał z lampy. Być może jej moc również się wyczerpywała, tak jak w pudełku unoszącym transporter, więc należałoby ją odnowić. Zresztą wspominał coś o tym wcześniej.

W miarę, jak szli, w korytarzu robiło się coraz widniej, więc po pewnym czasie znaleźli się w strefie szarości. Przed nimi znajdowało się coś na kształt ogromnej komnaty. Kiedy robili pierwszy krok, aby do niej wejść, Thom krzyknął i pociągnął Simsę z powrotem do sklepionego przejścia. Na sam środek otwierającej się przed nimi przestrzeni spadał z góry ogromny, kamienny blok. uderzył w ziemię z taką siłą, że rozpadł się na kawałki, siejąc we wszystkie strony odpryskującymi odłamkami.

Simsa spojrzała w górę. Znajdowali się pod dachem z ziejącą w nim niesymetryczną dziurą, przez którą prześwitywała ciemna, burzowa noc. W półmroku dostrzegła inne fragmenty sklepienia, które musiały zawalić się wcześniej. Thom pociągnął ją w lewo, gdzie strop zdawał się być solidniejszy. Mimo wszystko nie czuła się bezpieczna i idąc przyciskała się całym ciałem do ściany. Zresztą prowadzący ją wciąż Thom tak na nią napierał, że nie miała wyboru.

Miejsce to nie było surową podziemną jaskinią. Od centralnego, a jednocześnie najbardziej niebezpiecznego punktu, oddzielał ich szereg umieszczonych w regularnym porządku kolumn. Każda z nich była wyrzeźbiona albo na kształt postaci, albo rośliny o grubym pniu — ni to winorośli, ni drzewa. Wszystkie były wysokie, wyższe nawet od przybysza z innego świata. W Simsie obudziła się ciekawość. Chętnie przyjrzałaby się im z bliska, lecz jej towarzysz nie

chciał tracić czasu i popędzał ją uściskiem nadal przytrzymującej jej ramię dłoni.

W tworzącej lewy bok tego krytego przejścia ścianie nie było prześwitów ani drzwi. Na tym odcinku pokrywały ją za to głębokie rzeźbienia. Tym razem nie były to łypiące okiem twarze, a raczej linie jakiegoś gigantycznego zapisu, pozostawionego jako zagadka dla tych, których z budowniczymi nie łączyły więzy krwi ani pamięć.

Nie potrafiła odgadnąć, jak daleko zaszli na poły biegnąc wzdłuż tej ściany, gdy nagle tuż przed nimi buchnęło światło. Strzeliło w górę, po czym rozprzestrzeniło się, łapiąc oboje w swój promień. Nie było już co prawda łoskotu spadających skał, jednak odgłosy burzy wciąż odbijały się głośnie echem. Dlatego okrzyk Thoma był ledwie słyszalnym dźwiękiem.

Puścił zarówno ją, jak i transporter, obrócił się na pięcie i ręką bez bransolety chwycił niezdarnie broń. Jednym susem znalazł się przed nią, zgiętym ramieniem przyciskając koniec broni do boku, podczas gdy palce dotykały czegoś, co wystawało mniej więcej w jednej trzeciej jej długości.

Blask z przodu nie przybladł ani nie zniknął, ciągle był niemal tak jaskrawy jak słońce. Simsa początkowo zasłoniła bezwiednie oczy, lecz kiedy jej wzrok przywyknął, najpierw zerknęła przez palce, a później całkiem opuściła rękę.

To nie był ogień, a raczej płonąca równomiernym blaskiem lampa. Obóz? Czyj? Żadne siły Gildii ani znani jej handlarze nie dysponowali tak silnym oświetleniem.

A zatem może zostawili ją na straży ludzie, którzy teraz są już martwi?

Pamiętając nader dobrze opowieści Thoma o zabójczym ogniu, przycisnęła do siebie dwa młode zorsale. Wcisnęły łebki między ramiona i uniosły trochę skrzydła, zastaniając się nimi jak tarczą przed rażącym blaskiem. Słyszała ich przepętnione lękiem i cierpieniem pochrząkiwania. Ponieważ jej ramię było zajęte przez siedzącą na stałym miejscu Zass, młode przepychały się na przedramieniu (obydwa były tak ciężkie, że musiała oprzeć rękę na biodrze). Objuczona zwierzakami Simsa oparła się plecami o ścianę, zastanawiając się, czy ma w sobie jeszcze tyle odwagi, żeby odwrócić się i biec. Zdawała sobie sprawę, iż jest widoczna jak na patelni, całkowicie wystawiona na cel. Wiedziała też, że wszelka broń ludzi z innego świata ma przynajmniej taki zasięg, jak łuk, a od źródła światła dzieliła ją nie większa odległość niż przebywa strzała.

Thom stał w lekkim rozkroku, zwrócony twarzą wprost do tej „latarni”. Zawołał coś, odczekał, zawołał ponownie — w sumie trzy razy. Za każdym razem

jego głos brzmiał inaczej. Simsa zgadywała, iż posługiwał się różnymi językami.

Jedyną odpowiedzią był nieustający blask światła. Tak raził w oczy, że nie była w stanie dostrzec jego źródła. Thom podniósł rękę, na której lśniła bransoleta i gestem nakazał jej zostać na miejscu. Sam, w oczywistym zamiarze, zaczął pewnie zmierzać w kierunku światła.

Oddech Simsy stał się urywany, jak po forsownym biegu w wyścigu. Oczekiwała ataku, niesamowitego i straszliwego wydarzenia, które go powali. Nie wierzyła, by byli tam przyjaciele.

Lecz nic się nie działo. Żadnych wojennych strzał przecinających z alarmującym świstem powietrze, żadnego bluzgającego strumieniami obcoplanetarnego ognia. Thom zwyczajnie szedł, jak niegdyś na pustyni, a światło było tamtym okrutnym żarem słońca.

Widziała go wyraźnie, choć tylko od tyłu. Ten człowiek wręcz wystawiał się na śmierć. Potem odwrócił się nieco od świetlistej kolumny, minął ją bokiem i... zniknął. Strawiony przez ogień?

Przytulone do niej zorsale ciągle popłakiwały, nie wykazując najmniejszej ochoty do latania. Czy ze względu na tę jasność? A może wyczuwały większe zagrożenie? Ich czułki były ciasno zrolowane przy małych czaszkach, a wielkie oczy zamknięte.

Później na jasnym tle ponownie pojawił się ciemny kształt, którym mógł być tylko Thom. W każdym razie bardzo chciała, żeby to był on. W międzyczasie intensywność samego światła została zredukowana — zmniejszył się jego promień i nie było już tak jaskrawe. Zobaczyła, że Thom przywołuje ją gestem ręki. Rozumiała, że musi mu zaufać, podniosła więc linę transportera, pociągnęła, żeby nadać mu bieg i ruszyła posłusznie na jego wezwanie.

Nim dotarła do celu, światło zmałało do rozmiarów ogniska rozpalonego w chłodną noc pod koniec pory deszczowej. Teraz mogła się przyjrzeć otoczeniu. Było to coś w rodzaju ufortyfikowanego obozu — zakładając, że wszystkie zwały kamieni zostały ściągnięte w charakterze murów obronnych.

Pod tymi „murami” ustawiono sterty pojemników i skrzyń. Niektóre były dokładnie takie same, jak te, które rozładowywano z tratw handlarzy na rzece. Pozostałe były z metalu — z całą pewnością pochodziły z innego świata.

Natomiast źródłem światła okazał się cylinder umieszczony na metalowej płycie pośrodku obozowiska. Simsa rozejrzała się pospiesznie. Gdzie są ci, którzy ten

blask roznieci? Niemal spodziewała się zobaczyć maszerujące w jej kierunku umundurowane ciała — żywych przybyszów z innego świata. Martwi ludzie — powiedziała stanowczo — nie zakładają obozowisk. Nie zakładają!

Tylko, że nie było tu nikogo prócz Thoma. A on nie zwracał już na nią uwagi. Klęczał przy jednym z kosmicznych pojemników, o wąskim i wygiętym kształcie. Simsa pomyślała, że został tak specjalnie wymodelowany, żeby pasował do ludzkich pleców, ponieważ po wewnętrznej stronie zwiisały rzemienne paski. Thom podniósł pokrywę i grzebał w środku. Najpierw wyjął dwa małe pudełka wielkości jego dłoni. Potem pojawiło się większe, które w trakcie wyciągania pacnęło o ziemię i otworzyło się. Wypadły z niego jakieś bryłki, z których jedna poturlała się ku Simsie.

Usadziła zorsale na skalnej barykadzie, po czym schyliła się, aby podnieść ten wędrujący kwadrat i... zamarła, nim jeszcze dotknęły go jej palce. Odsunęła gwałtownie rękę, przypominając sobie stare, na poły zapomniane opowieści, które teraz odżyły całkowicie w jej pamięci.

Mówiły one o złapanych i uwięzionych w przedmiotach duszach mężczyzn i kobiet, które ktoś inny uczynił swoją własnością i wykorzystywał je potem do przywoływania, do dręczenia, do... zabijania! Ferwar śmiała się z takich opowiastek. Lecz Ferwar — nie będąc jeszcze Staruchą, widziała coś takiego. Ponieważ to, co miała teraz przed oczyma, musiało być źródłem wszystkich tych opowieści. Patrzyła w dół... na siebie! Uwięziona w przezroczystej kostce figura wyglądała jak żywa, a Simsa nie mogła oderwać od niej wzroku.

Tak musiała wyglądać, kiedy wyczołgała się z sadzawki na srebrny piasek, zanim ponownie wciągnęła na siebie brudne, odrażające łachmany. Czarna skóra więźniarki zamkniętej w pudełku okrywała dokładnie takie same wypukłości i wklęsłości jak skóra Simsy. Gdyby mogła przebić palcem tę przezroczystą powłokę, z pewnością dotknęłaby prawdziwego ciała. Te srebrne włosy skręcone w loki, jakby właśnie rozwiały je deszczowy wiatr. Końce leżały miękko na ramionach, a jedno pasmo zakrywało małą, dumnie sterczącą pierś. Zamiast ordynarnego ubrania, na zaokrąglonych biodrach spoczywał łańcuch, tak jasnosrebrny jak włosy. Zwiisały z niego frędzle z nanizanych na sznureczki szlachetnych kamieni, przetykanych srebrnymi kulkami. Kamienie były identyczne jak te z naszyjnika Simsy.

Mała głowa była dumnie uniesiona. To właśnie było główną cechą tej drugiej Simsy — tej zamkniętej w przejrzystym sześcianiku — ogromna duma. Żywa dziewczyna wzięła głęboki oddech. Włosy na tej wysoko uniesionej głowie

przepasywał drugi łańcuch z klejnotami. Był on nałożony w taki sposób, że na czole spoczywał krąg z bladych, zielonych kamieni otoczonych przez inny kamień, nieprzezroczysty, identyczny jak klejnot z pierścienia.

Jedna z rąk wizerunku dzierżyła małą różdżkę, może berło, wyglądającą na wykutą z jednego ogromnego, białoszarego kamienia. Była zwieńczona symbolem, który Simsa już kiedyś widziała — dwoma wygiętymi rogami podtrzymującymi kulę. Symbol ten przewijał się na wielu drobiazgach, nad którymi ślęczała Starucha.

To była ona. Lecz przecież ona nigdy nie nosiła takiej biżuterii, nie trzymała tak wysoko głowy, nie była tak nieustraszenie, triumfująco dumna! Czyżby to była ta druga ona, która według opowieści ludzi mieszkała w ciele, a gdy życie ulatywało na zawsze, wychodziła z niego nie wiadomo dokąd? Nie, to niemożliwe. Ostatecznie ona jest tutaj, żyje. Jest tą samą Simsą, jaką była zawsze, jaką się znała. A mimo to jest jeszcze ta druga, która również jest nią!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przyklęknęła, pochyliła się i złożyła dłonie na bokach tego zdumiewającego przedmiotu. Ciągle zszokowana, wlepiła weń wzrok.

Nie zauważyła nawet obecności Thoma. Uświadomiła ją sobie dopiero wtedy, kiedy jego cień padł na drugą Simsę, na wpół ją przesłaniając. Potem spojrzała w górę i napotkała jego oczy. Przez chwilę spoczywały na niej, potem na tej drugiej.

Gapił się tak długo na uwięzioną w kostce kobietę, że Simsa poczuła przenikliwy chłód. On wiedział — bez jej pytań. Również bez jego odpowiedzi rozumiała, że zna prawdę o tym przedmiocie, o tym, co on oznacza i... co może zrobić. Tak bardzo pragnęła unieść tę bryłę, ukryć ją przed jego oczyma, schować tę drugą siebie przed jego wiedzą... Lecz na to było za późno.

Teraz także on przyklękął, lecz nie zamierzał jej tego odebrać. Czyżby istniała szansa, że pozwoli jej to zatrzymać, pozwoli udowodnić, że sama potrafi zapewnić bezpieczeństwo tej drugiej sobie?

— To ja... ja! — Nie potrafiła dłużej powstrzymać słów cisnących się na usta. — Dlaczego to ja?

Podniosła oczy, ledwie ośmielając się oderwać wzrok od swego znaleziska, w obawie, by go nie zabrał. Był wystarczająco silny, żeby uczynić to swoją własnością. Nie pomogłyby jej żadne środki obronne ani nawet zorsale. Ponadto wiedział, co to jest i jak...

Nie umiała rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Widywała u niego zaskoczenie,

widywała gniew, widywała skrajne wyczerpanie. Lecz teraz to był inny Thom. Czy powinna się go bać?

— To — przemówił powoli i łagodnie, jakby nie chciał jej przestraszyć — to jest trójwymiarowa fotografia. Inaczej zdjęcie. Zrobił ją mój brat.

— Fotografia? — powtórzyła. Jego brat... gdzie? Rozejrzała się dookoła bliska obłądu.

— Pamiętasz te posągi przy ścianach, te głowy? To podobny posąg. Mój brat gdzieś go zobaczył i w taki sposób skopiował.

— Mnie! — nie ustępowała.

— Nie. nie ciebie. Lecz najwyraźniej kogoś z twojej rasy, z twojego ludu. Osobę, która mogła mieć udział w spółdzeniu ciebie. Zobacz, powiedziałbym, że ona jest trochę starsza... i spójrz tam, czy masz coś takiego na ciele? — Nie dotknął sześcianu z drugą Simsą, skierował jedynie czubek palca na gładką skórę, nieco powyżej frędzli z klejnotów opadających między smukłe, długie nogi.

Simsa wyteżyła wzrok. Tak, coś tam było... Blizna, ledwie widoczna, choć wystająca maleńką pręgą ponad resztę skóry. Dziwne, ale ta blizna miała taki sam kształt, jak symbol wieńczący berło — dwa rogi strzegące kuli.

— Ten znak — wyjaśnił jej — to naprawdę X-Arth — chociaż kobieta, która go nosi... nosiła... nie jest z rasy Arth. Widziałem zapiski na ten temat. Być może była Prekursorką, jedną z tych, którzy zniknęli ze wszystkich światów i z kosmosu na długo przedtem, zanim zaczął istnieć nasz własny rodzaj. To bardzo stary znak, nawet na Arth, ponieważ łączy dwie siły, słońca i księżyca.

— Mówisz, że ona odeszła! — przerwała mu pośpiesznie.

— Lecz ja jestem tu. Jeśli ona nie jest mną, to jest krewną, jak sam stwierdziłeś. Twój brat... On może mi powiedzieć... Możemy odnaleźć...

Wyrzucając z siebie potok słów, bezwiednie wyciągnęła ręce i złapała go za ramiona, a nawet usiłowała nim potrząsać, jakby to miało jej pomóc w uświadomieniu mu, jak desperacko tego pragnie.

Teraz wyraz jego twarzy faktycznie się zmienił. Nie było w niej już tej dziwnej łagodności, z jaką przez krótki czas się do niej odnosił. Rysy na powrót stężyły, oczy zwężyły się i przestały ją dostrzegać.

— Mój brat jest... — przez długą chwilę jego usta nie poruszyły się. Potem wywinął się z jej uścisku i stanął wyprostowany. — Mam podstawy sądzić, że nie żyje.

Gapiła się na niego z otwartymi ustami. Dopiero chwilę później dotarło do niej pełne znaczenie jego słów i pchnięta impulsem złapała to, co nazywał trójwymiarową fotografią. Wiedziała, że musi ją mieć. Niemal w tej samej chwili odskoczyła, po czym przypadła do jednego z gładów tworzących obmurowanie obozowiska. Czując za plecami dodający otuchy twardy kamień, znów rozejrzała się wokół siebie.

— Skąd wiesz?

Skinął w kierunku rozpakowywanego pojemnika.

— Nie zostawiłby tego tutaj. Nie zainstalowałby też pilota — teraz z kolei wykonał gest w stronę lampy, nadal dostarczającej im dziennego światła. — One pełnią funkcję przewodników. Są... trudno to wyjaśnić komuś, kto nie rozumie naszych sposobów zachowania. Krótko mówiąc, są używane, gdy ktoś wpadnie w tarapaty, do sprowadzania pomocy. Jest w nich element zbliżony składem do elementu umieszczonego w przyrządzie zawsze noszonym przez tych, którzy mogą pomóc — dotknął palcem jednego z przedmiotów na swoim pasie, zawierającym tyle cudów. — Kiedy zbliżyłem się na odpowiednią odległość, to zaświeciło jasnym promieniem, żeby mnie przyciągnąć. Tak samo przyciągałoby każdego członka naszej Służby, który zawędrowałby w te okolice. Gdyby nie szalejąca burza, usłyszelibyśmy nawet sygnał dźwiękowy, ponieważ są one tak zaprogramowane, że oprócz światła emitują również dźwięk.

— Jedynym powodem, dla którego mój brat nastawił pilota mogła być świadomość, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie zostawiłby też tego — wskazał na kontener — gdyby nie miał nadziei, że jego zawartość zostanie znaleziona przez kogoś, kto wyruszy na jego poszukiwanie.

— Wiadomość... — oswoiła się już z jego sposobem mówienia i w mig zrozumiała, co miał na myśli. — Czy przekazał ci w jakiś sposób, co to było za niebezpieczeństwo?

— Być może... — zrobił parę kroków w tył i podniósł jedno z mniejszych pudełek wyjętych z kontenera. — Jeśli to zrobił, wiadomość jest nagrana tutaj.

— Ale to... — ciągle tuliła do siebie przezroczystą kostkę.

— Czy powie ci, skąd to pochodzi? Mówisz o Arth, X-Arth... o Prekursorach, o niewiarygodnych sprawach, o których nikt nie słyszał... Wiesz tak dużo, ty z gwiazd... Powiedz mi wszystko o tej tu, która wygląda jak ja! Powiedz! — Jej głos przybrał na sile, wykrzykiwała z siebie całą tęsknotę tych lat, podczas których była tak bardzo obca, że musiała ukrywać swoją odmienność przed światem. W mieszaninie

ras ona najbardziej się wyróżniała. Znów przypomniła sobie przestrogi udzielane jej od najwcześniejszego dzieciństwa przez Ferwar, jej nalegania, by Simsa maksymalnie ukrywała swoją inność. Ileż to razy Starucha ostrzegała ją przed Lordami Gildii, którzy mogli ją pojmać właśnie dlatego, że różniła się od pozostałych? Przyjęła do wiadomości grożące jej niebezpieczeństwo i postępowała zawsze tak, jak mówiła Starucha. Bardzo długo zachowywała ciało dziecka. Prawie dwukrotnie od niej młodsze dziewczęta z Ziemianek zabierano do górnej części miasta, aby dawały rozkosz mężczyznom. Ona jednak była bezpieczna, gdyż wciąż pozostawała kościstym dzieciakiem. Dopiero kiedy wyszła z tamtej sadzawki pojęła, co znaczy być dumną z własnego ciała. Do tamtej pory była dumna jedynie ze swego sprytu.

— Jeśli się dowiem, skąd to... gdzie on to zobaczył — powiedział wolno Thom — zabiorę cię tam. O ile wyjdziemy żywi z tej przygody.

Spojrzała na Simsę w kostce. Miał rację — niezależnie od tego, jak żarliwie pragnęła prawdy o sobie, na ich drodze może czaić się śmierć. Tak czy inaczej, ten przedmiot należy do niej i patrzeć na niego dawało jej dziką radość posiadania.

Rozdział dwunasty

Choć tam, na górze, ciągle szalała burza i co najmniej jeszcze raz z hukiem oberwał się fragment stropu w zewnętrznej części tej wielkiej komnaty, Simsa siedziała zupełnie spokojnie. W jednej ręce trzymała niewielki pojemnik, który dał jej Thom, objaśnwszy, jak się z nim obchodzić. Zgodnie z jego wskazówkami odkręciła trochę górną część, odczekała chwilę i otworzyła do końca. To, co znajdowało się w środku, było tak gorące, jakby dopiero nalane z jakiegoś kotła w gospodzie. Rozkoszowała się pożywną zawartością, wybierając kawałki dla zorsali, które zgromadzone przed nią w komplecie, śledziły każdy kęs, jaki podnosiła do ust i wyciągały prosząco łapki. Jedzenie z innej planety o smaku, jakiego nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić.

Thom siedział ze skrzyżowanymi nogami i obok kolana miał identyczny pojemnik. Nie był jednak zainteresowany jedzeniem, lecz wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające z małego pudełka, które, jak powiedział, mogło zawierać wiadomość pozostawioną przez jego brata. Dźwięki nie były mową jako taką, lecz serią stuknięć, jakby ktoś popukiwał kawałkiem metalu o kamień. Kiedy to skomentowała, Thom wyjaśnił, że to tajny sposób przekazywania informacji i tylko ktoś wyszkolony może zrozumieć sens tych odgłosów. Chciała jeszcze o coś zapytać, lecz gestem zniecierpliwienia nakazał jej milczenie.

Dziewczyna wygarnęła ostatni duży kawałek jedzenia, ziewnęła i odstawiła pojemnik, a natychmiast zorsale zaczęły się kłócić o pierwszeństwo w wylizywaniu jego wnętrza. Miała ochotę pogrzebać w pozostałych skrzyniach i kontenerach, jednak z drugiej strony ogarniała ją senność i po raz pierwszy od czasu, kiedy wyszła z sadzawki, czuła się spokojna i zadowolona. Thom powiedział, że fakt, iż obóz nie został splądrowany świadczy o tym, że o ile jego brat został zabity lub pojmany, musiało się to stać poza obozem. Dlatego wierzyła, że oni także są bezpieczni — przynajmniej teraz.

Simsa przeciągnęła się i odwróciła nieco głowę, by móc się przyjrzeć liniom wzorów na ścianie. Szukała wśród nich symbolu związanego z tą drugą Simsą, lecz tutaj go nie było, przynajmniej nie w zasięgu jej wzroku. Wtem stukanie gwałtownie się urwało. Spojrzała na Thoma.

Trzymając w ręku pudełko z wiadomością siedział z nieprzeniknioną miną,

która, jak już wiedziała, oznacza iż myśli.

— Czego się dowiedziałeś? — To milczenie trwało już zbyt długo. Chciała wiedzieć. Możliwe, że wśród tych trzasków znajdowało się rozwiązanie najistotniejszej dla niej tajemnicy.

— Odkrył, że go śledzono. Znalazł coś... Arth... Prekursorka... Potem zobaczył statek. Chociaż nie podaje szczegółów, wiele wskazuje na to, że to wrak rakiety wojennej. Był gorący, radioaktywny, lecz jego zdaniem w granicach normy dla ludzi naszej krwi. Wyruszył go obejrzyć i znalazł ślady świadczące, że przed nim byli tam inni. Dowiedział się, iż przynajmniej niektórzy byli ludźmi pustyni, ponieważ natknął się na co najmniej dwa ich ciała.

— Z tym, że — przybysz przysiadł na piętach, zaczął splatać palce i wyginać je na wszystkie strony, śledząc oczyma ich ruchy, jakby odprawiał jakieś mające zapewnić szczęście gusa — odkrył też ślady lądowania kilku mniejszych statków, i to zupełnie świeże. Niedaleko stąd był obóz. Miejsce spotkań ludzi z tego świata i... z innych. Szakali! — ostatnie słowo przypominało wybuch.

— Kto albo co to są Szakale? — wyrwało się Simsie. Tego wszystkiego dowiedział się z serii trzasków! Jednak pudełko było jeszcze jednym przyrządem ludzi z gwiazd i dlatego jego słowa mogły być prawdą.

— Wyjęci spod prawa, przestępcy — odparł. — Tak jak wy macie piratów na swoich morzach, tak my mamy im podobnych na gwiazdnych szlakach. Tacy jak oni mogliby dostarczyć środków do ograbienia tej wojennej rakiety. Zrobiliby to, gdyby cena była dostatecznie wysoka. Byli i odlecieli, lecz również zostawili pilota, coś takiego jak to — skinął w kierunku lampy — jednak innego rodzaju. Jego sygnały są odbierane w innym świecie przez statek, na który jest zaprogramowany. Skoro go zostawili, znaczy, że zamierzają wrócić. Prawdopodobnie nie mieli odpowiedniego sprzętu, żeby rozpocząć plądrowanie wraku lub potrzebowali większego wsparcia, albo... — Machnął ręką, jakby istniały dziesiątki powodów takiej wizyty i zapowiedzianego powrotu.

— Oni mogą chcieć zatrzymać to znalezisko dla siebie, wtedy Gildie nie będą miały z tym nic wspólnego.

Thom potrząsnął głową.

— Obóz, na którego pozostałości natrafił mój brat, został założony przez ludzi z tego świata, zaś inni byli tylko gośćmi. Ponadto założono go kilka sezonów temu, dlatego każdy, kto miał do czynienia z Szakalami wiedział dobrze, co się tu

znajdowało. Tylko że oni sami nie potrafili jeszcze zrobić z tego użytku.

— Jeśli znali, powiedzmy, Lorda Arfellena... — Simsa ponownie zaczęła dopasowywać w głowie kawałek do kawałka. — Dlaczego zatem pozwolili twojemu bratu przyjść tutaj? Był z innego świata, od razu by wiedział, że ten wrak jest czymś złym. Mogli go z łatwością zabić, zanim w ogóle dotarł do Wzgórz...

— Nie odważyliby się meldować o śmierci przybysza z innego świata w pobliżu własnego terytorium. Nawet, gdyby zrobili z tego „wypadek”. Mój brat nie był przeciętnym człowiekiem, a Liga i Patrol strzegą nas wszystkich, szczególnie kiedy udajemy się na poszukiwanie pozostałości po Prekursorach, bądź przedmiotów X–Arth. Rozumiesz, Simso? Nie chodzi o rzeczywistą wartość kawałków pokruszonych kamieni, ani tego — poklepał bransoletę, którą nadal miał na rękę. Szukamy wszelkiej wiedzy, ponieważ jesteśmy do tego zmuszeni!

— Mój lud rozprzestrzenił się z Arth tak wiele sezonów temu, że miałybyś trudności z obliczeniem czasu. Znajdowaliśmy światy, gdzie żyli inni. Niektórzy mieli dziwne ciała i jeszcze dziwniejsze umysły. Inni byli na tyle podobni do nas, że mogliśmy skrzyżować gatunki. Pozostałe światy były pozbawione życia, a jednak natykaliśmy się tam na zrujnowane miasta, dziwaczne maszyny, tajemnice pozostawione przez istoty inteligentne.

— Musimy dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, ponieważ istniało wiele mocarstw jeszcze przez nas nie zbadanych, które wyrastały między gwiazdami, a potem upadały. Niektóre ze światów odkryliśmy do cna spalone w wyniku wojny, został tylko popiół, rezultat użycia broni, której w efekcie naszych bolesnych doświadczeń bardzo się obawialiśmy i której używania prawnie zakazaliśmy. Lecz były też inne światy, gdzie wszystko, co pozostało, wyglądało tak, jakby mieszkańcy po prostu wyszli i zostawili ogromne cuda na pastwę czasu.

— Pytanie brzmi: dlaczego rośli w siłę i upadali? Jeśli zdołamy się dowiedzieć choć trochę o ich przeszłości, to potrafimy przewidzieć naszą własną przyszłość, przynajmniej częściowo. Być może uda się nam uniknąć niektórych posunięć, które ich doprowadziły do upadku.

— W naszej Lidze jest jeden świat, gdzie gromadzi się wszelkie takie znaleziska, a następnie studiuje je. Ludzie żyjący w tym świecie należą do tak długowiecznego gatunku, że nasi najstarsi obywatele są dla nich ledwie niemowlakami. To właśnie oni badają te znaleziska, próbują się czegoś dowiedzieć. Niekiedy sami są poszukiwaczami, chociaż częściej jesteśmy nimi my, z innych

gatunków i ras, którzy zbieramy dla nich wiedzę. Takim poszukiwaczem był mój brat. Posiadał spore doświadczenie w tych sprawach. Kiedy pierwszy statek, który lądował awaryjnie, przywiózł po powrocie okruchy z pradawnych czasów, a nasi handlarze przywieźli jeszcze więcej, wybrano go, żeby pojechał i zobaczył... sporządził notatki... zameldował, czy znajdujące się tu relikty uzasadniają wysłanie całego statku z wyszkolonymi ludźmi, którzy by się nimi zajęli.

— A moja Simsa... — ciągle myślała w ten sposób o fotografii. — Czy ona pochodziła z Prekursorów? Z tych narodów, które stały się mocarstwami, a potem upadły, które kiedyś poznały gwiazdy, a później je utraciły?

— Możliwe. Te symbole wskazują, że to prawdopodobne. Mogła też być zrodzona z tego świata, który dowiedział się o Prekursorach od innych gwiazdnych włóczęgów, takich, którzy wędrowali po gwiazdach, zanim mój lud w ogóle wystartował z własnego świata. Teraz wiem, gdzie T'seng ją znalazł.

— Gdzie? Chodźmy tam!

— Jeśli chcesz... — jego głos brzmiał prawie obojętnie. Musiała się pogodzić, że bardziej był skupiony na własnych poszukiwaniach, planach, jakie musiał zrealizować. — Rano — dodał.

Simsa wiedziała, że to musi ją zadowolić, choć aż się paliła, żeby wyruszyć natychmiast. Thom podniósł się, podszedł do pilota. Przytwierdził do niego dysk, który wyjął z paska. Lampa zamigotała i zgasła. Niemal natychmiast obudziły się zorsale, a dziewczyna za pomocą specjalnego sygnału wysłała je na zwiady. Była pewna, że nie zaśnie, a bolesne, rozdzierające serce pragnienie zobaczenia tej drugiej Simsy, będzie ją dręczyć do tego stopnia, iż nie zazna spokoju. Lecz wkrótce, pomimo wszystko, zapadła w sen.

Obudził ją odgłos wody. Przez zniszczoną kopułę, wysoko nad ich głowami, prześwitywało szare światło dnia, a jego natężenie wskazywało, że upłynęła już co najmniej godzina po brzasku. Nieopodal leżał Thom, zakrywając oczy ręką, na której lśniła bransoleta. Zasypiając usiłował odgrodzić się od widoku, od którego musiał się uwolnić — przynajmniej na jakiś czas.

Simsa usłyszała stłumiony chichot. Na szczycie jednej ze skał siedziały niczym na grzędzie trzy zorsale, a ich ciche, senne głosy świadczyły o tym, że moszczą się do snu. Uniosła się na kolana i ogarnęła wzrokiem pomieszczenie, większe niż jakikolwiek budynek w Kuxortal.

Teraz, w lepszym świetle, zauważyła, że jest owalnego kształtu, a powyżej

pokrytego łukowatym sklepieniem chodnika biegnącego wokół tego owalu, znajdują się kondygnacje szerokich stopni, które mogły niegdyś służyć jako siedzenia lub miejsca wypoczynku. Musieli się tu w jakimś celu gromadzić ludzie.

Prawdopodobnie, aby obserwować to, co działo się pośrodku, tam, gdzie obecnie leżały gruzy z częściowo zawalonego dachu. Nigdy nie widziała podobnego miejsca i zachodziła w głowę, co mogło tu sprowadzać tak wielu ludzi jednocześnie, skoro te wszystkie siedzenia były niegdyś wypełnione.

Woda, której szum ją obudził... Łała się z dziurawej kopyły na tamte siedziska, i spływała między nimi zbierając się w kanale tuż obok obozu. Simsa przeszła przez skalną barierę i podeszła do niego. Woda wyglądała na czystą i nadającą się do picia. Nabrała trochę w garść i wróciła z nią do Zass, która usłużnie chlepnęła dwa razy językiem z dłoni dziewczyny, dając tym samym do zrozumienia, że wszystko w porządku. Całe to gadanie o zarazie wywołanej „promieniowaniem” i ostrzeżenia Thoma sprawiły, że Simsa stała się podwójnie ostrożna, lecz teraz napiła się i stwierdziła, że woda jest dobra.

— Miłego ranka, Lady Simso...

Próbowała właśnie rozczesać palcami splątane włosy, lecz na dźwięk jego głosu odwróciła się i uśmiechnęła. Jej przebudzenie tutaj było tak beztraskie, jakby, pomimo wszystkich opowieści Thoma, nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Czuła się znów radosna, jak po wyjściu z sadzawki.

Ponadto uderzyła ją jeszcze jedna zaskakująca rzecz. Mianowicie, kiedy wcześniej nazywał ją „lady”, była przekonana, że z niej kpi, podkreślając przewrotnie fakt, iż należy do Grzebaczy. Jednak obecnie ten tytuł wydał jej się jak najbardziej na miejscu.

— To jest miły ranek, Lordzie Thom — przytaknęła. — Jeśli będziesz tak miły i rzucisz mi pojemnik na wodę, napełnię go, nim ten dar ostatniej nocy wyparuje do sucha.

Strumień bieżącej wody już z wolna zmniejszał swoje rozmiary.

Spełnił jej prośbę, a ona zręcznie złapała pojemnik w powietrzu i zarzuciła go na ramię. Ten dający się łatwo przenosić element ekwipunku znajdował się również między rzeczami znalezionymi ostatniej nocy, więc Simsa domyśliła się, iż pozostawienie go tutaj było dla Thoma jeszcze jednym dowodem potwierdzającym, że brat nie żyje.

Nabrała wody, wyplukowała go i napełniła ponownie. Jeśli mają iść dalej (a

zdażyła już uporządkować fakty i ułożyć plan), nie mogą się obarczać nieporęcznym i trudnym do kierowania transporterem. Zamiast niego muszą wykorzystać sprzęt znaleziony w obozie. Wyglądało na to, że Thom doszedł do identycznego wniosku i przygotowywał właśnie bagaż na drogę. Rzeczy znalezione w otwartym poprzedniego wieczoru kontenerze wędrowały do kosza z pokrywą. Były to głównie puszki z jedzeniem oraz inne drobiazgi wybrane spośród wszystkich zmagazynowanych w obozie dóbr.

Z leciutkiego, bardzo mocnego, a jednocześnie jedwabiącego gładkiego kwadratu jakiegoś materiału, służącego Simsie za posłanie, Thom zrobił drugi pakunek. Zwijał i uklepywał go tak długo, dopóki nie stwierdził, że zmieści się bez trudu na jej plecach. Krzątając się przy tym, wyjaśniał jej działanie niektórych sprzętów, jakie musieli ze sobą zabrać. Były wśród nich wykrywacze kierunku, które mają za zadanie wychwycić zainstalowane przez Tsenga oznakowania na szlaku i prowadzić Thoma wzdłuż zbadanych ścieżek jego brata. Dodatkowo było kilka małych, okrągłych kulek, które według objaśnień Thoma naciskało się z jednej strony, a potem rzucało. Prawie natychmiast wypuszczały chmury mgły, unieszkodliwiając każde zwierzę lub nie zabezpieczoną istotę człekopodobną. Były tylko cztery, lecz Thom podzielił je, nalegając, aby Simsa schowała dwie swoje do kieszeni rękawa, skąd mogła je łatwo wyjąć.

Już wcześniej usunęła z prawego rękawa bezużyteczną tutaj sakiewkę ze srebrnymi łamańcami. Ciężka jej okropnie, a przecież może się zdarzyć, że będzie potrzebowała wykonać szybki ruch i wtedy przyda jej się dodatkowa lekkość ramienia.

Kiedy oba tobołki były już gotowe, Thom wziął torbę i zaczął do niej pakować wszystko, co zostawił jego brat, a co mogło im się przydać jako źródło informacji. Stojąc i czekając, Simsa biła się z myślami. Wiedziała, o co ją teraz poprosi. Obronnym gestem położyła rękę na „fotografii” zawiniętej w kawałek cienkiego, zabezpieczającego materiału, w który wcześniej opakowane były kulki z mgłą. To należało do niej, nie odda tego za żadne skarby. Thom zerknął na nią i prawdopodobnie wyczytał w jej twarzy determinację, ponieważ nie poprosił o zwrot. Podniósł natomiast zgaszoną teraz lampę, umieścił jej szeroką podstawę na kontenerze pozostającym w obozie i pieczołowicie umocował.

Początkowo Simsa niezupełnie zdawała sobie sprawę ze znaczenia jego poczynań. Potem zrozumiała, zrobiła długi krok w przód i stanęła u jego boku.

— Zostawiasz to w ten sposób, ponieważ sądzisz, że nie wrócimy.

— Nic nie sądzę! — odburknął opryskliwie. — Robię tylko to, co jest w zwyczaju.

— Jeden człowiek — nie pozostawała mu dłużna — wyszedł z tego obozu i twoim zdaniem nie żyje.

Nie odpowiedział, ale ona nie potrzebowała jej słyszeć. Mimo to jej przekonanie nadal pozostawało niewzruszone. Śmierć istniała od zawsze. Jeśli ktoś żył w ciągłym strachu przed nią, nie miał czasu na życie. Należało cieszyć się dniem dzisiejszym, a to wystarczało, by zainteresować kogoś swoją osobą.

Opuścili obóz. Zass kiwała się sennie na pakunku Simsy, a dwa młode na jej ramionach. Kiedy Thom zaofiarował się, że je poniesie, wyjaśniła, iż nie pójdą do niego, ani do nikogo innego.

Droga była równa i szło się gładko, a jej stwardniałe stopy były wypoczęte, odnowione i wzmocnione przez sadzawkę. Nie musiała się obawiać, że nie dotrzyma mu kroku, czego nie omieszkała mu powiedzieć.

Wkrótce pojawiło się wyjście z ogromnej komnaty. Był to korytarz biegnący w lewo. Thom wszedł bez wahania, Simsa parę kroków za nim. Na zewnątrz panował już jasny dzień. Przejście było tak krótkie, że padające z drugiego końca słoneczne światło ukazało jej raz jeszcze, tym razem wyraźnie, wychylające się ze ściany posągi, które napędziły jej takiego strachu poprzedniej nocy. Patrzyła na nie chciwie, mając nadzieję odkryć jakieś podobieństwo do jej fotografii, lecz na próżno. Wiele z nich przedstawiało różne zwierzęta, z których żadnego nie rozpoznawała. Ich cechą wspólną było to, że szczyrzyły kły i pokazywały pazury, lub sprawiały wrażenie, że za moment skoczą i rozerwą na strzępy jakąś słabszą ofiarę.

Trzy z nich były wizerunkami ludzi o dobrotliwych twarzach bez wyrazu, o oczach będących jedynie owalami wygładzonego kamienia. Mimo to nie podobały się jej. Wrogość prezentowana przez zwierzęta była jawna i uczciwa. Te natomiast miały subtelne maski, pod którymi jako żywe istoty obłudnie ukrywały uczucia i żądze, co zdaniem Simsy było o wiele gorsze od zwierzęcej otwartej nienawiści.

Za przejściem była kolejna otwarta przestrzeń — droga lub ulica. Zamiast śliskiego bruku wyłożona była kamiennymi blokami podmytymi przez deszcz, mimo to nadal mocno związanymi ze sobą. Były tak ogromne, że gdyby Simsa położyła się na nich i wyciągnęła, to nie sięgnęłaby od jednego końca do drugiego. Tu i ówdzie widniały pęknięcia, przez które natychmiast torowały sobie drogę żdźbła roślin, lecz i

tak chodnik był lepiej utrzymany niż wszystkie w jej rodzinnym mieście. Również tę drogę odgradzały z obu stron zarośla bujnej zieleni, z której wystawały budynki o wysokości trzech, czterech, a nawet pięciu pięter, ze szczelinami okien jak łzami spływającymi po ich murach.

Wszelkie ścieżki, jakie musiały niegdyś prowadzić do ich drzwi, już dawno zatraciły się w wybujałej roślinności, a winorośl oplatała ściany, tworząc gruby płaszcz na sporej ich wysokości. Simsa pomyślała, że trzeba by płomienia kosmicznej broni, żeby oczyścić dojście do któregośkolwiek z nich. Thom przecież nosił ją przy sobie, przyciskając jedną ręką do biodra.

— Dlaczego jej nie zdejmiesz, skoro nie pozwala ci użyć tej rzeczy miotającej płomienie? — spytała w końcu, wskazując ruchem głowy na bransoletę.

— Bo nie mogę. Musiałbym rozciąć — odparł cicho. — Próbowałem.

Tknięta nagłym ukłuciem niepokoju obróciła pierścień na kciuku, stwierdziła, że przesuwana się łatwo, więc może go zdjąć i założyć ponownie. Potem pociągnęła za naszyjnik. On także zwisał luźno. Nie rozumiała, dlaczego przybysz nie może się pozbyć swojego egzemplarza jej skarbu.

Jego „nie mogę” było ostre i lakoniczne, świadczące jasno o tym, że nie chce dłużej mówić o tej sprawie. Mimo to zamierzała drażnić temat, kiedy nagle zatrzymał się raptownie, na wpół obrócił i stanął twarzą do odwiecznych chaszcz oddzielających go od budynków. W tej samej chwili, ponad brzęk owadów, do którego jej uszy zdążyły już przywyknąć, wybił się inny dźwięk — trzask.

— Tędy... — Thom wystartował prosto przed siebie na ścianę splątanych krzewów i winorośli, w której Simsa nie widziała żadnego przesmyku. Gdy zbliżyli się na tyle, że szukające nowej podpory, wijące się końcówki winorośli zaczęły trzepotać koło nich, ujrzała w przelocie zwiędłą roślinność, poczerniały, opalony pień drzewa. Ktoś użył ognia do utorowania sobie drogi. Teraz Thom przyduśił palcami wypukłość na niesionej dotąd tak ostrożnie broni.

Z jej końca wystrzelił jaskrawy, palący promień. Zarośla zmieniły się w wirujący w powietrzu popiół. Mieli przed sobą wąskie przejście. Wyglądało tak, jakby rosnące tu krzaki tworzyły parawan, który, zmieciony płomieniem Thoma, odsłonił przed nimi sklepione łukowato drzwi, wcześniej całkowicie schowane w zielonym gąszczu, który natychmiast zaczynał na nowo wkradać się na wypaloną dróżkę.

— Twierdzisz — zagadnęła Simsa, przeciskając się za nim wąskim przesmykiem z nieprzyjemnym uczuciem, że za moment winoroślą i krzaki zajmujące

tak błyskawicznie wolną przestrzeń uczynią ich swoimi więźniami — że używanie tej broni jest zabronione. Jak zatem utorował sobie przejście twój brat, skoro jej nie miał?

— Dobre pytanie — odparł Thom. — Możliwe, że idąc tą samą drogą, co my, znalazł uszkodzony latający pojazd i podobnie jak ja miotacz płomieni pozostawiony przez zmarłych.

— Przez strażników? — Długo nie zapomni tamtych opancerzonych figur.

W odpowiedzi Thom mruknął coś niewyraźnie pod nosem. Wszedł właśnie do pomieszczenia, w którym ściany pokrywały jakieś malunki. Szczegóły tonęły w półmroku, gdyż zamaskowane roślinnością okna prawie nie przepuszczały światła. Thom włączył lampę i oświetlił powoli promieniem najbliższą ścianę.

Malowidła były wyblakłe, lecz nadal można było rozróżnić kolory. Przedstawiały dziwaczne, asymetryczne kompozycje kwiatowe i jakieś fruujące stworzenia z jaskrawo nakrapianymi skrzydłami. W półmroku zorsale ocknęły się z otepienia, w jakim trwały od czasu, gdy przyszły do Simsy. Siedzące na jej ramionach młode rozwinęły gwałtownie skrzydła i wzleciały do wysokiego sufitu. Jeden z nich wydał myśliwski okrzyk i zanurkował do odległego narożnika.

Widok łupu, z jakim po chwili wrócił, przyprawił Simsę o mdłości.

— Nie! — krzyknęła, gdy promień światła złapał i zaskoczył zorsala dzierzącego zdobycz w tylnych łapach, a przednimi ze znanstwem ukręcającego łeb. Dziewczyna wiedziała nazbyt dobrze, co to jest. A jeśli... ? Chwyła Thoma za ramię.

— To zwierzę żywi się trupami. Mimo iż powiedziała to szeptem, słowa odbiły się echem od ścian komnaty. Pociągnął ją lekko do tyłu.

— Zostań! — nakazał jej lakonicznie i ruszył naprzód. Tym razem była skłonna podporządkować się bez szemrania.

Zobaczyła, jak promień jego światła kieruje się w kąt, z którego zorsal przyniósł swój łup i nieruchomieje na dłuższą chwilę. Potem mężczyzna wrócił.

— Kimkolwiek był, nosił mundur człowieka Gildii. Wyjaśnienie zagadki okazało się zupełnie inne od tego, którego podświadomie się obawiała i prawdopodobnie również od tego, co on spodziewał się zobaczyć. Przez moment stali i gapili się na siebie z konsternacją zmieszaną z ulgą.

— Jeden z tych, którzy mogli śledzić twój brata?

— Któż to może teraz wiedzieć? Chodź!

Narzucił takie tempo, że niemal biegła. Po drodze zawołała zorsale, choć wiedziała, że i tak nie wróca, dopóki nie zaspokoją głodu polowania. Przeszli szybkim krokiem pod kolejnym łukiem drzwi, po czym stanęli przed długą kondygnacją schodów prowadzących w górę.

Simsa nie była przyzwyczajona do korzystania ze schodów, ale na szczęście stopnie były niemal tak niskie i szerokie, jak tamte biegnące w dół do miejsca z sadzawką. W końcu wspięli się na poziom, gdzie roślinność jeszcze nie sięgała i dzięki temu przez okna wpadało światło. Tutaj ściany nie były pokryte wzorami, lecz pomalowane na jednolity, złocisty kolor, przez który przebijały skrzące się zwodniczo cętki, jakby znakując brzegi pogrzebanych przed wzrokiem szlachetnych kamieni.

Kolejny łuk wyprowadził ich na zewnątrz, ponad morze zieleni. Musieli przejść przez wąziutki mostek zawieszony wysoko w powietrzu. Simsa uczepliła się kurczowo poręczy. Przebywanie na takiej wysokości przyprawiało ją o zawroty głowy. Miała wrażenie, że zaraz zacznie się kołysać z boku na bok jak łódź na morskich falach, a potem runie w dół i będzie spadać bez końca, dopóki nie pochłonie jej na zawsze zielony ocean roślinności.

Dla Thoma ten sposób przemieszczania wydawał się zupełnie naturalny, gdyż sadził wielkimi susami naprzód, nie oglądając się za siebie. Simsa przeraziła się, że za chwilę zniknie jej z oczu i zgubi się w widocznym z przodu budynku, zacisnęła więc zęby, odczepiła od swojej deski ratunku i ruszyła przed siebie. Thom był w lepszej sytuacji, gdyż podążał za obcoplanetarnym przewodnikiem, wiodącym go oznakowaną ścieżką, którą wcześniej poznał jego brat, ona jednak nie miała nic, co chroniłoby ją przed zabłądzeniem. Tutaj, w tych grobowcach budynków, nawet zorsale mogły się zgubić.

Skupiając wzrok na znikających plecach Thoma narzuciła sobie szybsze tempo. Każdy kolejny krok potęgował jej strach, lecz nieugięcie dążyła za nim.

Na szczęście kładka się skończyła i poczuła pod nogami twardy grunt. Znajdowali się u wejścia do kolejnego budynku. Thom trzymał w ręku dysk i przypatrywał mu się w skupieniu. Simsa oczekiwała, że poprowadzi ją do następnych schodów, którymi zejda w dół do poziomu, z jakiego wcześniej rozpoczęli wspinaczkę. Jednak przybysz odwrócił się i przeszedł do drugiego pomieszczenia, kierując się prosto do okna. Było ono szersze, niż szczeliny znajdujące się w murach poniżej.

Wepchnął się we wnękę, wyjrzał na zewnątrz i popatrzył w dół. Plecami

zasłaniał Simsie cały widok, a ponieważ nie ruszał się i nic nie mówił, nie wytrzymała dłużej niepewności.

— Co tam jest? — Złapała go za rękę z bransoletą i pociągnęła za obcisły rękaw.

— Być może koniec świata. — Jego słowa niewiele jej mówiły, lecz usunął się i zrobił miejsce, żeby i ona mogła popatrzeć.

Już otwierała usta, żeby krzyknąć, gdy jego dłoń prześlizgnęła się po jej wargach nakazując milczenie.

Nie było tu lasu zieleń, tylko pas gołej ziemi, tak szeroki, że jego krańce ginęły w oddali. Miejscami poczerniały, poryty bruzdami. A na nim...

Początkowo sądziła, że patrzy na lądowisko gwiazdnych statków, które zacumowały flotyllą w porcie. Flotyllą, w której skład wchodziło więcej statków, niż w sumie przybywało do Kuxortal w jednym... czy dwóch sezonach. Potem zauważyła, że większość z nich nie stoi prosto jak zwykle po wylądowaniu, statecznikami do dołu, a nosami skierowanymi w niebo. Dwa leżały na bokach, wyraźnie uszkodzone. Za nimi znajdował się trzeci, o zupełnie innym kształcie, niż małe statki handlowe, które znała. Wyglądał jak okrągła kula, spod której sterczała zakrzepła masa metalu — drugi statek, na którym ten się rozbił. Żaden z nich nie...

A jednak tak. Zauważyli jeden nadal stojący. Znajdował się nieco dalej salutując niebu, a na jego powierzchni nie było widać żadnych uszkodzeń. W miejscach, gdzie na pozostałych pojazdach widniały ślady ognia i głębokie rany, ten był gładki i czysty. Wyglądał, jakby miał lada moment wystartować.

Lecz jeśli nawet było to cmentarzysko gwiazdnych statków nie nadających się już do latania, to bynajmniej nie wyglądało na opuszczone. Simsa zobaczyła coś, co przypominało ludzi, jednak bardzo dziwnych. Ludzie ci byli ubrani w metalowe stroje, jakie mieli na sobie martwi strażnicy, lecz w odróżnieniu od nich poruszali się, choć niezbyt zgrabnie. Kilkoro z nich siedziało na wozach wprawianych w ruch siłą własnego napędu, uwijających się pomiędzy wrakami. Inni bardzo powoli chodzili w swoich ciężkich okryciach i sortowali oraz układali w stosy rzeczy wydobyte ze zniszczonych pojazdów.

Ramię Thoma wystrzeliło naprzód. Trzymał pasek, który, jak powiedział, określał poziom śmierci czyhającej w takich miejscach. Dostrzegła czerwoną linię, która, gdy pokazał go jej po raz pierwszy, była mniej więcej w połowie jego długości. Teraz sięgała o szerokość palca wyżej.

— Zabójcze miejsce.

Mówił cicho, jakby przestraszony lub zszokowany oglądając scenę.

— Lecz oni...

— Mają kombinezony — zauważył, nazywając po raz pierwszy po imieniu podobne do zbroi metalowe ubrania. — Jednak nawet w kombinezonach to bardzo niebezpieczne. Co może być warte takiego narażania życia?

— Wasza strzelająca ogniem broń?

— Jeśli tak, to na pewno nie po to, aby ją przehandlować waszym drobnym lordziątkom — odparł. — Nawet wasz Lord Arfellen (choć coś mi świta, że on wie o tym) nie ośmieliłby zbliżyć do tego, co oni tu gromadzą. To są pozostałości po dywizjonie wojennym.

— Wasza wojna... Czy jacyś ludzie uciekali tymi statkami po tym, jak wszystkie miasta zostały zrujnowane?

Potrząsnął głową.

— To nie są statki, jakie znam. W dodatku są bardzo stare... Może nawet należały do Prekursorów!

Jego oczy rozwarły się szeroko.

— Oręż Prekursorów! Ależ tak! W dziesiątkach światów znajdują się głupcy, którzy słono zapłacą za taką wiedzę, nawet jeśli nie będą mogli dotknąć tej broni. Rozumiesz, można ją rozebrać na kawałki, zbadać, zarejestrować sposób produkcji. Wtedy dla tych, którzy ją odkryli wszystko obróciłoby się wniwecz, stałoby się publiczną tajemnicą. Sprzedaliby ją domorosłym łowcom wiedzy i uczynili z niej towar, jakiego nigdy przedtem nie sprzedawano! Ta wiedza to kopalnia zła ponad wszelkie pojęcie! Znajdowaliśmy już spalone planety, lecz nigdy całe floty, czy nawet pojedyncze statki, które walczyły w takich wojnach. A tu są statki, jest broń, którą można zbadać i skopiować. Ci grabieżcy mogą znaleźć bardzo wielu kupców, a to będzie równoznaczne z ruiną i śmiercią w całej galaktyce.

— Co zrobisz? — Jego słowa zostały wypowiedziane z taką mocą, że każde z osobna było jak mały wybuch. Rozumiała, co miał na myśli. Wszystko, co działo się w dole, zmierzało do rozebrania na części tych starożytnych statków i ich przerażającego uzbrojenia, poznania ich tajemnicy i sprzedania tej wiedzy. Kto w Kuxortal mógł ich powstrzymać, skoro samo zbliżenie się do tej flotylii duchów oznaczało śmierć, o ile nie miało się takiego zabezpieczenia, jakie posiadał tylko wróg?

Rozdział trzynasty

Thom odwrócił się od okna z kamienną twarzą. Palce jednej ręki nadal obejmowały broń z innego świata, a druga zaciśnięta była w pięść.

— Co ja zrobię? — powtórzył cicho. Uczynił dwa kroki w kierunku środka komnaty, zawrócił gwałtownie i podszedł do niej patrząc na Zass.

— Już kiedyś cię pytałem — powiedział powoli, jakby w myślach torował sobie drogę od jednego strzępu zagmatwanego pomysłu do drugiego — czy one są w stanie spełnić każdy twój rozkaz.

— Do czego są ci potrzebne? — odparowała prędko. Napuszczenie jej zwierzaków na tamtych ludzi w dole nie wchodziło w rachubę. Byli nie tylko całkowicie zamknięci w metalowych kombinezonach, ale także, jeśli to, co mówił Thom jest prawdą, pracowali w zatrutym środowisku, zabijającym każdą żywą istotę bez odpowiedniego zabezpieczenia.

Thom znów stanął w oknie i przyglądał się bacznie scenie grabieży.

— W rozbitym próbniku jest sygnalizator, którym wzywa się pomoc z kosmosu — rzucił. — Jeśli nie jest uszkodzony, można go stamtąd zabrać i umieścić pośrodku tamtego pola.

— Kto usłyszy sygnał? — spytała natarczywie. — Czy macie wśród gwiazd flotę czekającą na podobne wezwania?

Odwrócił wreszcie głowę i spojrzał na nią.

— Kiedy wybierałem się tutaj, niektórzy członkowie służby martwili się o moje bezpieczeństwo. Zameldowaliśmy o naszej misji Patrolowi. Ten świat jest odwiedzany głównie przez Wolnych Handlarzy oraz mniejsze statki handlujące na własną rękę, gdzie kapitan i załoga dzielą się zyskami. Jednakże wiadomo, że od lat lądują tu statki Szakali... piratów i sprzedają swoje łupy, wymieniając je na legalne towary i zapasy. Z tego powodu na Kuxortal jest od kilku lat posterunek obserwacyjny. Dlatego też wkrótce będzie na orbicie zwiadowca Patrolu. — Zawahał się i zmarszczył czoło. — Już może tam być. Lecz nie dotknie planety, dopóki nie zostanie nadany sygnał przyzywający. Gdybyśmy zdołali zainstalować sygnalizator...

Simsa pogładziła miękkie futerko Zass. Przypuśćmy, że uda się nakłonić zorsale do wykonania tego zadania... to miałyby umrzeć od zarazy? Nie ma mowy. Nie kiwnie nawet palcem w sprawach jego Ligi, skoro działania na jej rzecz są

równoznaczne ze śmiercią ufających jej stworzeń.

— Moznaby posłać je w nocy — ciągnął dalej. — Lecz powodzenie zależy od wielu czynników: czy sygnalizator w próbniku jest nadal sprawny, czy uda się umieścić go na polu i czy zdołam właściwie zaszyfrować wezwanie...

— I czy — wtrąciła wściekle Simsa — ja się zgodzę wysłać moje zorsale na śmierć! Mówisz, że ci ludzie pomarliby, gdyby nie nosili kombinezonów, a przecież moje zwierzaki nie mają żadnego zabezpieczenia. Przygarnęła mocniej Zass, wsłuchując się w niespokojne popiskiwanie i świergot dwóch samczyków, które podfrunęły zupełnie blisko i trzepotały nad jej głową.

— Jeśli się szybko uwiną... — lecz już nie patrzył jej prosto w oczy. Potem wybuchnął: — Nie widzę innego sposobu, a to MUSI być zrobione! Chcesz oglądać swój świat umierający w ogniu? Powiem ci, że te rzezimieszki łupiące wraki ze znajdujących się w nich urządzeń zadbają już, aby nikt więcej nie mógł przyjechać i dobrać się do tego, czego nie zdążą zabrać. Nie będą się rozdrabniać. Doszczętne ogołocenie każdego z tych statków zabrałoby zbyt dużo czasu. Nawet w kombinezonach nie odważą się wystawiać tak długo na promieniowanie. Wezmą tylko łupy najcenniejsze. Resztę zniszczą, a środki, jakich do tego użyją, zatrują powietrze. Trucizna będzie się rozprzestrzeniać i zabijać, przede wszystkim zabijać!

— Cały twój plan opiera się na przypadku i przychylności Fortuny — zauważyła Simsa. — Nawet jeśli na wraku próbnika jest to, czego potrzebujesz, czy nie będzie za stare, żeby zadziałać? — Nie wiedziała, ile z tego, co powiedział jest wiarygodne. Możliwe, iż sądził, że mówi prawdę, ale mogło być i tak, że on również był w błędzie. Albo też próbował ją nastraszyć, żeby ślepo zgodziła się na wszystkie planowane przez niego działania.

— To można sprawdzić — odskoczył od okna niczym strzała wypuszczona z napiętej cięciwy łuku. Nie oglądając się na dziewczynę prawie biegiem ruszył w drogę powrotną. Zaniepokojona, podążyła niechętnie za nim. Czy jego ostrzeżenia były prawdziwe? Czy pracujący w dole ludzie zniszczą starożytne statki po ich ograbieniu? A może dadzą miotającą płomienie broń strażom Gildii, które mogły odkryć ich działania? Raczej nie. Bezpieczniej dla nich będzie uśmiercić na oczekaniu każdego wysłannika Lorda Arfellena. Nie muszą się obawiać żadnych kłopotów ze strony Gildii. Znajdowali się zbyt daleko i zanim Gildia zorientuje się, co się stało, będzie za późno na zemstę.

Raz jeszcze przeszła przez wiszący mostek, starając się patrzeć wyłącznie

przed siebie. Po jakimś czasie znaleźli się z powrotem w obozie. Thom zmarudził tu chwilę, wywracając do góry nogami zawartość skrzyń i selekcyjując przedmioty.

Dopiero, gdy minęli po raz kolejny przewróconego martwego strażnika i wydostali się na otwartą przestrzeń, Thom odezwał się do niej. Wcześniej w milczeniu koncentrował się na wykonywanych czynnościach i sprawiał wrażenie, że nie zauważa jej obecności.

Strząsnął z pleców pakunek, wciąż jednak trzymał w ręku napełniony w obozie worek.

— Zaczekaj tu! — rozkazał. — W pobliżu próbnika jest promieniowanie, lecz, jak mówiłem, nie tak silne, aby mogło mi zaszkodzić.

Znów odszedł, przeciskając się obok stojącego trupa i kierując się do tej części ruin, z której wyłonił się podczas ich pierwszego spotkania w tym miejscu. Simsa usiadła i również zsunęła z ramion swój bagaż. Pogrzebała w nim i wyciągnęła puszkę cudzoziemskiego jedzenia. Ledwo ją otworzyła, zorsale stłoczyły się przy jej kolanach wyciągając łapki i popiskując błagalnie. Nie potrzebowały dużo czasu, aby stać się niewolnikami tych nowych smaków i zapachów.

Zawartość tej puszkę nie była płynna, jak w wypadku poprzedniej, więc odłamywała kawałki i dzieliła się sprawiedliwie ze swymi towarzyszami. Zwierzaki świergotały głośno i porywały podawane kęsy upychając łapkami w pyszczkach, aż te niebezpiecznie pęczniały.

Nie podobały jej się własne myśli. W planie, na który przybysz bez zastanowienia się zdecydował, było zbyt dużo „jeśli”. Dobrze to ujęła, gdyż to właśnie o n się zdecydował. Ona nie, ponieważ nadal miała wybór. Zorsale nigdy nie posłuchają jego rozkazu, z czego była bardzo zadowolona. To dawało jej niewielką szansę na zapewnienie im bezpieczeństwa.

Owszem, wierzyła, że jest w stanie przekonać dwa samce, żeby przeniosły jakiś przedmiot (zakładając, że będzie nieduży i lekki) na tamto pole martwych statków. Wiedziała, że to jest wykonalne. Nocą zdołają to zrobić — o ile ludzie w kombinezonach nie zostawią zapalonych świateł, które mogłyby oślepić i zdezorientować zwierzaki. Tylko co się stanie, jeśli na orbicie nie ma statku patrolowego i nie będzie komu odebrać sygnału? Poza tym, co może zrobić jeden statek? I... i... ? Simsa potrząsnęła głową, starając się poukładać myśli w sensownym porządku.

Pragnęła wyrzucić to z głowy, myśleć przez chwilę o czymś innym. Tak

właśnie zwykła radzić Ferwar ludziom sfrustrowanym jakimś problemem. Ferwar tak bardzo lubiła zbierać pamiątki z przeszłości. Godzinami potrafiła ślęczyć nad starymi rzeźbami, fragmentami pisma, dwoma skarbami, które Simsa miała przy sobie. Wsunęła palce pod kaftan i zacisnęła je na wysadzonym klejnotami wisiorku. Lecz palce dotknęły również schowanego za pazuchą sześcianika. Wyjęła fotografię.

W świetle dnia niektóre szczegóły były wyraźniejsze. Dziewczyna wygarnęła resztę jedzenia z puszki, podsuwając pusty pojemnik do wylizania zorsalom, a sama zaczęła studiować tę drugą Simsę.

Jej wzrok przykuła blizna na skórze. Simsa rozpięła pasek i odchyliła przód spodni, żeby obejrzeć swój gładki brzuch. Nie było tam co prawda blizny, ale i tak to była ona! Triom powiedział, że jego brat zostawił informację na temat miejsca przebywania tej, którą skopiował za sprawą kolejnych obcoplanetarnych czarów. Gdyby tylko udało się jej nakłonić Thoma, aby jej zdradził, jak tam dotrzeć! On ciągle powtarza, że najważniejsze jest pole z martwymi statkami. Owszem, może jest znaczące, lecz nie dla niej. Dla niej bardziej istotne jest to!

Im bardziej wpatrywała się w przezroczystą kostkę, w oczy uwięzionej w niej Simsy, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że musi zobaczyć, musi się dowiedzieć. Thom miał przy pasku urządzenie naprowadzające go na miejsca, jakie odwiedził jego brat. Niestety, była pewna, że za nic go nie odda.

Tu było miasto. Całe mnóstwo wysokich budynków. Bez dodatkowych wskazówek może szukać nawet przez pięć sezonów i nigdy nie natknie się na upragnione miejsce. A ona musi WIEDZIEĆ!

Czy ta Simsa była wielką damą i rządziła niegdyś tutaj, wśród tych walących się obecnie murów? A może, jak spekulował Thom, również przybyła z gwiazd w tak zamierzchłych czasach, że nawet kamienie z Kuxortal nie mogą tego pamiętać? Jeśli tak — dlaczego Simsa urodziła się z jej skórą, jej włosami, jej ciałem tak wiele wieków później? Thom powiedział „więzy krwi”, lecz jakie więzy krwi wytrzymują tak nieskończoną próbę czasu?

Dziewczyna żałowała, że Starucha nie żyje, że nie może jej tego wyjaśnić. Żałowała, iż nie domagała się od niej wyczerpujących informacji, że nie wyciągała odpowiedzi na pytania, dlaczego urodziła się w Ziemiankach, kto był jej matką, jej ojcem. Dlaczego, ach dlaczego nie dowiedziała się więcej, kiedy jeszcze istniała taka możliwość!

Wzięła do ręki drugi wisior naszyjnika i trzymając go w pełnym świetle

zaczęła porównywać jego kamienie oraz sposób, w jaki był zamocowany, z frędzlami z klejnotów opasujących biodra kobiety na „fotografii”. To nie był zwykły wisiołek! To była część takiego kultu, jaki miała na sobie kobieta w kostce! Dlatego miał formę długiego paska.

Bransoleta? Nie, Simsa ze zdjęcia nie nosiła nic podobnego, nie miała też pierścienia, jaki zdobił kciuk dziewczyny. Mimo tego Simsa była pewna, że obie sztuki biżuterii pochodziły z tego samego okresu i świata, co drogocenna spódniczka zakłętej w kostce figury.

Była podniecona, niespokojna. Raptem przypomniała sobie kasetkę, którą Thom tak skrętnie spakował i został w podpromiennikiem w obozie. Może ona zawiera potrzebne jej informacje. Dlaczego nie miałyby pójść i sprawdzić?

Nie namyślając się dłużej, chwyciła Zass. Dwa młode natychmiast wzbiły się do lotu. W asyście zwierzaków obeszła leżącego trupa i ruszyła w drogę do obozu.

Wkrótce potem zestawiała ostrożnie lampę-pilota z pudełka, dbając o to, aby nie zapalić jej jakimś nieopatrzonym gestem. Następnie w podpatrzonej u Thoma sposób nacisnęła wieko pojemnika. Było tam coś, co nazywał „taśmami”, dla niej zupełnie bezużyteczne. Pod nimi leżało parę identycznych kostek jak ta, którą sobie przywłaszczyła.

Każda zawierała mały, trójwymiarowy obiekt. Pierwszym był wrak. Simsa przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła, że jest o wiele mniejszy i całkowicie innego kształtu niż te rozrzucone po polu. Może to ten „próbny”, który Thom poszedł właśnie zbadać.

Następna przedstawiała drzwi wejściowe — nie zwykłą dziurę, przez jaką przeszli, żeby dostać się do budynku, z którego prowadził podniebny most. Nie, tutaj była roślinność, którą powyrywano, a same drzwi przypominały łuk obramowany szerokim, barwnym pasem, w którym kolory i odcienie łączyły się w subtelne kombinacje.

Ważniejszy dla dziewczyny był fakt, że owo wejście nie stało otworem, a pośrodku zamkniętych drzwi widniał wyraźnie symbol nazywany przez Thoma rogami „Słońca i Księżycy” obejmującymi kulę. Dokładnie taki sam symbol trzymała w ręku i nosiła na ciele Simsa ze zdjęcia.

Czy to miejsce znajdowało się gdzieś w otaczających ją ruinach? Simsa pogrzebała wśród następnych kostek — były jeszcze trzy. W jednej zobaczyła sadzawkę odgradzoną kurtyną mgły, więc tę od razu odrzuciła. Kolejna zdawała się

portretować długi fragment muru z liniami żłobień, jakieś starożytne, bezużyteczne dla niej zapiski — tę również odrzuciła. Jednakże trzecia miała dla niej ogromne znaczenie.

Mogła być wykonana przez kogoś patrzącego z góry na wielki pokój lub komnatę. Ściany zdobiły pasy w tych samych kolorach, co obramowanie wejścia z pierwszej fotografii. Biegły one wzdłuż ścian we frontowej części pomieszczenia, które po bliższym przyjrzeniu się Simsa zakwalifikowała jako długi hol.

Kolory urywały się gwałtownie w miejscu, gdzie zaczynał się obszar srebrzystej szarości — odcienia dominującego zarówno w połysku piasku nad sadzawką, jak i w nieprzezroczystej, pięknie wypełniającej ją cieczy. Tutaj otaczał podium, na którym stała... Simsa krzyknęła cichutko z radości. Mniejsza, niż na zdjęciu, którego strzegła niczym skarbu, lecz taka sama! Na podium stała druga Simsa, jej drugie ja!

Gdzieś w ruinach było wejście, a za nim — to! Musi tylko poszukać, a znajdzie! Schowała trzy tak ważne dla niej sześcianiki do rękawa, spakowała na powrót kasetkę i włożyła ją pod lampę, starając się zostawić wszystko w takim stanie, jaki zastała. Niech przybysz sam martwi się o swoje wraki i tych, którzy je plądrują: ona wreszcie ma to, co należy wyłącznie do niej, tajemnicę, która stała się najważniejszą rzeczą w jej życiu. Zachowała na tyle zdrowego rozsądku, aby złapać i zarzucić na plecy pakunek.

Z usadowioną na nim Zass, wysuwającą łepkę do przodu tak, że pyszczek dotykał niemal ucha Simsy i z dwoma młodymi krążącymi nad jej głową, powędrowała po raz kolejny do drogi biegnącej przez porośnięte winoroślami i gęstwiną krzaków ruiny, w poszukiwaniu charakterystycznego wejścia i tego, co kryło się za nim.

Młode zorsale szybowały w powietrzu. Żałowała, że nie może im wytłumaczyć, czego szuka, jednak pokazywanie im zdjęcia i proszenie, aby znalazły ten łuk... To jednak było dla nich zbyt skomplikowane. Musi polegać na Fortunie, własnych dwóch nogach oraz wytrwałości.

Simsa uświadomiła sobie, że ruiny pokrywają o wiele większy obszar, niż początkowo sądziła. Droga i wyrastające po obu jej stronach budowle zdawały się nie mieć końca. Narastało w niej zniecierpliwienie, lecz determinacja nie ustępowała. Gdzieś tu leżało rozwiązanie największej zagadki jej życia i mimo, że nie znalazła ani jednego śladu świadczącego, że ktoś przechodził tędy przed nią, wiara w to umacniała

się, zamiast słabnąć.

Zorsale wirowały między budynkami, a w powietrzu unosiły się co jakiś czas duże owady. Niektóre miały koronkowe, niemal niewidoczne skrzydła. Skrzydła pozostałych były centkowane, bogate w plamki o jaskrawym kolorze, dzięki którym błyszcząły jasno na tle zieleni krzaków, z których wylatywały. Pomimo tego panowała tu cisza.

Simsa szła powoli, ponieważ mijając każdy kolejny budynek szukała oznak wypalania roślinności, dowodu, że ktoś przed nią podążał tą drogą. Obserwowała rosnące wysoko drzewa, których konary zasłaniały niższe piętra domów, tak zdławionych wiążącą je ze sobą roślinnością, że trudno było sobie wyobrazić, by nawet miotacz płomieni mógł wypalić tu ścieżkę.

Droga skręcała w prawo, w kierunku odległego lądowiska. Pchana naprzód pragnieniem rozwiązania tajemnicy, Simsa zbliżyła się teraz do zarośli na odległość wyciągniętej ręki. Zastanawiała się, czy grabieżcy wraków przechodzili już tędy, czy też byli tak skupieni na łupach z rozbitych statków, że samo miasto nie miało dla nich żadnego znaczenia. Nie mogła mieć pewności.

Zakręt stawał się coraz bardziej ostry, jakby w tym miejscu droga zakręcała z powrotem. A jednak tutaj dostrzegła jej koniec. Zwężony, prowadził prosto do...

Zaparło jej dech. Maleńka, skarłowaciała i nic nie znacząca stała przed tym, co wyrastało na wprost niej. Oto jej drzwi w obramowaniu kolorów! Lecz ich łuk był tak wysoki i ...

Ręka dziewczyny poszybowała do ust. Złapała się na tym, że przycisnęła pierścień do warg tak mocno, aż zabołało, podczas gdy jej głowa odchyliła się w tył, a ona patrzyła wciąż wyżej i wyżej... i wyżej.

Ten budynek nie był przeznaczony dla zwykłych śmiertelników, lecz dla jakiejś inteligencji, jakiejś rasy będącej czymś więcej niż ludzie, których dotąd znała. Ponadto różnił się zupełnie od miasta, w którym stał.

Miasto było stare, Simsa nie miała co do tego wątpliwości, jednak budynek, na który patrzyła musiał być jeszcze dużo starszy. Nie nosił cech podobieństwa do innych budynków. Nie było wokół niego winorośli, krzaków, żadnych zasłaniających drzew, istniało za to wyraźne podobieństwo do wieży z pierścienia. Naprawdę!

Simsa wielokrotnie przenosiła wzrok z pierścienia na szarobiałe ściany z niebieskawym połyskiem. Od obramowanego pasem splecionych kolorów wejścia emanował dziwny dreszcz, jakby oddech prastarych czasów. Dziewczyna czuła go

wyraźnie podchodząc do drzwi, które wedle wszelkich praw natury już dawno powinny obrócić się w proch. Mimo iż maksymalnie zadzierała głowę, nadal nie dostrzegała szczytu budynku. Być może ujrzałaby go, gdyby wzbiła się w powietrze za zorsalami.

Do drzwi prowadziły trzy szerokie stopnie. Simsa weszła po nich, a zwieńczona wieżą twierdza wznosiła się nad nią niczym przyczajona bestia. Jak tamta rzeźba, którą sprzedała Thomowi — ciało zwierzęcia z na poły ludzką głową. Stała przed drzwiami opatrzonymi w promieniujący srebrnym blaskiem symbol X–Arth (przez głowę przebiegały jej strzępy tego, co mówił Thom, iż całkiem możliwe, że symbol może znaczyć więcej, niż tylko X–Arth).

Wyciągnęła ozdobioną pierścieniem rękę. Musi otworzyć te drzwi, choć w głębi serca odczuwała dziwny niepokój: coś w niej walczyło nadaremnie, by ją przed tym powstrzymać. Nie, to było jej przeznaczenie. Dawno, dawno... zapomniane. .. może nie całkiem. Jej oddech był przyspieszony, a serce waliło jak oszalałe. Strach, groza i coś jeszcze zawładnęły nią, czyniąc ją zupełnie bezwolną.

Jej palce dotknęły drzwi poniżej umieszczonego na nich symbolu, gdyż drzwi były tak wysokie, że aby sięgnąć ich niższej krawędzi musiałaby stanąć na palcach. Oparła dłoń na ich powierzchni, spodziewając się, że będzie zimna jak kamień, w którym ją osadzono. Lecz poczuła, jakby dotknęła przedmiotu, przez który przepływa energia. Klejnot w pierścieniu zaiskrzył się nagłą eksplozją kolorów, niemal identycznych z tymi wokół łuku wznoszącego się teraz wysoko nad jej głową.

Drzwi drgnęły i otworzyły się szeroko, choć nie użyła siły, zaledwie ich dotknęła. Simsa weszła do środka.

To... to był ten ogromny hol z tamtego zdjęcia. Kolory na ścianach zdawały się poruszać, nieustannie wpływać w siebie nawzajem, jaśniejsze w ciemniejsze, ciemniejsze w jaśniejsze. Jednakże cała jej uwaga skoncentrowała się na tym, co stało pośrodku, na wprost niej, oddzielone sporą przestrzenią.

Zrobiła krok naprzód, po czym cofnęła się...

Choć nic nie widziała, odnosiła wrażenie, że zawisła przed nią jakaś chłodna, odpychająca mgła przenikająca dreszczem całe jej ciało. Ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność, nie przed oczyma, lecz gdzieś wewnątrz niej. Mimo to czuła, że coś ją przyciąga. Bez udziału jej woli ozdobiona pierścieniem ręka zaczęła się poruszać. Najpierw do przodu, a później z jednego boku na drugi, jakby unosząc jakieś niewidzialne zasłony, torując sobie przejście przez coś nienamacalnego.

Zrobiła krok, potem drugi. Strach zaćmiewał świat wokół niej, a serce waliło tak szybko, że czuła jego uderzenia w każdej komórce ciała. Z trudem chwytiała oddech. Zdawała sobie niejasno sprawę, że walczy z jakąś barierą, przeszkodą, która w swoich czasach zabijała i zabije znowu. A jednak nie mogła się wycofać. To, co czekało, ciągnęło ją do siebie.

Ta wędrówka mogła trwać godzinami, a nawet dniami — tu nie było czasu, jakim mierzy go człowiek, tylko wojna pomiędzy dwoma częściami jej jaźni — jedną oszalałą ze strachu i drugą stęsknioną i pchającą ją naprzód. Nie wiedziała, że płacze — cichy szloch z bólu nie pochodzącego z ciała był oznaką ogromnej udręki. Była rozdzielana na dwoje. Miała świadomość, że jeśli utraci jedną z tych części, jeśli nastąpi separacja, wtedy przegra, a to, co jest prawdziwą Simsa — przestanie istnieć.

Targana bólem dotarła do stóp podestu i popatrzyła w górę na tą, która była nią — lub która była kwintesencją rasy, z której się wywodziła. Ramię opadło jej bezwładnie u boku. Tamta spoglądała w dół, a jej oczy były otwarte, skupione na oczach Simsy, która wydała ostatni żaloszny szloch i upadła bez sił u stóp swojego sobowtóra. Walka dobiegła końca.

Jej ciałem targnęły konwulsje, a z kącika ust spłynęła kropla piany. Wkroczyła w ostatnią fazę obrony, wycofywanie się głęboko do najskrytszych zakamarków własnej osobowości i porzucenie całej reszty na pastwę tej presji, która tak nagle i gwałtownie ją zaatakowała.

Zaatakowała? Nie, nie było w tym chęci dręczenia, zawładnięcia, nie było...

Dziewczyna leżała teraz spokojnie. Raz tylko westchnęła i obróciła troszeczkę głowę tak, aby jej oczy mogły nadal napotykać oczy tej drugiej. Bariery w jej umyśle osłabły, ustąpiły. Była jak ktoś, kto spędził całe życie w więzieniu i nagle został wypuszczony na bezkresne pola pod gołym niebem. Ta właśnie wolność była początkowo sama w sobie bólem, gdyż niosła ze sobą bardziej przytłaczający lęk.

Jej usta ułożyły się w słowa wymówki pod adresem mocy... mocy... jakich mocy? Teraz była jedna Simsa. Jej ciałem szarpały bóle porodowe, podczas gdy jej umysł i dusza formowały tę drugą, która miała przyjść na świat. Nie mogła zrozumieć, próbowała uciec od aktu rodzenia, lecz nie było odwrotu.

Po jakimś czasie ból minął. Ostatnie szanse jej oporu zostały zdobyte. Leżała wyczerpana: ofiara, męczennica. To, co zostało z dawnej Simsy krzyczało głośno, że to śmierć... koniec... Ponownie, niczym ciemna chmura, opadł ją strach.

Przez to przerażenie przebijało coś jeszcze, coś czystego, jasnego, wolnego...

Podniosła się na kolana, usiłując złapać rękoma krawędź podestu. Była taka słaba, taka młoda i nowa, a to było...

Zebrała wszystkie siły, podciągnęła się i stanęła na nogi.

Wciąż musiała się przytrzymywać, ponieważ miała wrażenie, że świat jest przechylony, a ona sama za chwilę zawiruje pomiędzy gwiazdami... wielkimi słońcami... planetami...

Również w jej głowie wirowało, jakby wspomnienie nakładało się na wspomnienie, choć żadne nie było wyraźne. Czuła, że jest maltretowana, aż jej duch stał się jednym wielkim bólem, jakby była niewolnicą chłostaną przez kogoś dla przyjemności. To nie jej wspomnienia! Ona nigdy nie spacerowała między gwiazdami, nie dzierżyła władzy w swych dwóch rękach i nie rządziła światem, aby wreszcie utracić to panowanie na skutek perfidii czasu!

Była młoda, a to był początek, nie koniec.

Kiedy uczepliła się tej myśli, wspomnienia stały się mniej intensywne, bardziej mgliste, aż w końcu odeszły. Tylko raz po raz pojawiał się w mgnieniu oka pojedynczy, zamazany obraz, który natychmiast znikał.

Jak ktoś nowonarodzony wciąż wpatrywała się w tę drugą, błagając milcząco o pociechę i pomoc.

Jej ręce przesunęły się po ciele zdzierając ubranie — zewnętrzną skorupę z nowo narodzonej. Potem stanęła wolna od przeszłości — krótkiej i ponurej, a także od większej części dłuższej przeszłości — tej wzbudzającej grozę. Sięgnęła wyżej. Czubki jej palców dotknęły końca trzymanej przez tamtą różdżki, tego berła władzy i triumfu.

Pod wpływem dotyku różdżka zachybotała, przechyliła się i zsunęła prosto w jej objęcia. Ledwie ją pochwyciła, a nastąpiła w niej gwałtowna zmiana. Ona, która przedtem była tą drugą, a teraz tylko łupiną, zniknęła. Tak jak zniknęłaby łupina, gdyby odciągnięto z niej siłę trzymającą razem obie jej połówki. To, co przedtem wydawało się żywą kobietą, stało się... posągiem, pozostawiając po sobie jedynie to, co pochodziło z tego świata — zewnętrzną powłokę...

Jak ktoś, kto robił to już wielokrotnie, Simsa sięgnęła pewnie po to, co według prawa jej się należało — opaskę z klejnotów i łańcuch koronacyjny. Wkładając je na siebie trzymała wysoko głowę. Być może była Simsą z Prawdziwej Matki, lecz również była Córka, która przejęła jej dziedzictwo!

Odwrociła się, żeby popatrzeć na drogę, którą przyszła. Nie będzie tam teraz

dla niej barier. Żałosne chrząkanie u stóp zwróciło jej uwagę na Zass. Simsa przyklękła na jedno kolano, z grymasem obrzydzenia odpychając na bok ściągnięte z siebie, zszargane ubranie. Wyciągnęła rękę, a zorsal podszedł do niej powłócząc skrzydłem.

Simsa dotknęła źle zrośniętego skrzydła berłem władzy, przeciągnęła nim po jego powierzchni. Połowicznie wyleczone w sadzawce skrzydło teraz zupełnie się wyprostowało, a Zass powachlowała nim zamasyście z chrapliwym pohukiwaniem.

Moc przetrwała!

Na chwilę znów wpadła w młyn sprzecznych wspomnień. Potarła ręką czoło. Nie, nie wolno jej teraz przepychać się na siłę przez to, co nią zawładnęło. Wszystko się ułoży — musi tylko poczekać. Czekać i działać, kiedy będzie wiedziała, że akcja została przygotowana. Należało uzbroić się w cierpliwość i czekać stosownej chwili: nadejdzie to, co było potrzebne, aby ją wypełnić, wykarmić.

Uśmiechnęła się przyciskając berło między piersiami. Nie, nie była tą, która tu czekała przez cały ten czas, lecz w jej żyłach płynęła ta sama krew, była córką wyrzuconą w górę z upływu wieku tego świata — być może przypadkiem — być może w wyniku jakiegoś planu z zamierzchłej przeszłości. Wezwano ją w to miejsce, a teraz będzie podróżować dalej, zwracając to, co miała w sobie, aby raz jeszcze stało się udziałem ludzi i światów.

Zass wzbiła się w powietrze wykrzykując całą rozkosz i triumf. Dwa pozostałe zorsale pofrunęły, aby do niej dołączyć. Simsa przysiadła na piętach i obserwowała ich taniec radości. Takie małe, a tak silne na swój sposób... Świat mógł być dobry — dopiero nadejście innych gatunków sprawiło, że złość, nienawiść i strach trwały całymi dniami, zaciemniały sny w nocy.

Zorsale poleciały w kierunku wejścia. Simsa, nie rzuciwszy nawet okiem na odrażające ubranie — skórę tej, która się jeszcze nie narodziła, ani na tobołek — ruszyła ich śladem. Przemożna radość życia, jaka wypełniła ją, gdy leżała w Sadzawce Odnowy (zbudowanej przez młodszych, bardziej ograniczonych ludzi, rozumiejących tylko trochę z prawdziwej wiedzy) natężyła się, wręcz ją zalewała.

Rozrzuciła szeroko ramiona, niemal spodziewając się zobaczyć światło płomienia mocy promieniujące z każdego z rozpostartych palców. Choć nie pokazało się, nie miała wątpliwości, że jednak tam było. A ona dopiero się narodziła — miała dużo do nauczenia się, do zrozumienia, do zaistnienia.

Przeszła pod bramą na otwartą przestrzeń. Słońce było nisko na niebie, wisząc

nad ruinami miasta. Gdyby chciała, mogłaby przywołać na myśl tych, którzy niegdyś tu zamieszkiwali, zakurzony balast ich dziejów. Lecz to już się nie liczyło — dawno minęło i nie było powodu, by do tego wracać. Ponieważ były to te same dzieje, jakim stawiali czoła wszyscy ludzie i które wyblakły jak wszystkie inteligentne gatunki.

Miały powolny początek, wzrastały w dumę i triumf, upadały w klęskę i rozpad. To...

Simsa zakreśliła się wokół siebie, aż zaiskrzyły klejnoty w jej kilcie. Stała rozdymając nozdrza, jakby przez zapach mogła wychwycić niebezpieczeństwo. Nie zapach, nie. Ten alarm napłynął do niej powietrzem, które teraz napierało na jej skórę. Istniało niebezpieczeństwo — tam...

Ponownie wykonała pół obrotu, jakby jej ciało było częścią skomplikowanego urządzenia. Jej berło obróciło się i wskazywało teraz na ruiny po lewej stronie.

Rozdział czternasty

Postać poruszyła się, wyszła na otwartą przestrzeń, gdzie słabnące promienie słońca były już przyćmione, zasłonięte rzeź okoliczne budynki. Simsa potrząsnęła głową, usiłując w ten sposób wyrzucić z niej plątaninę wspomnień. W ten sposób niegdyś nadchodziła śmierć.

Za pierwszą postacią pojawiła się kolejna. Ta przypominała groteskowy twór, jakby ożyła jedna z kamiennych rzeźb, aby przyczłapać tu na niezdarnych nogach. Wyglądało na to, że konwojuje tę pierwszą. Nozdrza Simsy znów się rozdęły. Trzy zorsale nad jej głową wydały głos, zaczęły lecieć w kierunku tych, którzy nadchodzili. Potem, w porywie największej prędkości runęły w dół. W tej samej chwili drugi, stąpający sztywno i niezdarnie intruz bluzgnął w powietrze strumieniem płomienia.

W Simsie zrodził się gniew, zimny i wyraźny. Emanacja szczęścia i wolności została w jednej chwili zniweczona. Wycelowała berło. Z bliźniaczych koniuszków rogów, stanowiących część starożytnego znaku Wielkiej Matki, strzeliły w odpowiedzi migoczące włócznie światła, nie grubsze od jej palca, lecz potężne, czerpiące moc z jej gniewu i siły.

Uderzyły jednocześnie z pełną mocą w broń, tę czarną sikawkę ognia, trzymaną przez człowieka w kombinezonie. Buchnęło białym płomieniem, niemal oślepiającym intensywnością. Ten, który strzelał do zorsali stał nieruchomo. Jego jeniec już wcześniej, w chwili gdy uniosła berło, padł na ziemię, a teraz turlał się w kierunku przełamanej na pół kolumny leżącej w poprzek drogi.

Simsa, wsparta na rozstawionych stopach, stała czujnie i czekała. Teraz widziała wyraźnie tego, który był ubrany jak martwi „strażnicy”, jak ludzie pracujący na lądowisku między wrakami statków.

Przygryzła zębami dolną wargę. Ta eksplozja energii, która go unieszkodliwiła, pochodziła z zasobów energetycznych jej ciała i umysłu. Nie była jeszcze gotowa, aby tak walczyć — nie zdołałaby zebrać sił na kolejny atak. Tak dużo musi się jeszcze nauczyć, wypraktykować. Ciągle za bardzo tkwiła w niej Simsa, jaką była ostatnimi czasy, skrepowana w duchu, przytępiona na umyśle — nie taka, jak przewidziało życie dla jej gatunku.

Ten w kombinezonie nadal trwał w bezruchu. Natomiast jego broń zmieniła się w bezkształtną grudę wtopioną w chronione metalową powłoką ręce. Nadal

promieniowało z niej gorąco wyczuwalne nawet z tej odległości. Moc rogów zwróciła przeciwko niemu siłę jego własnej, złowieszczej broni. Tak więc w pewnym sensie sam ściągnął na siebie swój los. Nie wiedziała, czy jest martwy. Jedno było pewne — nie stanowił już zagrożenia.

Pojmany przez niego więzień chyba również to rozumiał, bo podniósł się z miejsca, gdzie znalazł schronienie podczas tej wymiany dwóch energii. Przez długą chwilę trwał na wpół odwrócony i przyglądał się nieruchomej figurze w kombinezonie. Potem popatrzył na Simsę, a jego oczy ponownie rozwarły się na całą szerokość, a wyraz kompletnego zdumienia ustępował z wolna wyrazowi równie przepełnionego zdumieniem rozpoznania.

Simsa ruszyła naprzód, pchana wyłącznie siłą woli, w sposób jeszcze dla niej niezrozumiały, lecz tak naturalny, jak oddychanie. Miała wrażenie, że czerpie energię z otaczającego ją powietrza. Możliwe nawet, że w tej sytuacji wyższej konieczności, uaktywniły się resztki tego, co straciła w walce, ponieważ z każdym krokiem stawała się silniejsza. Nie było słychać żadnego dźwięku, nawet zorsale milczały; żadnego dźwięku, poza cichutkim, melodyjnym dzwonieniem nanizanych na sznurki klejnotów, w które była przyodziana.

— Simsa...? — Thom odwrócił się zupełnie od swojego ciemicy. Wymówił jej imię tonem świadczącym o niepewności. Pytająca nuta w jego głosie sprawiała wrażenie, jakby rozumiał, że ją widzi, a mimo to nie dowierzał, że może być prawdziwa.

— Simsa. — Odpowiedziała mu swoim imieniem. Nie było to imię z tamtej dalekiej, zamazanej przeszłości. Jednak to nie miało znaczenia. W tym czasie i miejscu była Simsa i chciała, by tak pozostało.

Podchodził powoli, nie spuszczać z niej badawczego spojrzenia. Ponad jego ramieniem wskazała na człowieka w kombinezonie.

— Czy to jeden z rabusiów? Wiedzą, co chciałeś zrobić? Drgnął, jakby jej słowa zmusiły go do przestawienia się z jednego toku myśli na inny.

— Mieli zainstalowany wykrywacz osób. Wyłapał promieniowanie z sygnalizatora, kiedy znalazłem się z nim w granicach ich zasięgu. Wykrył również, że jestem obcy, nie zakodowany w ich bractwie. Mając to, mogą nas ścigać...

— A tamten — pochyliła lekko berło w kierunku nieruchomego intruza — nie żyje?

— Po takim uderzeniu zwrotnym zupełnie możliwe. Czym go tak urządziłaś?

— pytanie Thoma było natarczywe. Zgadywała, że bardzo chciałby dostać berło w swoje ręce, odkryć jego tajemnicę. Lecz ono nie było dla niego. Był mężczyzną, ponadto pochodził z innej rasy — z takiej, w której krew płynęła, której umysł i ciało nigdy nie będą w stanie wytworzyć właściwej formy energii.

— Użyłam Mocy — odparła spokojnie. — Więc mówisz, że jego kompani będą na nas polować?

To pytanie przywróciło go do rzeczywistości, do „teraz i tutaj”. Spojrzał przez ramię. Z bliska dostrzegła, że nie tylko broń najeźdźcy została zredukowana do bryły metalu, również cały przód jego kombinezonu był nadpalony, a różnorakie przedmioty, które, podobnie jak u Thoma zwisały mu z paska, zmieniły się w bezużyteczne grudki wtopione w kombinezon.

— Tak.

Simsa rozważyła, co może ich czekać. Tym razem użyła Mocy nie zdając sobie do końca sprawy, ile to może kosztować. Teraz instynktownie wiedziała, że nie może jej ponownie wykorzystać w walce, dopóki nie odzyska więcej sił życiowych, z których berło czerpało moc. Ta różdżka spoza czasu nie była przeznaczona do długotrwałej bitwy, do zgładzania ludzi. Raczej do uzdrawiania, do... Nie знаła jeszcze wszystkich jej możliwości. To również leżało w sferze rzeczy, których musi się nauczyć przez niezwykle ostrożne eksperymentowanie, wykorzystując tę część siebie, która właśnie zrodziła się do życia, takiego rodzaju życia, jakiego istnienia nigdy sobie nie wyobrażała, zanim jej się to przydarzyło.

— Nie zdołam ich ponownie pokonać. — Musi mu to jasno uzmysłowić. — Nie mam wystarczającej energii. Co zrobisz?

Był biegły w dziedzinie broni i bitew, a ten problem był jego problemem, nie jej.

Thom przysunął się bliżej. Nadal wpatrywał się w nią uważnie, jakby ze sposobu falowania jej włosów w powiewie wieczornej bryzy lub ze sposobu, w jaki patrzyła mu w oczy, pragnął wywnioskować, na czym polega jej tajemnica. Wyczuwała w nim potrzebę zadawania pytań, tłumioną silniejszą potrzebą działania.

— Mam... miałem... sygnalizator — powiedział raptem, przerywając tę więź wzrokową. Odniosła wrażenie, że chce odzyskać swobodę, by móc powrócić do wykonywania tego, co uważał za swój obowiązek. — Nie sądzę jednak, żeby wiedzieli o powietrznym moście prowadzącym do lądowiska. Możliwe, że ten — skinął w stronę nieruchomej postaci — jest zwiadowcą, który natknął się na

sygnalizator i w związku z tym wybrał się na przespiegi. Zgarnął mnie, nim dotarłem do budynku...

— A sygnalizator?

— Tam, z tyłu, w krzakach. Trzeba go zainstalować. Jeżeli odleca, zanim go...

— Wiem — zrozumiała go w pół zdania. — Następstwem tego będzie śmierć.

Dotknie nie tylko ludzi w tym świecie, lecz rozprzestrzeni się na zewnątrz, jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Z tym, że ten kamień jest potężną trucizną i końcem dla wszystkich. Były już takie końce w przeszłości, niewątpliwie nadejdą następne, ponieważ ich gatunek jest przeklęty. Ciąży na nim klątwa żądz, żądz dominacji, a także handlowania śmiercią.

Simsa przemawiała pod wpływem wspomnień tej drugiej, wspomnień, które znów podsunęła jej rozdwojona pamięć. Po chwili ocknęła się i wyrzuciła je pospiesznie z umysłu. Bardziej wskazane jest, by myślała jasno o tym, co ich czeka.

— Czy starczy czasu na zrealizowanie twojego planu? — spytała rzeczowo.

Thom wzruszył ramionami.

— Kto wie? Ale musimy spróbować.

— Zawsze trzeba próbować — powtórzyła słowa, które kołatały jej w głowie echem odległej, zapomnianej przeszłości.

Zagwizdała cicho na zorsale. Zass zatoczyła koło i podfrunęła do niej w asyście swoich synów. Kiedy wszystkie trzy krążyły już nad nimi, przemówiła ponownie:

— Chodźmy tam, gdzie zostawiłeś sygnalizator.

Nie spojrzała więcej na tego w kombinezonie. Jeśli Moc dodała temu miastu trzeciego martwego strażnika, ona nie chce znać ani pamiętać swojego udziału w tym akcji.

— Skąd to masz? — Thom wskazał na berło. Spieszyli w dół szeroką aleją między spowitymi winoroślą budowlami, a dotrzymanie mu kroku nie sprawiało jej najmniejszej trudności.

— Znalazłam Simsę — odparła krótko. — Teraz jestem... kompletna. Jestem całością. — To była zaskakująca prawda. Przedtem była pusta, brakowało jej części siebie, jej umysł był karłowaty, niezdolny do postrzegania tego, co ważne. Stale odczuwała nieokreślony ból spowodowany tęsknotą za spełnieniem, za tym, czego nie miała. Być może nigdy się nie dowie, skąd wzięła się na tym świecie, jaki wypadek przy narodzinach sprawił, że jej ciało było identyczne, jak ciała tych dawno

Zapomnianych. Jednakże, w końcu to zrozumiała, jej umysł, jej wewnętrzne „ja”, są teraz zjednoczone z tym ciałem, pasują do niego tak, jak zawsze powinno być.

Widziała jego wyczekujące spojrzenie, niema prośbę, by powiedziała więcej. Lecz ona nie odczuwała chęci dzielenia się tym, co jej się przydarzyło. Choć z drugiej strony to właśnie jemu — lub jego bratu — zawdzięcza ten cud, to skompletowanie siebie. Być może jest jego dłużniczką, a dług jest niemały.

— Znalazłam resztę „zdjęć” pozostawionych przez twojego brata. One doprowadziły mnie do Simsy.

— Posąg! Lecz T’seng przekazał na taśmie informację, że tam jest jakaś bariera energii, że nie mógł się zbliżyć. Nawet to zdjęcie, które przywłaszczyłaś sobie jako pierwsze, musiało być robione dalekowizyjnym aparatem z zasilaczem.

Mówił o przedmiotach z innej planety, które się nie liczyły. Zupełnie możliwe, że tamta Simsa była strzeżona, dopóki nie nadejdzie odpowiedni czas. Dziewczyna przypomniała sobie mgliście, ile wysiłku i cierpień kosztowało ją uutorowanie sobie drogi przez niewidzialną pajęczynę do miejsca, które było jej przeznaczone. Lecz wówczas była inną osobą, nie zdającą sobie z niczego sprawy. Tak więc pajęczyna strzegła drugiej Simsy, dopóki nie przyszedł odpowiedni czas, dopóki nie wróciła prawdziwa krew, by rościć sobie prawo...

Kolejny raz tonęła w chaosie zbytnio przepełnionej pamięci. Zdecydowanie przerwała łańcuch cudzych myśli.

— Rzeczywiście było coś takiego. Nie widziałam tego, choć próbowało mnie powstrzymać. Mimo to szłam naprzód — do niej.

— T’seng sądził, że to siedziba Prekursorki, która jest starsza niż samo miasto. Ten posąg... Jesteś ubrana... — Zerknął na jej skąpy przyodziewek, po czym szybko odwrócił wzrok, jakby obawiał się, że zbyt natarczywym przyglądaniem się może ją obrazić. Dlaczego miałyby się obrażać? Jej ciało było częścią niej, tak samo jak mowa lub myśli. Nie było powodu ukrywać się pod plugawą skorupą, jaką nosiła przedtem. Myśl, że coś takiego miałyby znów okryć jej skórę napełniała ją obrzydzeniem.

— Tam nie było posągu — powiedziała bez związku. — Tam była Simsa i ja jestem Simsa. Czekala na mnie. Teraz obie jesteśmy wolne.

Uśmiechnął się smętnie.

— Nie na długo, jeśli Szakale wypuściły kolejnych naganiaczy do obławy. Chociaż to jest dobre miejsce na kryjówkę — rozejrzał się po ruinach. — Ale nie mamy czasu na zabawę w chowanego. — Z jego głosu i twarzy przebijała zawziętość.

W szybkim tempie okrążyli zakręt alei oddalającej ich od zamku–twierdzy z jej pierścienia. Dziewczyna widziała przed sobą ścianę otaczającą owalny plac z mnóstwem siedzeń. Od tej strony przylegał do niej budynek, w którym brat Thoma zostawił znaczniki szlaku.

— Zaczekaj! — Thom powstrzymał ją uniesieniem ręki, lecz niepotrzebnie, gdyż ona również zauważyła ruch w krzakach. Żaden wieczorny wiatr nie zatrzęsłby nimi tak mocno! Zasadzka...

Gestem ręki nakazała zorsalom utworzenie zwartej formacji. Ona i Thom rzucili się błyskawicznie na lewo i przykucnęli w ukryciu, szukając wzrokiem polujących na nich myśliwych.

— Ilu? — Simsa zadała sobie na głos pytanie.

— Czy twoje zorsale potrafią to wykryć? Nie mam już miotacza płomieni. Nie damy rady stawić czoła ich broni. Te zarośla — poruszył ostrożnie ramieniem, starając się nie dotknąć żadnej gałązki, której drzenie mogłoby ich zdradzić — są za gęste, żeby się przez nie przedrzeć.

Simsa wyciągnęła jedną rękę, drugą ściskając kurczowo berło — dla niej najcenniejszą rzecz na tym świecie, Zass dostrzegła z powietrza jej gest, wślizgnęła się między winorośle, zjechała po nich w dół i wylądowała na przygotowanej dla niej „grzędzie”.

Dziewczyna odwróciła głowę, żeby spojrzeć w ogromne oczy zorsala i omal nie krzyknęła. Było tak, jakby nagle otworzyła jedną z księzek, które Lordowie Gildii uważają za skarb. Widziała, co znajduje się w środku — poznała wszystkie myśli zorsala. Przed jej oczyma, otwarty jak owa książka, leżał umysł zwierzęcia. Niestety, dostęp do niego wyklarował się zaledwie na krótką chwilę, a potem znów zaszedł mgłą, tak że Simsa straciła kontakt. A jednak ten drugi umysł był na swój sposób kompletny, inteligentny, rozumiejący...

Nie miała czasu na eksperymenty, mogła jedynie patrzeć w te oczy i myśleć. Podjęła staranie, aby myślami przekazać zwierzęciu, czego od niego oczekuje. Zass zaaprobowwała polecenie cichym, gardłowym pomrukiem, po czym ześlizgnęła się na cztery łapy i złożyła skrzydła, przyciskając je mocno do ciała.

— Dowie się wszystkiego, co możliwe — zrelacjonowała przybyszowi wynik niemej rozmowy z zorsalem. — Muszę tylko zadbać o to, żeby moi mali towarzysze nie wpadli w pułapkę tego śmiercionośnego ognia!

W jego szeroko otwartych oczach znów prześwitywało zdumienie.

— Co się z tobą dzieje? Ty... ty jesteś...

— Jestem Simsa — powtórzyła stanowczo po raz drugi. — Twój brat miał rację. Moi przodkowie znali nie tylko gwiazdy i ten świat, lecz również wiele innych. Ci, którzy tak podróżują, nie liczą czasu. Sen, przebudzenie, przyjeżdżanie, wyjeżdżanie, orbitowanie, lądowanie. Niegdyś takie wojaże były dla nas, teraz są dla was. — Przełożyła berło z jednej ręki do drugiej. — Pamięć jest ciężarem, pod którym nie mogę się teraz ugiąć. Jestem Simsą i żyję. Nie zależy mi, żeby poznać przyczynę tego stanu. Ach!

Tym razem to nie była Zass, lecz jeden z samców, który wrócił równie okrężną drogą, jak odleciała jego matka. Przycupnął przed Simsą, wpatrując się w jej twarz. Wyciągnęła różdżkę i dotknęła jego grzbietu w miejscu, gdzie skrzydła łączyły się z ramionami. Zajęczał cichutko.

Jego umysł nie był tak otwarty. Zdołała jedynie odczytać małe, zniekształcone fragmenty, lecz to wystarczyło.

— Jest ich czterech. Czekają na nas. Znaleźli twój sygnalizator, lecz zostawili go na przynętę. Są przekonani, że złapanie ciebie... nas... to tylko kwestia czasu.

— Czterech — powtórzył z kwaśną miną. Jej myśli pobiegły inną ścieżką, lekceważąc siłę przeciwnika.

— Ten twój sygnalizator... Jaki jest duży?

Rozsunął dłonie, wymierzając w przestrzeni odcinek długości siedzącego przed nią zorsala.

— De waży? — dopytywała się dalej.

— Około... Cóż, mogę go podnieść jedną ręką. Są wykonane tak, żeby zajmowały mało miejsca, rozumiesz? W niektórych okolicznościach muszą być nastawiane przez rannych lub przez ludzi, którzy z pewnych względów nie udźwigną większego ciężaru.

Simsa przygryzła w zadumie dolną wargę. Jej myśli biegły spokojnie i szybko, jakby dokładnie wiedziała, co należy zrobić. Jakby cały plan działania leżał przed nią w postaci „zdjęć”, które zaprowadziły ją do Simsy.

— Czy pudełko, które, jak mówisz swoim uczonym językiem, niweluje przyciąganie ziemskie — przełomie uświadomiła sobie, że teraz doskonale rozumie, co znaczy ten zwrot, choć ten nowy przeblysłk zrozumienia był jej zupełnie obojętny — leży nadal na transporterze?

— Nie. — Rozpiął torebkę przy pasku i wyjął z niej niwelator. — Uznałem, że

niezbyt mądrze byłoby go tam zostawiać.

— Czy można go jakoś doczepić do sygnalizatora? — Posuwała się po omacku i miała nadzieję, że plan, który wydawał się tak jasny nie upadnie z powodu takiego właśnie drobiazgu.

— Tak. — Odwrócił pudełko i pokazał małe wcięcie na jego powierzchni.— Przykłada się to do przedmiotu, który ma być podniesiony, naciska i siła zostaje aktywowana.

Odważyła się wychylić nieco głowę z kryjówki, żeby zerknąć zza liści i gałęzi na niebo. Stojące nisko słońce chowało się już za budynkami. Cienie nie tylko się wydłużyły, lecz także ściemniały.

— Daj mi to! — Nim zdążył zaprotestować, Simsa wyrwała mu pudełko z ręki, uważając, aby nie zbliżyć go do berła. Spojrzała w dół na zorsala, usiłując przekazać swoją myśl w formie możliwie najprostszego polecenia. Trzykrotnie powtórzyła, co musi być zrobione, aż wreszcie wyczytała odbicie rozkazów w umyśle zwierzęcia.

Zorsal porwał pudełko z jej rąk i przyciskając je jedną łapą do piersi zanurkował w zieleń. Simsa zwróciła się do Thoma.

— Pytałeś przedtem, czy te maluchy mogą zanieść twój sygnalizator w tamto miejsce i jednocześnie oznajmiłeś, że wystawianie się na działanie trucizny, która unosi się tam w powietrzu może oznaczać śmierć. Dlatego one załatwią to po swojemu. Odszukają sygnalizator, doczepią do niego pudełko zmniejszające ciężar, pofruną z nim na szczyt jednego z uszkodzonych statków i tam go zamocują. Mam nadzieję, że żaden z tych grabieżców ich nie zobaczy. Poza tym chyba nie będą szukać sygnalizatora w powietrzu, prawda? Wlepił w nią wzrok.

— Twoje zorsale potrafią tego dokonać? — spytał po chwili.

— Wierzę, że potrafią. Według wszelkich kalkulacji to może być twoja jedyna szansa, biorąc pod uwagę, że nie masz broni, a ci tam obserwują i czekają na ciebie. Czy ty sam załatwiłbyś to lepiej?

Thom potrząsnął głową. Raptem jednak zeszytniał, lecz ona także usłyszała szelest, trzask gałęzi i chrobot winorośli. Być może ci w zasadzce zaczęli podejrzewać, że ktoś pokrzyżował im szyki i wysłali jednego na zwiady.

Ręka przybysza przesunęła się do paska. Zobaczyła, jak dotyka kawałka metalu, który według jego słów potrafił zmierzyć oddech śmierci starożytnej broni jego rasy. Czerwona linia na wąskim pasku skoczyła w górę. Simsa poczuła

mrowienie w skórze, ale nie towarzyszył mu strach. Ten ostrzegawczy alarm nie był przeznaczony dla niej, lecz zrodził się ze wspomnień tamtej Simsy — z przeszłości.

— Wskaźnik się nagrzewa... jest gorący! Cofnij się! — Thom wyciągnął ramię, chcąc ją odsunąć.

W tym samym czasie zieleń nad ich głowami przeciął promień światła, który następnie zaczął się zsuwać w dół. Simsa rzuciła się w prawo ze zwinnością, jakiej dawna Simsa nabyła w sytuacjach, gdy musiała się bronić. Jednocześnie nowa Simsa w niej krzyknęła:

— Bransoleta! Użyj bransolety!

W innych warunkach uznałby jej polecenie za głupotę, lecz w obecnych nie zlekceważył go. Wyrzucił ramię przed głowę, ku której zmierzał ten groźny promień i umieścił bransoletę pomiędzy twarzą a śmiertcionośnym płomieniem.

Promień uderzył i rozprzestrzenił się po jej powierzchni, po czym skupił się na nowo i napęczał, zwiększając dwukrotnie swoje rozmiary. Ułamek sekundy później energia, którą wypuszczono, by paliła i zabijała, została odesłana z powrotem tą samą drogą. Odbite światło, paląc zarośla, kierowało się z podwójną mocą — mocą mającą unicestwić bezbronną ofiarę — przeciw temu, kto je wysłał.

Thom przykucnął, nadal trzymając ramię w górze. Bransoleta wydawała się na oko nietknięta przez pobraną z niej moc, jaka powędrowała od niego do zabójcy. Simsa przeciągnęła palcem po berle, żałując, że nie może go użyć. Była jednak spokojna, że przybysz posiada zabezpieczenie, które nie wyczerpie jego sił, a mimo to go ocali.

Pojawił się błysk, głośny huk, a po nim fala gorąca. Simsa upadła w środek na wpół spalonego krzaka, po czym usłyszała dochodzący zza niego łoskot. Pazurami torowała sobie drogę wyjścia z masy opadłych liści i kolczastych gałązek, które darły jej skórę do krwi. Thom leżał bez ruchu. Głowę i ramiona miał na wpół zakryte, nogi wyciągnięte w jej stronę.

Podpełzła do niego na czworakach. Oczy miał otwarte, rozbiegane. Potem skupiły się na niej, widziała, że ją poznaje. Powoli uniósł rękę, by móc patrzeć na bransoletę nie ruszając głową.

Starożytne arcydzieło błyszczało jasno nawet w panującym tu półmroku. Co więcej, wręcz świeciło, jakby ogień, który w nie uderzył, dostarczył mu energii lub pobudził jego własną. Mimo to nie było na nim śladu działania siły, którą odbił promień, by miażdżył i unicestwiał.

Thom odwrócił w końcu głowę i spojrzał na nią.

— Skąd... skąd wiedziałaś? — Po raz pierwszy, odkąd go poznała, jego głos naprawdę drżał. Wydawał się bezbronny, już nie był tym wyniosłym człowiekiem z gwiazd, przedstawicielem ludu posiadającego klucz do tajemnic zakazanych dla światów, które odwiedzali.

— To było jedno... — próbowała znaleźć słowa, które wyjaśniłyby to, czego jeszcze sama do końca nie rozumiała. — To było jedno ze wspomnień tej drugiej Simsy, jeden z pradawnych środków obronnych.

Wyciągnął drugą rękę, jakby chciał pogłodzić powierzchnię bransolety, lecz cofnął ją gwałtownie, nim jego palce dotknęły nieznanego metalu.

— Ty jesteś Simsą.

— Jestem Simsą — przyznała. — Krwią z jej krwi. Choć nie wiem, jak to się stało, bo ona była... Twój brat się nie mylił. Była tu na długo przed nadejściem ludzi, którzy zbudowali to miasto. Była też ostatnią ze swego ludu. Lecz w jakiś sposób musiała zaplanować pojawienie się kogoś, kto ją zastąpi i będzie kontynuował jej dzieło. Tym kimś jestem ja. Nie wiem jak, ale jestem jej nowo narodzonym dzieckiem. Mimo to nadal jestem Simsą. Lecz dlaczego tracimy czas na gadanie? Jeden nas już znalazł. Wkrótce przyjdą następni.

Thom usiadł, trzymając rękę w bransolecie w pewnej odległości od ciała, jakby się bał nią dotknąć jakiegokolwiek jego części.

— Masz rację. — Używając zarośli w charakterze parawanu, zaczął przesuwac się w tył. Gdy Simsą ruszyła za nim, nadpalony krzak zadrżał. Młode drzewo runęło z trzaskiem, padając na zewnątrz w kierunku alei, ciągnąc za sobą na wpół zwęglone winoroślą. W utworzonej tym sposobem wyrwie ukazał się im fragment ulicy.

Leżał tam kolejny prześladowca w kombinezonie, przywalony padającym drzewem i wszystkim, co za sobą ściągnęło. Z płataniny gałęzi i liści wystawały tylko zakute w grubą blachę nogi. Simsą nie miała wątpliwości, że jest martwy. Była też zadowolona, że nie widzi, jakiego spustoszenia dokonał w nim odbity rykoszetem własny ogień.

Thom zatrzymał się gwałtownie, wpatrując się w gęstniejący mrok i nasłuchując w napięciu. Rozległy się kolejne szmery... Bez słowa skinął na nią palcem, a wymowę tego gestu podkreślał blask świecącej własnym światłem bransolety. Spojrzała na berło. Tak, wokół symbolu na jego koronie widniała również nika, świetlista aureola. Wyciągnęła je przed siebie, blisko ciała, czując delikatne,

pulsujące ciepło, emanujące z tych samych rogów, które niedawno spuściły z uwięzi śmierć. Wykorzystując cały spryt i umiejętności, zdołali w końcu znaleźć wejście do jednego z budynków. Zapuszczanie się w otwartą aleję czyniło z nich łatwy cel. Choć nie zapadł jeszcze zmierzch, wewnątrz domu było ciemną jaskinią, ale za to obiecywało schronienie.

Simsa zauważyła, że znajdują się w pojedynczym, ogromnym pomieszczeniu, które zdawało się wypełniać całą konstrukcję. Zamiast sufitu była niekończąca się przestrzeń, zwężająca się wraz z wysokością. Boczne ściany były szeregami czegoś w rodzaju balkonów, w których w regularnych odstępach widniały ciemne otwory. Najniższy z nich wspierał się na rzeźbionych kolumnach, bardzo podobnych to tych, jakie widywali w innych miejscach — zdobionych motywami roślinnymi lub maskarami.

Thom podszedł do najbliższej i przebiegł palcami po grzbietach wypukłych rzeźbień. Gdy Simsa dołączyła do niego, obejrzał się na nią przez ramię.

— Można się po nich wspiąć. Jeśli te Szakale są nadal w kombinezonach, nie dadzą rady pójść za nami. Kombinezony nie są najwygodniejszym strojem do wspinaczki.

— A jeśli usiądą na dole i będą czekać?

— Przynajmniej trochę odetchniemy i będziemy mieli czas coś zaplanować.

Już się wspinał i stwierdziła, że miał rację. Głębokie żłobienia pozostawione przez twórców tej podobizny oplecionego winoroślą drzewa dawały wystarczająco dużo miejsca na umieszczenie palców rąk i nóg. Trzymając ciepłe berło w ustach, bez trudu wdrapała się za nim.

Leżeli obok siebie na podłodze pierwszego balkonu i obserwowali drzwi. Czekanie okazało się bardzo nużące. Simsa gładziła uchwyt berła, jednak stanowczo odgradzała się od wędrujących w jej umyśle wspomnień. Tu i teraz potrzebowała całej świadomości do tego, co może się za chwilę przydarzyć, a nie do tego, co wydarzyło się dawno temu i nie ma znaczenia dla jej teraźniejszości.

Usłyszeli chrzęst ciężkich kroków. W budynku było już bardzo ciemno, dopiero teraz zauważyli, że chyba nie było w ogóle okien. Nawykły do patrzenia w nocy wzrok Simsy sięgał tylko do punktu, gdzie coś się ruszało w otworze wejściowym. Ruszało się niezwykle ostrożnie... Widocznie rabusie znaleźli spalone ciało swojego człowieka i teraz obawiają się ataku w ciemności.

Ktokolwiek czał się tam przez krótką chwilę, ponownie zniknął. Simsa nie

potrafiła powiedzieć, czy wszedł do środka, czy wyszedł. Ramię Thoma przycisnęło się do jej ramienia. Odwrócił tak głowę, że jego szept muskał ciepłym oddechem jej policzek.

— Szakale dysponują detektorem ciepłoty ludzkiego ciała. Jeśli ta grupa ma go przy sobie, zlokalizują dokładnie nasze położenie. Postarają się zatrzymać nas uwięzionych tutaj, dopóki nie sprowadzą silniejszej broni z grabieży, żeby nas wykończyć.

Jeśli próbował jej udowodnić beznadziejność sytuacji, w jakiej się znaleźli, to niepotrzebnie się trudził. Już wcześniej była tego doskonale świadoma.

— Jak długo to może potrwać? — wyszeptała. Nurtowało ją pytanie, czy zdążą wspiąć się z tego balkonu na drugi?

Nie! Odpowiedź nadeszła w postaci szerokiego strumienia światła, który zaczął powoli omiatać wnętrze przestronnej sali. Najpierw na poziomie parteru, tak że każda z kolumn podobnych do tej, po której wdrapali się na balkon odcinała się wyraźnie od ciemnego tła. Wreszcie, po zlustrowaniu dołu, światło uniosło się na drugi poziom, z przeciwnej strony miejsca, gdzie leżeli. Ręka Thoma opadła ciężko na jej plecy, przygniatając ją do podłogi.

— Leż płasko!

Balkon posiadał litą balustradę, sięgającą mniej więcej wysokości jej kolan (oczywiście gdyby stanęła). Simsa zastanawiała się, czy ta bariera wystarczy, by ukryć ich oboje. A jeśli prześladowcy na dole uświadomią sobie, że oni się tam ukrywają i zaczną bluzgać na oślep płomieniami, nie było nadziei, by ten niski murek ochronił ich przed naporem szalejącego ognia.

Światło wędrowało. Podłożyła rękę pod głowę i opierając policzek na ramieniu obserwowała jego wędrówkę. Teraz promień prawie dotarł do nich, skręcał pod ich bokiem. Simsa uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Na te pełne napięcia chwile wróciła do dawnej Simsy. Pewność siebie, poczucie wyższości nad tymi niezdarnymi grabieżcami, gdzieś się ulotniły. Berło leżało pod ręką, lecz w tym momencie nie mogła wyzwolić jego mocy, nawet gdyby chciała. Bezpośrednie, straszliwe zagrożenie przesunęło ją na drugą stronę równoważni i była jedynie śmiertelnie przerażoną dziewczyną. Ta druga Simsa... Musi ją odnaleźć, być nią znów, lub wkrótce może stać się zupełnie niczym.

Rozdział piętnasty

Tak, zamknąć oczy, pamiętać tylko tamtą Simsę! Simsę, która stałą dumnie, wyniosłe, Simsę mądrą i pozbawioną lęku. Nie myśleć o zbliżającym się świetle, o koszarnej śmierci w ogniu, tylko o Simsie.

Pragnęła, by jej serce zwolniło bicie, pragnęła, by strach stał się jej służącym, a nie panem. Tak, jak można pragnąć, aby gdy nadejdzie czas, gniew stał się narzędziem, bo emocje mogą dodać sił. Tego właśnie pragnęła.

Poczuła dotkliwy ból, promieniujący z policzka do głowy. Przez moment doznawała takich męczarni, iż pomyślała mgliście, że dopadły ją płomienie prześladowców. Potem ból zniknął równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając po sobie...

Był to silny nawrót uczucia, jakiego doświadczyła w domu tamtej Simsy — że jest nowa, że jest teraz kimś innym. Mętnie uświadomiła sobie, że zaciśnięta boleśnie na berle dłoń leży jednocześnie pod jej głową. Pierścień... Pierścień stał się mostem!

Jak... lub dlaczego... lub co...? Wszelkie pytania trzeba na razie odsunąć na bok. Jest nagła potrzeba, konieczność działania!

To, co robiła, było sprawą wykonywania rozkazów, niemych rozkazów dostarczanych ze źródła, którego nie potrafiła zdefiniować. Nie wiedziała, kto mógł niegdyś to robić i używać takich działań jako tarczy i broni.

Simsa otworzyła oczy, lecz nie poruszyła głową. Zobaczyła klejnot tworzący dach wieży w jej pierścieniu — spostrzegła tylko to. On rósł, rozprzestrzeniał się, stawał się jak sadzawka, w której wcześniej leżała, stawał się więcej niż sadzawką, raczej morzem. Zmusiła się do zanurkowania w to morze, nie jako Simsa cielesna, lecz Simsa, która zamieszkiwała w tym ciele.

Wyostrzyła myśli, swój cel, z początku nieporadnie, potem stając się bardziej pewną, bardziej biegłą. Widziała tylko szaroniebiesko-białe morze, wciągające jej myśli, aby uformować je na nowo i wysłać z powrotem jako broń.

Daleko słyszała dźwięczne słowa szeptu, jakby pulsowanie rytmu, recytowania rytualnych zaklęć w języku, którym nie mówiono od wielu tysięcy pokoleń. Z tego potoku słów wyrastała siła, wpływała w nią w miarę, jak robiły się głośniejsze, gromadziła energię na kolejny wiew, kiedy cichły.

Ta siła wylewała się do wyczekującego morza. Jego powierzchnia była

wzburzona, więc tworzyły się fale. Nie fale z jakiejś cieczy, lecz fale mocy, wznoszące się wyżej i wyżej. Tak... i tak... i tak...! Tak, to było to, co należy zrobić, nawet jeśli zostało wywołane dawno temu. Moc w niej ciągle nie była dość wielka, aby poruszyć samą ziemię — choć niegdyś taka moc była do tego wykorzystywana — takie pulsowanie słów niegdyś umieszczało kamienie na miejscu, unosiło jeszcze większe ciężary do nieba. Nie posiadała jej, lecz jej wysiłki nie pozostawały bez echa. Coś zaczynało się dziać!

Coraz bardziej wzburzone morze zamykało się wokół kwintesencji jej jaźni, złapało ją i trzymało. Możliwe, że krzyczała, czując jak jej jestestwo jest z niej boleśnie wydzierane, rozrywane i siłą dzielone na części. Teraz były Simsy dwie... trzy...

Dwie i trzy — a wciąż jedna. Simsa ustawiła swoje sobowtóry, te podzielone części jej jaźni, w szeregu — były jej strażniczkami, jej wojowniczkami. Nadszedł czas, aby wysłać je do walki.

Spojrzała na gigantyczny hol. Dla jej oczu nie było tam ciemno, choć wiedziała, że w rzeczywistości panował mrok. W ciemności poruszały się obiekty.

Otoczała je mgła. Mgła energii — właściwie jej dwa rodzaje. Jedna pochodziła z zewnętrznych źródeł, druga z wewnętrznych. Ta z wewnętrznych była ważniejsza — była zrodzona z siły życia, nie z jakiejś broni bądź istotnego odkrycia, nie z nikczemności ludzi, którzy ingerowali w sprawy, których nie mogli sobie całkowicie podporządkować.

A zatem ruszajcie!

Wydała milczący rozkaz tym dwóm, które zrodziły się z niej samej, tak jak ona narodziła się na nowo z dawnej Simsy.

One świeciły. Były samym światłem. A mimo to były nią, ze skórą ciemną jak noc, z księżycowo-srebrnymi włosami, ze znakiem Wielkiej Matki jarzącym się na głowie i ręku. Obie stanęły w ciemnościach holu, twarzą do tych, którzy nadchodzili.

Ci ubrani w mgłę zatrzymali się. Widziała falowanie rozproszenia ich wewnętrznego ego, będące reakcją na każdą zmianę uczuć. Początkowo byli zdumieni, później triumfujący. Jeden natychmiast pomyślał: zabić i wycelował broń, żeby unicestwić. Dwóch pozostałych szybko pohamowało jego zapędy. Nie słyszała rozkazów, lecz czytała wyraźnie w ich myślach. Dwie dziewczyny mają być wzięte żywcem, pojmane jako jeńcy.

Stały tam zupełnie bezbronne. Bez trudu dostaną je w swoje ręce, spętają. W

powietrzu zawirowwały kłęby gęstej, białej substancji, które spowiły dwie Simsy. Miały je sparalizować, uniemożliwić wszelką walkę o wolność. Lecz białe tumany nagle osunęły się, opadły na podłogę, gdzie wiły się bezradnie jak żywe stworzenia, które oślepieno lub okaleczono.

Teraz ten, który od początku pragnął zabić, nastawił broń na pełną moc i, pomimo protestu towarzyszy, wypalił. Ogień popłynął strumieniem, okrążył, buchnął z siłą. Simsy stały jednak nietknięte.

W dole zapanowała konsternacja. Otoczonych mgłą ogarnął strach, ponieważ uświadomili sobie, że mają do czynienia z czymś, co wykracza poza granice ich wiedzy.

Powoli cofnęli się o krok. potem drugi. Simsa czuła, że zbiera w niej siła. Tchnęła zgromadzone zapasy w tamte dwie. W aureoli własnego światła, które nosiły niczym szaty zwycięstwa, ruszyły za wycofującym się wrogiem.

Nie miały różdżek, mimo to poruszające się w przód i w tył palce wyciągniętych przed siebie dłoni zostawiały w powietrzu świetlne smugi, promieniujące tak samo jak światło, w które były przyodziane. Smugi utrzymywały się w miejscach, gdzie przesunęły się ich ręce.

W powietrzu zaczęła się tworzyć świetlista pajęczyna. Simsy nie stały już twarzami do wrogów, lecz za ich plecami. Mężczyźni w kombinezonach kręcili się niezdarnie w kółko, podczas gdy ręce krążących wokół nich dziewcząt nieustannie tkwały serpentyny światła, splatające się w sieć.

Sieć zacieśniała się dookoła zbitych w gromadkę, totalnie spanikowanych napastników. Żarzące się włókna krzyżowały się w powietrzu nad ukrytymi w hełmach głowami, pozostawiając im coraz mniejsze pole manewru. Złapani w pułapkę strzelali chaotycznie ogniem to w jeden, to w inny fragment świecącej pajęczyny. Uwalniana przez nich żywa energia grzęzła w okach sieci i pozostawała tam, czyniąc ich więzieniem miejscem, z którego nie było ucieczki, miejscem, gdzie mieli umrzeć od własnej broni.

Przestali strzelać. Jednak ogień zatrzymany w sieci nie zgasł, utrzymywał się, zagradzając im drogę do wolności. Dwie Simsy przez dłuższą chwilę obserwowały efekty swojej pracy, jakby chcąc się upewnić, że dobrze wywiązały się z powierzonego im zadania. Wtem...

Nie było już morza, które wciągnęłoby z powrotem to, co wcześniej wypuściło. Ciało Simsy wygięło się w łuk od przejmującego, rozdzierającego bólu.

Urodziła, a teraz to poczęte przez nią życie musi do niej wrócić, a jego wchodzenie było straszliwszą torturą niż wcześniejsze rozszczępianie jaźni. Dyszała głośno, może nawet krzyknęła. Jeśli tak, to usłyszała jedynie zamierające w oddali słabe echo tego krzyku.

Leżała na plecach. Potem poczuła, że czyjeś ramiona unoszą ją, obejmują i podtrzymują, jakby mocnym uściskiem chciały jej zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Nie mogła ruszyć ręką, ciężące powieki przesłaniały widok. Przemogła się, uniosła wzrok i ujrzała zamazaną twarz Thoma. Wyraz tej twarzy świadczył niezbicie, że boi się o nią. Nie było w nim teraz nic z odpychającej obcości. Wierzyła, że gdyby zechciała, mogłaby dotrzeć do jego umysłu, wyciągnąć najskrytsze myśli, z których obecności sam nie zdawał sobie sprawy. Jednak nie zrobi tego.

— Już dobrze — zmusiła wargi do wyartykułowania słów, choć były sztywne i ciężko było nimi poruszać, jakby zapomniała lub przez długi czas nie używała mowy. — Wszystko w porządku, tak sędzę.

Podciągnął ją wyżej. Jej słowa chyba go nie uspokoiły. Odwróciła lekko głowę. Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy rzeczywiście rozszczępiła się na części, urodziła sobowtóry, by utkały sieć z ognia? A może to jej się przyśniło?

— Czy oni... czy zostali unieszkodliwieni? — Zapytała o to, gdyż z jego objęć nie widziała, co działo się na dole. Chciała też potwierdzenia, że to wszystko było fantastycznym snem. Raz jeszcze równowaga została zachwiana, tym razem może nieco mniej. Skłonna była uwierzyć, że to się wydarzyło... za sprawą kogoś innego.

— Spójrz! — Ostrożnie i delikatnie uniósł wyżej niemal bezwładne ciało, z którego wyczerpała zbyt duży zasób energii.

Wsparta na jego piersi mogła spojrzeć w dół. Ciemność rozpraszała świetlista plama jarząca się niedaleko wejścia. Nieregularna w kształcie przypominała wielkie, płonące palenisko. Od niej wolno ku górze wiły się strumienie światła. Nie widziała linii tworzących sieć, lecz przez cienką ścianę ognia dostrzegła tych trzech, którzy stłoczeni w gromadkę stali na wprost ściany, w której nie mogli wyrąbać dziury. Więźniowie zjednoczonych mocy, które osobiście uwolnili, gotując sobie piekło.

— Nie pytam cię jak — powiedział Thom powoli — ani co zrobiłaś. Na razie są unieruchomieni. Czy wiesz, jak długo to się utrzyma?

— Nie. — Nagły przypływ wiedzy i mądrości, dzięki której znalazła sposób na uratowanie życia i pojmanie prześladowców, znów się cofał. Tak, jakby miała na

sobie dziurawy płaszcz, którego pewne kawałki zapewniały jej ciepło i okrycie, a reszta ciała pozostawała nieosłonięta. Zbyt wcześnie rzucono ją na głęboką wodę. Była przekonana, iż nadejdzie dzień, kiedy zdoła zapanować nad wszystkim, co zostało na nią przelane poprzez jej dziedzictwo. Lecz jeszcze nie teraz.

— Musimy zatem ruszać póki czas. Ale czy będziesz w stanie iść? — Wstał i pociągnął ją w górę, nie wypuszczając z objęć, wspierając przy tym całym ciałem. Odkryła, że może stać, ponieważ powrót tamtych dwóch do jej wnętrza odnowił częściowo jej siły. Istniało miejsce, gdzie ta odnowa mogła stać się całkowita.

— Sadzawka... — powiedziała słabym głosem — Gdybym mogła dojść do sadzawki...

W lot zrozumiał, o co jej chodzi. Ale te ściany, zejście na parter, wszystko, co leżało między nimi a tamtym azylem... Żeby tam dojść, będzie potrzebowała jego pomocy. I choć unieszkodliwiła tamtych zbójów z dołu, wiedziała, że pojawią się inni. Dotarcie do sadzawki może okazać się wyprawą przekraczającą jej możliwości, nawet przy wsparciu Thoma.

Simsa stwierdziła, że konieczność może dodać sił. W asyście Thoma wkładającego jej ręce w uchwyty na obwodzie rzeźbionej kolumny, wspierającego ją na każdym jej odcinku, zdołała jakoś zejść z balkonu.

Potyając się na chwiejnych nogach, posuwała się wolno naprzód. Gdy opuścili hol, jej chód stał się pewniejszy. Wychodząc okrążyli szerokim łukiem otoczonych ognistą siecią prześladowców. Simsa widziała ich kuliste hełmy, lecz nie widziała twarzy. Czy byli martwi? Miała nadzieję, że nie, gdyż esencja życia nie spłonęła, kiedy ostatni strumień własnego ognia uwięził ich w środku.

Naprzód! Ramię Thoma podtrzymywało ją za każdym razem, gdy się zachwiała, podpierało, gdy przystawała dla złapania oddechu lub aby przycisnąć berło bliżej ciała. Robiła to, ponieważ wydawało jej się, że różdżka emanuje energią dodającą jej sił. Brnęli teraz przez zmierzch. Noc zapaliła już gwiazdy na niebiosach.

Dotarli do obozowiska. Przed nimi byli tu już inni. Skrzynie były pootwierane, wszędzie porzrucano ich zawartość. Lampa została stopiona. Lecz Thom nadal miał światło u pasa. Zatrzymał się na chwilę potrzebną aby złapać torbę z prowiantem, po czym na wpół przeniósł, na wpół przeprowadził dziewczynę obok trupa...

Wędrówka przez mury wyczerpała niemal doszczętnie siły Simsy. Kiedy doszli do miejsca, gdzie musieli zejść w dół do położonej głęboko komnaty o skalnych ścianach, osunęła się na chodnik ze świadomością, iż nie zdoła zejść o

własnych siłach.

Thom rzucił torbę obok niej i zniknął. Była zbyt oszołomiona, aby zapytać dokąd i po co idzie. Po chwili wrócił, niosąc przewieszony przez ramię jak linę zwój winorośli. Skręcił z niej gruby sznur, kilkoma szarpnięciami sprawdził wytrzymałość, wreszcie obwiązał ją końcem w pasie.

— Posłuchaj — klęczał patrząc jej w oczy, podtrzymując za ramiona, aby nie upadła. Spuszczę cię. Poczekaj na mnie na dole.

Simsa chciała się uśmiechnąć, nawet pomyślała, że to robi, lecz efektem wysiłku jej warg był ledwie widoczny grymas. A cóż więcej mogła zrobić, niż tylko czekać? Czyżby sądził, że jest w stanie uciec mu teraz w ciemność?

Opuszczając się w dół wykrzesła jednak z siebie jeszcze tyle siły, by chwycić się rękoma występow i odpychać nogami od skały, choć wiedziała, że Thom i tak musi utrzymywać większość jej ciężaru na naprężonej linie z winorośli.

Potem znów byli razem, przemierzali wspólnie korytarz. Kiedy zobaczyła mgłę, poczuła ostatni słaby przypływ sił. Oderwała się od niego i zanurkowała w tę kuszącą miękkość, która przygarnęła ją i pieściła niczym szeroko otwarte, stęsknione ramiona, krzepiąc jej ciało, kojąc jej umysł.

Był i srebrny piasek. Simsa podłubała przy zapięciu łańcucha, pozwoliła kiltowi z klejnotów zsunąć się z bioder. Jednak, gdy potykając się powlokła do brzegu, miała w ręku berło. W końcu rzuciła się do wody, jak ktoś krańcowo wyczerpany pada na oczekujące go łóżko. Wokół niej, nie pozwalając się pograżyć, była srebrna ciecz. Położyła się na niej z zamkniętymi oczyma.

Odgłosy, wyraźne świdrujące odgłosy. Wdzierały się drażniąco w ciepłą ciszę, która ją kołysała. Próbowwała je odpędzić, odgradzić od tego miejsca, żeby nie musiała na nie reagować. Uświadamiała sobie niejasno, że one ją wzywają.

Wreszcie nie mogła ich dłużej ignorować. Otwierając oczy po raz drugi spojrzała w górę, w wirującą mgłę nad sadzawką. Budziła się powoli, stopniowo, starając się wyłączyć pamięć, skupiona na wchłonięciu przez ciało wyłącznie spokoju i odnowy tego miejsca.

Odgłosy...

Nieszczęśliwa, na nowo niespokojna, odwróciła głowę.

W pobliżu niej, z szeroko rozpostartymi na wodzie skrzydłami, leżały nieruchomo zorsale. Nie mogła dalej odgradzać się murem od pamięci. Czy zwierzaki wykonały swoje zadanie?

Przywołała je ćwierkaniem. Zass zanurkowała, po czym wiosłując czterema łapami i skrzydłami podpłynęła do Simsy i położyła łepkę na jej ramieniu, wydając radosne okrzyki.

Opornie, jak ktoś posługujący się zranioną kończyną, która jeszcze się nie wygoiła, Simsa starała się nawiązać kontakt ze zwierzęciem za pomocą umysłu. Znowu pojawił się ten tok obcych myśli, który tak trudno było śledzić. A jednak dowiedziała się.

Czytając w umyśle Zass miała wrażenie, że patrzy na nią cudzymi oczyma, a obraz był tak zniekształcony, że przyprawiał niemal o zawrót głowy. Przypominał jej trochę obraz oglądany przez szkła do obserwacji dali używane przez Thoma. Wszystko, co widziała, ukazane było pod innym kątem, z zaakcentowaniem rzeczy, których jej oczy prawdopodobnie w ogóle by nie dostrzegły. Jednak, co najważniejsze było tam lądowisko z wrakami pojazdów kosmicznych. Pomimo zapadającego mroku panował na nim ruch. Potem wyrosła zaokrąglona kopuła czegoś, co musiało być statkiem. W miarę jak się przybliżała, widoczna w niej dziura robiła się coraz większa. Zapragnęła wlecieć do tej dziury. Dobrze, już była w środku. Jakiś szeroki promień przemknął tuż poniżej. Znowu wydostała się na zewnątrz. Szybko, szybko w noc... Była wolna, wolna by latać, by być w powietrzu. Ogarnęła ją radość, która była jak krzyk triumfu. Wolna, by latać, wolna, wolna!

Tak Zass wyrażała radość z uzdrowienia, z możliwości ponownego przebywania w swoim naturalnym środowisku, w swoim żywiole. Lecz tamten statek i przeszywający go promień w środku, niewątpliwie oznaczały, że zorsale umieściły sygnalizator na właściwym miejscu. Pozostawała tylko kwestia, czy ktoś odpowie na sygnał...

Simsa uniosła głowę. Senna błogość umknęła. Zastąpiła ją nasilająca się świadomość, że w żaden sposób nie zażegnali niebezpieczeństwa i nadal trwali w zawieszeniu.

Rozejrzała się. Nie, Thom tym razem jej nie zostawił. Widocznie, gdy spała dobił do niej i również wykapał się w sadzawce, bo leżał teraz nago na brzegu. Białe ciało odcinało się wyraźnie na tle srebrnego piasku. Spoczywająca na ramieniu głowa była odwrócona. Pomyślała, że pewnie śpi.

Niechętnie wygramoliła się z powrotem na piasek. Tam, tworząc mały, lśniący stosik, leżała opaska na biodra. Dziewczyna sięgnęła po nią. Frędzle i ogniwa łańcucha zabrzczały melodyjnie, niczym cichy odgłos dzwoneczków. Przełożyła

berło przez kolano i zapięła łańcuch na swoim miejscu. Ruszała się w zwolnionym tempie, ponieważ odnowienie się ciała zdawało się nie nadążać za przebudzeniem umysłu. Czuła się fizycznie ocieężała, nieskora do jakiegokolwiek działania.

Zass wyszła za nią z sadzawki i przycupnęła teraz u jej boku, kładąc niemrawo jedną łapkę na udzie dziewczyny i wpatrując się w jej twarz. Ewidentnie domagała się pochwały, zapewnienia, że wszystko zostało zrobione tak, jak trzeba. Simsa wzięła ją na ręce i mocno przytuliła, po czym nucąc cichutko zaczęła lekko drapać mały łeppek za częściowo zrolowanymi czułkami. Zwierzę przymknęło wielkie oczy i zagruchało z rozkoszy.

— Wróciły.

Simsa drgnęła, odwróciła się w kierunku głosu. Thom przewrócił się na brzuch i leżał z brodą wspartą na podłożonych rękach.

— Owszem, wróciły. Sądzę, że spełniły zadanie, bo z tego, co wiem, wyglądało to mniej więcej tak... — Simsa zrelacjonowała mu wszystko, czego dowiedziała się podczas niezbyt czytelnego połączenia z umysłem Zass.

Potem zadała własne pytanie:

— Skoro sygnalizator został zainstalowany, a wiadomość z niego idzie już do celu, to kiedy twój statek przyleci? Czy zdążą na czas?

— Miejmy nadzieję. — Jego pogodna i spokojna dotąd twarz zasepiła się. Lecz będzie tak, jak chce los.

Jak chce los. Stare, stare powiedzenie Grzebaczy, które zawsze stanowiło jej motto życiowe. Można było od czasu do czasu dać losowi kuksańca, jak teraz oni próbowali to zrobić. Okaze się dopiero na ile skutecznie. Tymczasem nie wiadomo, co ich jeszcze czeka.

Wpatrywał się w nią teraz, jakby była mu równie obca, jak dla niej umysły zorsali.

— Co zrobiłaś tam, na balkonie?

Jaka była prawda? Tego nie wiedziała. Pracowała narzędziami, których nie rozumiała, by stworzyć coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć. A jednak musi mu odpowiedzieć. Wiedziała, że padnie teraz wiele takich pytań pod jej adresem — a jakich udzielić odpowiedzi? Bez pośpiechu, gładząc palcami berło, spoglądając częściej na nie niż na niego (Dlaczego? Bo nagle poczuła się bardzo samotna wiedząc, że nigdzie, nawet wśród odległych gwiazd, nie znajdzie nikogo, kto by zrozumiał co widziała?), opowiedziała mu o dziwnych narodzinach jej kolejnych „ja”.

o tym, co zrobiły nie na jej rozkaz, lecz zgodnie z tym, co same uznały za konieczne dla jej dalszej bezpiecznej egzystencji.

Kiedy skończyła, zapadła cisza. Z początku nie chciała na niego patrzeć, żeby nie dojrzeć cienia niedowierzania na jego twarzy. Później, ze względu na to przedłużające się milczenie, nie chciała widzieć tego, co było jeszcze gorsze — potwierdzenia, że jest obca, niezdolna do kontaktu z ludźmi tego wieku i czasu.

Wreszcie, odrzucając od siebie myśl, że rzeczywiście może tak być, że jest żyjącą podobizną jednego z kamiennych ludzi z tego miasta, zmusiła się do podniesienia oczu.

Jego twarz wyrażała zachwyt. Nie życzyła sobie czegoś takiego od nikogo, zwłaszcza od niego. On miał swoje tajemnice przywiezione z gwiazd, sprawy, dzięki którym każdy w Kuxortal spoglądał na niego, jak na kogoś nadzwyczajnego. Czy na swój sposób to, co ona zrobiła, aż tak się różniło? Istniał kiedyś lud, który doprowadził do perfekcji inne formy egzystencji, który nie miał chat, broni ani statków, lecz hołdował odmiennemu rodzajowi budowania mądrości życiowej. Sprawdzianem wiedzy człowieka było to, w jaki sposób wykorzystywał swoje wewnętrzne siły i jak żył.

Ponownie zaczęła mówić, już nie powoli, ponieważ nie musiała szukać słów, żeby opisać rzeczy dziwne i niebezpieczne, a także bardzo nowe dla niej. Nie, to było swoiste błaganie. Ona, która nigdy nie pozwoliła sobie poprosić, nawet Ferwar, o to, czego najbardziej pragnęła — o znalezienie człowieka, który byłby na tyle bliski, że zatroszczyłyby się o to, dokąd chodzi, jak sobie radzi w świecie.

— Masz swoje niwelatory — złapała się na tym, że jej ton jest ostry, wyzywający, lecz nie stłumiła tej nuty. Niech rzeczywiście uwierzy, że kwestionuje jego styl życia, że własny uważa za lepszy — tych wszystkich, którzy igrali ze śmiercią, o tam! — wskazała na mgłę ciągle wirującą hipnotycznie wokół nich.

— Mówiłeś też o „talentach”, o umysłach mogących spotykać inne umysły, o różnych cudach. Jest wiele światów, wiele narodów, prawda? Zarówno młodych, jak i starych. Wszystkie mają swoje triumfy i klęski. Nie wiem, dlaczego urodziłam się zdolna do przejęcia spuścizny Prekursorów, zmagazynowanej tu wiedzy. Wierzę jednak głęboko, że to może się okazać niesamowicie wielkim ciężarem i gdybym mogła, chętnie zrzuciłabym go na innych. Lecz czy można oddać komuś innemu swoje ręce, swój mózg, to, co jest kwintesencją człowieka?

— Istnieją tajemnice nie do rozwiązania. Czyż nie jest tak? Czy nie mówiłeś,

jak różne urywki tych tajemnic są skrupulatnie zbierane, przechowywane, studiowane? Czy nie opowiadałeś mi o rasie bardzo starych ludzi, którzy są dozorcami, tłumaczami tego, czego można się w ten sposób dowiedzieć?

— Twój brat przybył tu szukać odpowiedzi. Znalazł łamigłówki. Niektóre z nich były jedynie osadzone w chciwości oraz nienawiści, pochodziły z twojego czasu i były wynalezione przez twój rodzaj. Lecz znalazł także Simsę.

— I dzięki temu ja jestem. W Kuxortal byłem jak niedojrzałe ziarno, które nigdy nie wydałoby plonów. Lecz przypadek i ty, sprowadziliście mnie tutaj. Znalazłam swoją glebę, zostałam zasadzona. Teraz jestem tworem tej Fortuny, której ludzie szukają, a niekiedy bardzo się obawiają.

— Nie znam jeszcze w pełni swoich możliwości, nie wiem, czego mogę dokonać. Ogromny strach tam, na balkonie zmusił mnie do działania nie zaplanowanego przez mój umysł. Może jest tak, że intencje, wola i wiedza żyją przez wiele wieków, dzięki czemu mogą być dowolnie przekazane komuś, kto jest na nie otwarty. Wiem tylko, że nie jestem dziewczyną, którą znalazłeś w Kuxortal. Nie jestem też w pełni tą, która oddała się czekaniu tutaj. Jestem więcej niż pierwszą, mniej niż drugą, lecz jestem osobą, która jest rzeczywista i jest prawdziwie sobą. Choć jak dotąd nie jestem pewna, kim mogę być.

— Jesteś z gwiazd. Widziałeś wiele światów. Wiem, że rasa Simsy również pochodziła z gwiazd, choć pozostawiono mi mało wspomnień z tamtych czasów. Ona została tutaj. Znow nie wiem, dlaczego. Może jej gwiazdny statek nie mógł już dalej lecieć, może poczuła się zmęczona ciągłym podróżowaniem i zapragnęła stabilizacji? Ja — uniosła ręce i przyglądała wilgotne włosy — mam tylko rozsypane wspomnienia, urywki wspomnień i to mnie dręczy. Nie, ściąganie ich z powrotem jest naprawdę bolesne. Nie chcę innego życia poza tym, które jest teraz przede mną.

Potem uśmiechnęła się nieco smutno i dodała:

— O ile w ogóle mamy przed sobą jeszcze jakieś życie. Bo jeśli twój statek nie przyleci, a ci, co tutaj grzebią, odnajdą nas, to niewesoło zapowiada się nasza przyszłość.

Usiadł wyprostowany, odrzucił w tył czarne włosy, które sporo urosły od czasu, gdy wylądował na planecie. Jego twarz przybrała teraz zupełnie inny wyraz. Widziała, jak unosi się jego klatka piersiowa, gdy brał głęboki oddech.

— Ja również, moja lady Simso, nie wiem, kim albo czym możesz być. Lecz niezaprzeczalnie jesteś cudem, jakiego wielu mężczyzn szuka latami i nigdy nie

znajduje. Odkąd nasz pierwszy statek natknął się na dziwne, puste ruiny, zaczęliśmy tropić ślady Prekursorów. Krążą legendy o tym, że jacyś obcy podróżujący z dalekich gwiazd odwiedzili Arth. Te legendy opowiadano na Arth na długo przedtem, zanim moja rasa zapaściła się w kosmos, są więc niesłychanie stare. Ten symbol — wskazał na rogi i kulę — jest nam znany. W naszej własnej, długiej i mrocznej historii mieliśmy kapłanki, noszące coś takiego na cześć bogini, która była nieocenioną towarzyszką mężczyzn, opiekunką rosnącej żywności, pocieszycielką dzieci. Rozgniewana, gotowa była zniszczyć wszystkich, którzy zagrażali jej podopiecznym. Być może to była Simsa. Pamiętano ją przez długi, długi czas.

— I oto ty przyjechałaś tu z przeszłości to, co tak bardzo pragnęliśmy poznać. Simsa potrząsnęła głową.

— Nie myśl sobie, że będę dla twojego ludu kolejnym skarbem, który będą mogli zatrzymać. Jestem żywa, jestem osobą, a nie starożytnym posągami, garstką klejnotów ułożonych w dziwaczny wzór.

Wskazała na tkwiącą wciąż na jego przedramieniu bransoletę. Choć do kąpiel w sadzawce ściągnęła całe ubranie, ta nadal ciasno przylegała do jego ciała.

— Dlaczego tego nie zdjąłeś? Czyżbyś spodziewał się jeszcze jednego ataku?

Chyba zapomniał, bo zerknął na rękę, jakby zaskoczony, że ciągle ma to na sobie. Potem zaczął przy niej manipulować, obracać na wszystkie strony, lecz bransoletka nie dawała się zsunąć. Nie była tak ciasna, by wpijać się w ciało, a mimo to jego wysiłki nie przynosiły żadnych efektów. Simsa obserwowała go przez chwilę, po czym rzekła:

— Zdaje się, że ty również zabierzesz ze sobą fragment przeszłości. Co zrobisz, kiedy dotrzesz do domu? Odetniesz sobie rękę, żeby twoi naukowcy mieli nowy materiał badawczy, nad którym mogliby się głowić? Utracona ręka, utracona wolność. Ani jedno, ani drugie nie wyjdzie nam na dobre. Może, gdy będę już gotowa, porozmawiam z waszymi poszukiwaczami wiedzy, zakładając, że kiedykolwiek opuścimy ten świat. Nie mam jednak zamiaru być ich więźniem dlatego, że potraktują mnie jak „skarb”!

— Nie będziesz! — Wymówił to cicho, lecz w jego oczach była stanowcza obietnica. Na ile może dotrzymać tej obietnicy, nie potrafiła powiedzieć. Na to, jak i na wszystkie inne pytania, musi odpowiedzieć sam czas.

Raptem roześmiała się.

— Rozmawiamy jak para ludzi, którym sprzyja Fortuna. My, którzy nawet nie

jesteśmy pewni, czy doczekamy jutrzejszego słońca.

Nie wyglądał na zakłopotanego. Przeciwnie, wyciągnął rozstawione szeroko ramiona jak ktoś, kto rankiem na początku pory suchej budzi się z orzeźwiającej drzemki, aby przeżyć najjaśniejszy z dobrych dni.

— Przysięgnę na Fortunę, lady Simso, która jesteś sobą i nikim innym, że w to wierzę. Będziemy żyć... i wolni będziemy przeszukiwać gwiazdy.

W odpowiedzi znów się uśmiechnęła. Ona również czuła się lekko na duszy. Może był to efekt kąpieli w sadzawce, a może coś innego — jego obietnica? A może... Bała się podążać dalej tym tokiem myślenia. Musi nauczyć się siebie, zanim zacznie uczyć innych, szczególnie tego mężczyznę z gwiazd, do którego Simsa wróci. Tak! W to także teraz wierzyła, tak jak wierzyła w prawdziwość piasku, w lśnienie sadzawki, w ciężar pierścienia na kciuku. W to, że jutro nadejdzie nowy dzień.